

Krzysztof Boruń

Jasnowidzenia inżyniera Szarka

Powieść zupełnie niefantastycznonaukowa

Krzysztof Boruń

Jasnowidzenia inżyniera Szarka

Powieść zupełnie niefantastycznonaukowa

Szanowny Panie Redaktorze!

Pół roku temu miał Pan spotkanie autorskie w KMPiK-u w Piotrkowie Trybunalskim. Mówił Pan o parapsychologii, a zwłaszcza wiele o Ossowieckim i jasnowidzeniu. Nie wiem, czy Pan sobie mnie przypomina — po spotkaniu podszedłem do Pana i powiedziałem, że przez pewien czas występowały również u mnie takie zdolności i chciałem prosić Pana o radę w związku z kłopotami, których mogę się spodziewać. Niestety, chociaż wyraził Pan zainteresowanie i chęć bliższego zapoznania się z faktami, brak czasu (spieszył się Pan na dworzec) nie pozwolił mi nawet na skrótową relację z wydarzeń, których byłem nie tylko świadkiem, ale i, można powiedzieć, ofiarą. Dał mi Pan jednak swój adres i numer telefonu, proponując spotkanie, gdy będę w Warszawie.

Miesiąc później postanowiłem skorzystać z propozycji i pozwoliłem sobie zadzwonić do Pana. Nie miałem szczęścia, nie było Pana w domu. Potem jeszcze dwa razy próbowałem się z Panem skontaktować, aż wreszcie dowiedziałem się, że wyjechał Pan za granicę i wróci dopiero za trzy miesiące.

W tej sytuacji podjąłem decyzję opisania możliwie dokładnie wszystkich zdarzeń. Muszę zaznaczyć, że moją relację oparłem nie tylko na własnej pamięci, ale także na notatkach robionych na bieżąco, a jeśli chodzi o eksperymenty parapsychologiczne — na udostępnionych mi nagraniach magnetofonowych. Dialogi nie są oczywiście odtworzone słowo w słowo, lecz starałem się, aby odpowiadały wiernie treści i formie wypowiedzi, gdyż to ważne dla sprawy. Starałem się też zachować chronologię wydarzeń, chociaż — jak się Pan przekona — nie jest całkiem pewne, czy to w ogóle możliwe.

Przesyłam Panu swe notatki zarówno dlatego, że chciałbym usłyszeć Pańskie zdanie na temat moich niezwykłych przeżyć, jak też z obawy, że coś się ze mną stanie i nikt kompetentny, potrafiący bezstronnie spojrzeć na fakty, a nie traktujący mojej relacji jak majaczenia wariata, nie dowie się prawdy. Być może przydadzą się one Panu w pańskich badaniach lub po prostu opisz Pan mój przypadek w jakiejś nowej książce o zagadkach parapsychologii. Gdybym się nie odezwał w ciągu pięciu lat, daję Panu prawo opublikowania tych wspomnień w całości lub we fragmentach, czy też choćby ich literacką wersję, tylko proszę zmienić nazwę instytucji, nazwiska, adresy i numery telefonów, aby potem nie było niepotrzebnych kłopotów.

Jestem inżynierem elektrykiem, stopień naukowy–magister, pracuję w elektrowni w Rokitach. Mam trzydzieści cztery lata, jestem kawalerem, matka zmarła, ojciec emeryt mieszka w Milanówku pod Warszawą. Chciałbym w tym miejscu wyraźnie zaznaczyć, iż jestem zupełnie normalnym, zrównoważonym, zdrowym psychicznie człowiekiem. Nigdy nie byłem leczony w żadnym zakładzie psychiatrycznym, więc proszę nie traktować mnie jak wariata, maniaka czy mitomana, chociaż to, co opisuję, może wydać się nader dziwne. Jeszcze raz podkreślam, że wszystkie niżej przedstawione fakty są prawdziwe.

Z wyrazami głębokiego szacunku mgr inż. Adam Szarek

Rokity, 21 kwietnia 1980 r.

1

Czwartego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Miał to być wielki dzień naszego zakładu. Uroczysty rozruch ostatniego bloku energetycznego i osiągnięcie pełnej mocy eksploatacyjnej przez naszą elektrownię. Dwa tysiące megawatów! Na trzy miesiące przed terminem, w wyniku realizacji zobowiązań pierwszomajowych. Tak miał brzmieć oficjalny komunikat dla prasy, radia i telewizji.

A tak naprawdę to było jeszcze roboty co najmniej na pół roku i to pod warunkiem, że kooperanci nie zawiodą. Z kooperantami mieliśmy bowiem od początku kłopoty i przez cały czas budowy, mimo priorytetów, albo czekało się na jakieś duperele, albo gnało na wariata, odrabiając niezawinione opóźnienia.

Najgorsze, że niektórzy z nas uznali to za normalkę, a mnie za niebezpiecznego durnia, kiedy próbowałem wziąć kij na paru gnojków z Warszawy. Nie jest jednak prawdą, że wystąpiłem przeciw zobowiązaniom. To tylko Wotny próbował napuścić na mnie sekretarza Palinkę, bo byłem przeciwny jego „racjonalizatorskim” pomysłem redukcji prób kontrolnych. Wiedziałem, że bez zobowiązań i pokazowego rozruchu nie tylko nie będzie premii, ale można na długo podpaść, gdzie nie trzeba. Dlatego zgodziłem się na symulację poprzez zadaj nikł na łączach niektórych mierników. Zresztą pić był dość niewinny, w granicach rozsądku i przyzwoitości. Nikt z gości nie powinien się zorientować, a jeśli nawet trafiłby się fachowiec, to na pewno zrozumie i nie będzie się mieszał.

Ustaliłem z Kabackim i Millerem, że „czwórka” pójdzie na trzydzieści procent, a efekt na wskaźnikach będzie bliski stu. Myślę też, że minister nie był aż tak naiwny, aby nie wiedzieć, że naprawdę pełną mocą wejdziemy gdzieś około kwietnia.

Ostatnie godziny były jak zwykle dość nerwowe. Rozpalanie kotła rozpoczęło się o czternastej trzydzieści. Nie było żadnych kłopotów — parametry wzrastały prawidłowo. Praca na wydmuch, potem zakręcenie turbiną i wygrzewanie, czyli stopniowe podnoszenie obrotów... Po osiągnięciu trzech tysięcy obrotów na minutę próba blokad technologicznych turbozespołu — kontrola wytrząsków, próby olejowe, itp. itd. Około osiemnastej zrobiliśmy synchronizację próbną z wybiciem maszyny, sprawdzeniem funkcjonalnym niektórych zabezpieczeń i — rzecz jasna — działania zadajników. Wszystko grało jak trzeba i pokazowa synchronizacja dla gości powinna wyjść na medal. O osiemnastej trzydzieści ponownie wjechaliśmy na trzy tysiące obrotów i już tylko czekaliśmy na ministra.

W każdym razie wówczas — czwartego września — gotów bytem przyznać, że moje niedawne wątpliwości i zastrzeżenia to dziecinada. I cieszyłem się szczerze. Czekaliśmy przecież na tę chwilę blisko pięć lat.

Pięć lat harówki, zarywanych nocy i niedziel, taplania się w błocie i betonie, szarpaniny z nierytmicznością dostaw, z ludźmi i nedorzecznymi przepisami — lat niełatwych, ale z pewnością nie zmarnowanych. Toteż kiedy Baśka Niewińska, wspiąwszy się na parapet, aby lepiej widzieć drogę, zawołała, a właściwie zaśpiewała: „jadą goście, jadą”, naprawdę poczułem wzruszenie.

Podszedłem do okna. Rzeczywiście już zjeżdżali z warszawskiej drogi na naszą, jeszcze

pachnącą świeżym asfaltem, położonym na rozjechanej przez ciężarówki i naprędcie wyrównanej żuźlowej nawierzchni. Policzyłem samochody i pomyślałem: „Dwanaście wozów — zupełnie nieźle. Czajka, dwa polonezy, sześć dużych fiatów, skoda, maluch i wóz transmisyjny telewizji. Stary będzie zachwycony”.

Wróciłem do stołu i włączyłem naszą zakładową kamerę telewizyjną zainstalowaną z tej okazji przed wejściem do dyrekcji. Chyba mieliśmy cynk, bo Kabacki, Miller i Adamiak byli już na schodach, a za nimi Lucyna z kwiatami. Flagi, transparent, wielka tablica ze zobowiązaniami — żałowałem, że zakładowa telewizja nie pracuje w kolorze, bo dekoracja rzeczywiście piękna.

Powitanie gości przebiegło nad podziw sprawnie, bez żadnych kiksów i niezręczności — tak przynajmniej to wyglądało na ekranie dodatkowego monitora, ustawionego na stoliku obok pulpitu sterowniczego naszego nowego systemu komputerowego. Minister był promienny, uśmiechał się do wszystkich i ścisnął dłonie, a za jego przykładem inne fiske przybyłe wraz z nim z Warszawy. Chyba jacyś wyżsi urzędnicy resortowi i przedstawiciele KC. Rozpoznałem też parę znajomych twarzy z okręgu i województwa, przede wszystkim Karolaka — „pierwszego” z KW. Dwaj fotoreporterzy i kamerzysta z telewizji nie żalowali taśmy.

Zgodnie z programem Kabacki poprosił ministra, i co znamienitszych gości do siebie do gabinetu. Po kilkunastu minutach wrócili do hallu i rozpoczęła się uroczystość. Przemówień w hallu nie słyszałem, bo mieliśmy tylko obraz. Potem dyrektor poprowadził ministra i innych gości schodami na górę i poprzez maszynownię do nas, do centralnej nastawni.

W progu czekała już Baśka w nieskazitelnie białym kitlu, z nożyczkami na tacy. Ja za pulpitem fullera, naszego cudu nowoczesności firmy Fuller–Tansky, z którym na razie były tylko kłopoty.

Wszedł minister w towarzystwie Kabackiego i Karolaka, poprzedzany przez fotoreporterów i kamerzystę, wysłuchał krótkiego raportu Millera, zastępcy dyrektora do spraw technicznych, po czym — przeciął symboliczną wstęgę i nacisnął wskazany przeze mnie przycisk na pulpicie dyspozytorskim. W ten sposób oficjalnie rozpoczął się ostatni etap synchronizacji naszej elektrowni z krajową siecią energetyczną.

Była to piękna chwila. W zapadającym zmierzchu ujrzeliśmy przez okna, jak zapalają się szeregi latarni na drodze prowadzącej do osiedla — bardzo udany pomysł Millera i Palinki. Wszyscy byliśmy wzruszeni.

W nastawni zrobiło się tłoczno. Kabacki wziął mnie pod ramię i przedstawił ministrowi jako szefa rozruchu i zasłużonego współbudowniczego zakładu. Przekazałem stanowisko Baśce i oprowadziłem gości po nastawni, objaśniając zasady działania komputerowego systemu automatyki.

W czasie mojej „prelekcji” na monitorze graficzno–alfa–numerycznym fullera Baśka wyświetlała kolejne kolorowe schematy poszczególnych układów sterowania i regulacji, co, jak zauważyłem, bardzo podobało się gościom. Jak trafnie przewidywaliśmy, w większości były to urzędasy zupełnie zielone w sprawach technicznych. Nie bardzo wiedzieli, do czego służy fuller, i z pewnością wyobrażali sobie, że z tego pulpitu bezpośrednio sterujemy jakimiś zmyślnymi elektronicznymi krasnoludkami, zawiadującymi wszystkimi procesami technicznymi i urządzeniami od wywrotnic wagonowych i młynów węglowych po dystrybucję energii elektrycznej. Chyba byli nieco rozczarowani, gdy im wyjaśniłem, że z centralnej nastawni rozruch przede wszystkim się obserwuje, kierując procesem pośrednio, poprzez przekazywanie informacji ludziom, a nie maszynom. I to tylko tych, które są w danej chwili potrzebne, sygnalizując odchylenia i interweniując w sytuacjach awaryjnych. Jeśli wszystko przebiega zgodnie z programem, nie ma potrzeby przeszkadzać operatorom, obchodowym, elektrykom, cieplikarzom oraz całej zgrai innych służb, uczestniczących bezpośrednio w uruchamianiu i okupujących nastawnię blokową „czwórki”.

Pytań fachowych było niewiele. Zaraz zresztą minister wziął mnie na bok i zaczął wypytywać o kłopoty z instalowaniem fullera, o których słyszał od starego. Był bardzo życzliwy i przyjacielski, chciałem więc skorzystać z okazji i poskarżyć się na kooperantów opóźniających instalację trafo, lecz jak na złość właśnie wówczas zjawił się Wotny z księgą pamiątkową i wielkim, ozdobnym pisakiem, który nie wiem skąd wytrzasnął. Gdy minister wpisał się do księgi, nie było już okazji do rozmowy.

Zeszliśmy wszyscy na dół do hali B, gdzie miała się odbyć dekoracja odznaczeniami państwowymi i przyjęcie. W nastawni przy fullerze została tylko Baśka.

W odświetlonej dekorowanej hali Zielińska z kadr i Lucyna od starego ustawiły odznaczanych do dekoracji. Byłem trzeci w szeregu — po Kabackim i Palince. Stary i sekretarz otrzymali „chlebowe” — oficerski i kawalerski. Ja, Miller i dwóch monterów Złote Krzyże Zasługi. Było jeszcze siedem srebrnych i trzy brązowe. Wotny patrzył na mnie z zawiścią, bo miał dostać srebrny, ale coś nie wyszło i Palinka powiedział mu miesiąc temu, że może liczyć tylko na brązowy albo poczekać do następnej okazji. Wolał to drugie, czemu trudno się dziwić, znając jego mniemanie o sobie. Podobno dał sekretarzowi do zrozumienia, że wie, iż to ja mu podstawiłem nogę. Głupek!

Minister wzniósł toast i zaczęły się gratulacje. Ścisnąłem dziesiątki rąk. Starzy i nowi koledzy, koleżanki, jakieś szychy z Warszawy i województwa, Palinka z Karolakiem (z rozpedu złożyłem obu gratulacje). Dziennikarz z „Trybuny” prosił mnie o krótką wypowiedź, ale się wykręciłem, bo właśnie spostrzegłem moją cichą miłość — Stenię Szycką, naszą lekarkę zakładową. Do pełnego szczęścia brakowało mi tylko jej obecności. Stała z głównym księgowym Mateckim, który coś do niej mówił, a ona tylko z uśmiechem kiwała głową i obserwowała salę.

Zacząłem się do niej przepychać i z radością zobaczyłem, że Matecki gdzieś poszedł i że mnie dostrzegła. Pomachała mi przyjaźnie dłonią i pokazała pusty kieliszek.

Rozejrzałem się po stolikach, ale wyprzedził mnie Wotny, który już podchodził do Szyckiej z winem i wielkim kawałkiem tortu.

— Gratuluję odznaczenia! — zawołała do mnie i podsunęła Wotnemu kieliszek, żeby jej nalał wina. Potem trąciła się ze mną i wypiliśmy.

— Szczęściarz z ciebie — powiedział Wotny z przekąsem. — Przyznaj się jak to robisz, że wszystko tak łatwo ci przychodzi... I premie, i awanse, i odznaczenia...

Nie potrafię zdobyć się na szybką i złośliwą ripostę. Nie wiedziałem, jak zareagować na zaczepkę, a nie chciałem wyjść na durnia przy Szyckiej.

— No cóż, ma się to szczęście — uśmiechnąłem się lekceważąco. W tej samej chwili wpadł mi do głowy sposób prosty a skuteczny: — Zdaje się, że Kabacki cię szuka. Chyba chce przedstawić ministrowi.

Wotny spojrzał na mnie niepewnie. Chciał, zdaje się, coś powiedzieć, lecz zrezygnował, przeprosił Szycką i poszedł w kierunku Kabackiego, rozmawiającego z ministrem.

— Naprawdę dyrektor go szukał?

— Spławiłem go, bo chcę choć przez parę minut być tylko z panią — odpowiedziałem szczerze.

— Inżynier Wotny nie zna się na żartach. Naraził się pan strasznie.

Widać wino uderzyło mi trochę do głowy, bo zdobyłem się na odwagę.

— Od chwili, gdy pierwszy raz panią zobaczyłem, stale myślę o” pani...

— Dobrze czy źle? Mam nadzieję, że nie ma zbyt wielu karg na pracę ambulatorium. — Udała, że nie rozumie.

— Ależ... Kto mógłby się skarżyć? Ja nie o tym... Niech się pani nie śmieje. Już dawno chciałem pani powiedzieć, że nie wiem, co się ze mną dzieje, kiedy na panią patrzę.

— Nie wie pan? To ciekawy przypadek. Może wymaga leczenia?

— Może... To znaczy ja wiem, co się ze mną dzieje. I już się zdecydowałem. Tylko boję się, że mnie pani wyśmieję...

Nie odpowiedziała. W ogóle nie patrzyła na mnie, lecz gdzieś poza moje plecy, i dusiła się ze śmiechu. Zrobiło mi się ogromnie przykro i już gotów byłem ukłonić się i odejść z miną zbitego psa, gdy usłyszałem jej słowa przerywane chichotem:

— Co pan narobił, panie Adamie? Pański kolega nadal krąży. Jak pan myśli: zdecyduje się na próbę zdobycia szczytu, czy się wycofa?

Rzeczywiście Wotny czynił karkołomne wysiłki, aby zwrócić na siebie uwagę starego, który, zajęty rozmową z ministrem i Karolakiem, w ogóle go nie dostrzegał.

— No, na co pan stawia, panie Adamie? Podejście czy rezygnacja? — Stenia bawiła się znakomicie. — A jednak podejście!

Wotny zdecydował się wreszcie i podszedł do rozmawiających. Przeprosił ministra i „pierwszego”, potem zamienił parę słów ze starym. Z pewnością nie pytał, czy Kabacki chce go przedstawić ministrowi — po prostu wymyślił jakiś pretekst”.

Stary spojrział na zegarek, kiwnął głową i wrócił do gości. Wotny stał jeszcze chwilę, jakby się zastanawiał, co robić, a potem ruszył ku nam, wyraźnie nadrabiając miną. Warto byłoby błysnąć przed Szycka jakąś efektowną kpina, ale nic mi do głowy nie przychodziło. Patrzyłem tylko na zbliżającego się Wotnego, próbując wyczytać z jego twarzy, jaką szykuje zemstę.

W tej właśnie chwili zachrobotyły głośniki. Kabacki stał już przy mikrofonie i szykował się do zabrania głosu.

— Czy to już koniec widowiska? — zapytała Szycka.

— Jeszcze nie. Drugi akt z moim udziałem — nie omieszkałem się pochwalić.

— Pan jako aktor czy reżyser?

— Zobacz pani — odpowiedziałem wymijająco, bo w istocie nie bardzo wiedziałem, jak zaklasyfikować swą dzisiejszą funkcję. Zresztą Kabacki już zaczął mówić.

Rozpoczął dość zręcznie od tego, że właśnie otrzymał meldunek, iż przygotowania do podniesienia obciążenia „czwórki” dobiegły końca, kotły są pod parą i można przystąpić do realizacji pierwszomajowego zobowiązania — osiągnięcia pełnej mocy eksploatacyjnej przez naszą elektrownię na trzy miesiące przed terminem. Podał trochę cyfr, w sam raz: ani za dużo, ani za mało, a następnie sporo ciepłych słów o załodze, a zwłaszcza o monterach.

— Kolego inżynierze! — zwrócił się na zakończenie do mnie. —

Niech pan działa! — Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo, co zresztą wypadło bardzo naturalnie.

Oczywiście tak naprawdę moje osobiste kierowanie rozruchem nie było konieczne. Do pracy na fullerze mamy dobrze wyszkolonych operatorów — Daneckiego, Gabrysia, Frąckowiaka i Stawskiego, nie mówiąc już o Niewińskiej, która nie tylko zapowiada się na rozruchowca wysokiej klasy, ale z pulpitem daje sobie chyba lepiej radę niż ja sam. Opracowując z Kabackim i Millerem scenariusz pokazówki, doszliśmy jednak do wniosku, że poważniej i efektowniej wypadnie, jeśli osobiście będę odbierał „polecenia” ministra i raportował „osiągnięcie pełnej mocy” przez „czwórkę”.

W tym czasie, gdy stary kończył swą gadkę, Wotny zdążył już podejść do nas. Co prawda ostentacyjnie zignorował moją obecność, lecz wydawał się odprężony i spokojny.

— Przepraszam panią, muszę wracać do pracy. — Skłoniłem się przed Szycka. Ale przechodząc obok Wotnego nie wytrzymałem i powiedziałem cicho: — Długo rozmawiałeś z ministrem...

Spojrzał na mnie z nienawiścią.

— Idiota! Ostrzegam, że zrobię ci taki kawał, że na całe życie zapamiętasz — rzucił za mną, nie kryjąc wściekłości.

W nastawni czekała już Baśka z gratulacjami i bardzo ładną, pachnącą upajająco czerwoną różyczką przygotowaną na tę okazję. Ucałowała mnie w oba policzki i włożyła kwiat do kieszonki marynarki tuż przy odznaczeniu. Podziękowałem jej serdecznie i poleciłem, aby zeszła jak najszybciej na dół, bo zabraknie wina i tortu.

— Ja tu sobie sam dam radę — powiedziałem, siadając za pulpitem.

Zaczęła się zwykła robota. Wyświetliłem kolejno na monitorach ekranowych fullera ważniejsze współrzędne stanu, istotne w procesie rozruchu. Wszystko przebiegało zgodnie z programem. Żadnych odchyień od założonego stanu normalnego. Chłopcy z „cieplnej” i „elektrycznej” spisywali się na medal. Zadajniki dawały to, co trzeba... Włączyłem więc radiotelefon i zameldowałem:

— Kolego dyrektorze, jesteśmy gotowi!

Na ekranie monitora Kabacki wręczał radiotelefon ministrowi.

— Towarzyszu ministrze, proszę wydać polecenie! — powiedział uroczystym tonem.

— Zaczynajcie!

Sięgnąłem do pulpitu i zaczęta się ustalona ze starym procedura przekazywania meldunków o wykonywanych czynnościach. Gdy ogłosiłem, że „czwórka” pracuje pełną mocą, rozległy się oklaski.

Pomyślałem o Steni i Wotnym, lecz nie byli w zasięgu żadnej z kamer zainstalowanych w hali B. Dostrzegłem tylko Baškę prowadzoną do stołu przez Tadka Banacha, kierowcę dyrektora. Zauważyłem ostatnio, że bardzo się koło niej kręci.

Tadek przechylił się przez stół, sięgnął chyba po talerz z resztkami tortu, gdy nagle obraz na ekranie monitora zaczął drgać i tracić stabilność.

Przebiegłem wzrokiem po monitorach fullera. Wszędzie to samo: gwałtownie skaczące pasy i mora. Sięgnąłem do pokrętki, aby poprawić synchronizację. W tej samej chwili uczułem zawrót głowy i zrobiło mi się ciemno przed oczami. Jak przez watę usłyszałem zaniepokojony głos starego:

— Co się dzieje, kolego Szarek?!

Coś, jak flesz fotoreportera, błysnęło oślepiająco tuż przed moją twarzą. Ciemność. Przez moment miałem wrażenie, że spadam w jakąś czarną, bezdenną otchłań i... równie nagle odzyskałem zdolność widzenia.

Siedziałem nadal w obrotowym fotelu, lecz od pulpitu dzieliło mnie ponad półtora metra. Przy fullerze stała Baśka, a jej palce nerwowo biegały po klawiaturze. Jękliwe buczenie sygnału alarmowego zlewało się z terkotem telefonu wewnętrznego.

Zerwałem się z fotela i ponownie odczułem gwałtowny zawrót głowy. Zatoczyłem się, jakbym wyskoczył z wirującej karuzeli i gdyby nie pomocne ramię Tadka, wyładowałbym na podłodze pod pulpitem. Chciałem podejść do fullera, lecz Tadek zmusił mnie, abym usiadł ponownie w fotelu.

— Lepiej niech pan tu zostanie, panie inżynierze! — powiedział jakimś dziwnym tonem.

— O co chodzi? — zapytałem zdziwiony. — Przecież... — popatrzyłem na ekrany fullera i zdębiałem. Monitor stanów alarmowych sygnalizował jakieś absurdalne przekroczenie wartości przekazywanych przez przetworniki pomiarowe, wskazując to na turbogeneratory, to na jedną lub drugą stację trafo, to znów na jakieś rzekome czy rzeczywiste błędy operatorów.

— Przejdź natychmiast na magistralę rezerwową! — zawołałem do Baški i odepchnąwszy Tadka podszedłem do pulpitu.

— Już to zrobiłam, przecież widzisz! To nie to! Sprawdzam teraz poprzez przełączenie na ręczną regulację — odpowiedziała, nie przerywając manipulacji. — Można zwariować! Wyobrażam sobie,

co się musi dziać w blokowej.

Choć miałem nadal chaos w głowie i moje postrzeganie przebiegało jakby z opóźnieniem, nietrudno było zorientować się, że to, co działo się z fullerem, nie mogło odpowiadać żadnym rzeczywistym stanom nie tylko technicznym, ale i fizycznym. Wskaźniki zmieniały się jak oszalałe, a informacje przekazywane przez monitory to był po prostu bełkot. Baśka robiła, co mogła, aby opanować sytuację, a ja na próżno próbowałem zrozumieć, co się naprawdę wydarzyło.

Tadek przysunął mi fotel i próbowałem Baśce pomóc, chociaż już i bez mojego udziału zakłócenia ustały i na monitorach pojawiły się pierwsze sensowne dane.

Właśnie udało mi się telefonicznie połączyć z nastawnią blokową „czwórki”, gdy wpadł jak bomba Kabacki, a za nim Wotny.

— Co się tu dzieje?! Dlaczego opuściłeś stanowisko? — Stary z trudem hamował wściekłość. — I to w takiej chwili!

— Ja? — Zupełnie nie rozumiałem, o co mu chodzi.

— Gdzie byłeś?

— Tu, w nastawni. Przecież sam wiesz...

— Kłamiesz! To ci nie ujdzie na sucho. Chyba zdajesz sobie sprawę?

— Z czego?

Wstałem z fotela i zachwiałem się na nogach.

— Jesteś pijany. Inżynierze Szarek, zawieszam was w czynnościach szefa rozruchu — przeszedł na oficjalny ton. — Kolego Wotny, przejmiecie obowiązki inżyniera Szarka!

— Ależ dlaczego? — zaprotestowałem. — Stasiu, ja naprawdę nic nie rozumiem.

Stary jednak albo spieszył się do ministra, albo po prostu miał mnie już dość.

— Tadek! Zabierz go stąd! — rozkazał kierowcy. — Niech się nikomu nie pokazuje na oczy. Zawieź inżyniera do domu. A wy, kolego Szarek, jutro rano zameldujecie się u mnie. — Popatrzył mi srogo w oczy i wyszedł.

Kierowca podszedł do okna. Jego twarz oświetliła pomarańczowa luna.

— Panie Tadku!... — Wotny zawiesił znacząco głos.

— Idę, idę.

— Nic nie rozumiem — powiedziałem do Baśki.

— Jedźcie już — ścisnęła mnie znacząco za rękę. — Jutro wszystko można będzie wyjaśnić.

— Nic nie rozumiem — powtórzyłem i wyszedłem za Tadkiem. Poprowadził mnie do bocznego wyjścia. W galeriowym przejściu i na klatce schodowej paliły się tylko światła awaryjne. Teren wokół zakładu nie był oświetlony. Tylko zza budynku, ze strony stacji transformatorów, widoczna była czerwona luna jakby dogasającego pożaru i dobiegał daleki zgiełk głosów wraz z sykiem jakiejś maszyny.

— Co się tam dzieje? — zapytałem Tadka.

— Sfajczyła się ta stacja trafo, co jej nie zdążyli dokończyć.

— Spaliła się? Muszę tam iść!

Ruszyłem w kierunku pożaru, lecz kierowca dogonił mnie i zatrzymał.

— Nie ma mowy. Musimy jechać. Nic tam zresztą po panu, inżynierze. Już chyba kończą gaszenie. A dyrektor powiedział, żeby się pan nigdzie nie kręcił.

Nie było sensu dyskutować. Poszliśmy w kierunku parkingu.

— Czy pan coś z tego wszystkiego rozumie? — zapytałem, zapalając papierosa, aby się trochę uspokoić.

— Że niby co?

— Co się stało dyrektorowi?

— Dyrektorowi? Jeśli chce pan wiedzieć i się nie obrazi, to myślę, że jednak ma pan trochę słabą głowę...

— Głowę?

— Chyba trochę za wiele pan wypił.

— Bzdura!

Podeszliśmy do samochodu i Tadek wyjął kluczyki. Czekałem, aż otworzy drzwi, ale poszedł jeszcze coś sprawdzić w bagażniku. Stałem w ciemnościach, patrząc w kierunku pożaru, gdy naraz tuż przede mną pojawił się cień jakiegoś wysokiego, barczystego mężczyzny.

— Czy pozwoli pan przypalić? — powiedział, podchodząc do mnie. Głos miał niski i trochę jakby obcy akcent. Nie był to chyba nikt z pracowników naszego zakładu.

Sięgnąłem po zapalniczkę i w świetle płomienia ukazała się twarz mężczyzny w średnim wieku, pociągła, wygolona, o jasnych, jakby nieco wyblakłych oczach. Nieznajomy nie wyglądał na dziennikarza czy urzędnika ministerstwa. Pomyślałem, że to raczej ktoś z ochrony rządu.

— Proszę, panie inżynierze! — usłyszałem głos Tadka, który już otworzył drzwi wozu.

Nieznajomy podziękował skinieniem głowy i zniknął w ciemnościach.

— Kto to był? — zapytałem Tadka.

— Gdzie? — Kierowca zdawał się nie rozumieć, o kim mówię.

— Tu, przed chwilą.

— Nikogo nie było — zaprzeczył stanowczo.

— Przecież wziął ode mnie ogień.

— Niech pan wsiada — zniecierpliwził się Tadek. — Muszę szybko wracać!

Wsiadłem do wozu, usadowiłem się z przodu, obok kierowcy, i zatrzasnąłem drzwi.

W tej samej chwili odczułem dziwne wrażenie czegoś znajomego. Jakieś wspomnienie, ale bardzo wyraziste, bliskie halucynacji. Droga widziana przez przednią szybę. Noc. Długie światła. Przesuwające się drzewa i słupki przydrożne. Nagle w świetle reflektorów ukazuje się pies. Duży wiejski kundel. Stoi na środku drogi, a jego oczy błyszczą jak złote lusterka odbłaskowe. Słyszę pisk opon. Hamujemy gwałtownie, skręcamy w prawo, aby ominąć psa, i przed maską pojawia się słupek drogowy. Głuchy trzask. Czuję, jak lecę do przodu i...

Tadek uruchomił silnik. W zapalonych światłach fiata ujrzałem szereg stojących samochodów. Byliśmy 'jeszcze na przyzakładowym parkingu. Co za bzdurne przywidzenie?...

Wyjechaliśmy na drogę. Nie było już czerwonej łuny, tylko wśród rzadniejącego dymu błyskały reflektory straży zakładowej.

— Początkowo wyglądało, że będzie większa draka — odezwał się Tadek. Widać i jemu niedawne wydarzenia nie dawały spokoju.

— Kiedy się zaczęło palić? — spróbowałem okrężną drogą wyjaśnić, co się właściwie stało, bo przecież nie wypadało ujawniać przed kierowcą, że nic nie wiem.

— Chyba po tym, jak łupnęło. Ale dokładnie kiedy zaczęło się fajczyć, to nie wiem.

— Niech pan, panie Tadziu, opowie mi, co pan widział.

— Ano cóż... Dużo to nie mam do opowiadania — zastrzegł na wstępie, ale znałem chłopaka i wiedziałem, że nie trzeba go prosić. — To wszystko leciało tak szybko, że łatwo stracić głowę. Byłem z panną Barbarą na przyjęciu, gdy lampy zaczęły mrugać. Wszystkie światła. A w uszach taki jakiś szum i gwizd. Chwilami trudno było wytrzymać. Potem zaraz coś łupnęło i błysło. Chyba w trafo. Dyrektor coś do pana przez radio krzyczał, ale pan już nie odpowiadał. Panna Barbara zaraz wybiegła z sali, a za nią inżynier Wotny.

— Za nią? Jest pan pewny?

— Jasne, że za nią, nie przed nią. Pobiegłem za nimi, bo sobie pomyślałem, że coś się dzieje niedobrego i, mówiąc szczerze, bałem się o pannę Barbarę. Pognałem na schody, ale jej już nie było. Kombinuję: pobiegli do nastawni, tej nowej, centralnej. Więc ja za nimi. Na schodach było prawie ciemno. Ze światłem coś się zrobiło. Żarówki ledwo świeciły. Potem na chwilę zapaliły się tak jasno, że myślałem, że się przepalały, ale znów przygasły. Na półpiętrze minął mnie inżynier Wotny. Biegł jak wariat na dół. Spytałem go, czy coś się stało panie Barbarze, ale ani się nie zatrzymał, ani nic nie odpowiedział.

— Czy widział pan błysk w nastawni? Bardzo jaskrawy.

— Widziałem. Dwa razy, już jak byłem na górze.

— Dwa razy?

— Pierwszy raz zaraz potem, jak panna Barbara wybiegła z nastawni. Jak mnie zobaczyła, to chciała wrócić, lecz wtedy właśnie błysnęło drugi raz i znów łupnęło. W nastawni stało się jasno, że aż nie można było patrzeć. Nie puściłem panny Barbary, i słusznie, bo choć przygasło, a nawet zupełnie zrobiło się ciemno, ale tylko na krótko, może na pół minuty, i jeszcze raz błysnęło, tyle że słabiej i ciszej.

— Długo to wszystko trwało? To znaczy, licząc od chwili, gdy dyrektor stracił ze mną łączność.

— Bardzo krótko. Nie dłużej jak parę minut, może pięć? Panna Barbara bardzo się niepokoiła o pana, więc jak tylko przygasło, zaraz poszliśmy, zobaczyć.

— Gdzie Ja wtedy byłem?

— Siedział pan na krześle. Trochę odsunięty od tego nowego komputera.

— A więc nigdzie nie wychodziłem?

— Myślę, że nie. Ale, niech się pan inżynier nie gniewa, nie wyglądał pan na przytomnego...

— Byłem zamroczony tymi błyskami.

— Może... Ale tak po prawdzie wyglądał pan na pijanego.

— Czy inżynier Niewińska też tak myślała?

— Tego nie wiem. A w ogóle gdyby nie panna Barbara, mogło być jeszcze gorzej — zmienił pospiesznie temat. — To ona po tym zwarceniu powyłączała jakieś linie.

— Skąd pan wie, że to było zwarcie?

— Tak chyba to wyglądało. Ale to pan, panie inżynierze, jesteś fachowiec w tej branży, a nie ja.

— Byłem już zdecydowany.

— Niech pan zawraca!

Spojrzał na mnie z ukosa.

— Nie ma mowy. Mam pana odwieźć do domu.

— Niech pan zawraca! — powtórzyłem ostrzej.

— Stary kazał panu iść spać. — Tadek nie zwolnił, lecz zwiększył szybkość. Byliśmy już na drodze do osiedla. — Dadzą sobie radę bez pana. Niech się pan dobrze wyśpi, bo jutro z pewnością będzie ciężki dzień.

Ja jednak nie ustępowałem:

— Proszę pana, panie Tadiusiu. Muszę tam wrócić. Widzi pan przecież, że jestem już zupełnie trzeźwy. No, proszę!

— Żeby mi stary zmył głowę?

— Wypuści mnie pan za zakrętem. W razie czego, gdyby mnie ktoś zobaczył, powiem, że wróciłem piechotą. Muszę koniecznie porozmawiać z panną Barbarą.

Tadek milczał. Widać było, że zaczyna się wahać.

— Panie Tadeuszu!... — podjąłem jeszcze jedną próbę przekonania go, aby zawrócił. W tym momencie na drodze tuż przed nami pojawiło się dwoje świecących oczu. Duży żółty pies przechodził przez jezdnię.

Tadek gwałtownie przyhamował. Próbował ominąć psa, lecz ten pchał się wprost pod koła. Skręcił więc w prawo, wjechał na pobocze i wprost na słupek.

Uderzyłem czołem w przednią szybę, że aż mnie zamroczyło. Tadek, klnąc psa, wyskoczył z wozu. Wsiadłem również i na miękkich nogach poszedłem za nim, aby zobaczyć, co się stało. Okazało się, że ścięliśmy słupek, lecz na szczęście zderzak zapobiegł poważniejszym uszkodzeniom.

— Pan krwawi! — zaniepokoił się Tadek spojrzawszy na mnie.

— Nic mi nie będzie. Czaszka cała — zbagatelizowałem sprawę.

— Powinniśmy pojechać na pogotowie.

— Nie ma sensu. Może ma pan jakiś plaster?

— Jasne, że mam. Zaraz zrobię panu opatrunek.

Wyjął z bagażnika apteczkę, bardzo wprawnie oczyścił i zdezynfekował miejsce skaleczenia, a potem zakleił je prestoplastem.

Zdecydowaliśmy ostatecznie, że zawiezie mnie do domu i powie Baśce, aby przyjechała do mnie swoim maluchem.

Nasze osiedle pracownicze to cztery trzypiętrowe, długie bloki, wzniesione na południowym krańcu starych Rokit. Dalsze pięć oraz pawilon handlowy są jeszcze w budowie, która w tym roku fatalnie się opóźniła. Budowlańcy mieli coraz większe kłopoty z ludźmi, co nietrudno było naocznie stwierdzić, obserwując ich robotę w czasie codziennej jazdy do pracy. Kiedyś nawet, widząc jak się to wszystko ślimaczy, Palinka pozwolił sobie przy mnie na szczerą i zaczął mówić zupełnie innym językiem o tym, co dzieje się u nas w ostatnich, i nie tylko ostatnich latach.

Od czasu jak ukradziono mi syrenkę, jeździłem rano z Palinką lub Millerem, którzy mieszkają w tym samym bloku. Po pracy albo robiłem sobie dwukilometrowy spacer, albo zabierała mnie Baśka, która wynajmuje w starych Rokitach pokój przy rodzinie. Jeśli wyskoczyła jakaś pilna pozagodzinowa robota lub przeciągnęła się narada, korzystałem ze służbowego wozu Kabackiego.

Było już po dziewiątej, gdy znalazłem się w domu. Tadek odprowadził mnie aż do mieszkania prosząc, abym dał mu słowo, że nie będę nigdzie wychodził. Czuję lekki ból głowy, jakbym rzeczywiście miał kaca, więc zaparzyłem sobie kawę. Baśka jakoś nie przyjeżdżała, widocznie Wotny jej nie puścił. Po odjeździe Tadeka żaden zresztą samochód nie pojawił się jeszcze w osiedlu, co świadczyło, że nie tylko kierownictwo, ale cała załoga jest nadal w zakładzie.

Ciągle jeszcze wahałem się, czy nie powinienem wrócić, wbrew zakazowi starego. Aby skrócić czas oczekiwania, próbowałem czytać. Przed tygodniem Baśka pożyczyła mi dwie książki, do których dotąd w ogóle nie zajrzałem. Jedna to kryminał Agaty Christie, druga — jakieś francuskie opowiadania, podobno interesujące. Okazało się jednak, że nie potrafię zupełnie skupić się na intrydze, którą z pewnością rozwikła detektyw Poirot, opowiadania zaś, po przeczytaniu paru zdań na okładce, od razu odłożyłem na półkę. Były to bowiem utwory z gatunku groteski fantastycznej o jakimś „przechodzimurze”, darze „wszechobecności”, przemieszczaniu się w czasie i innych cudownościach. Do tego rodzaju bzdur nigdy nie czułem pociągu. W przeciwieństwie do Baśki rozczytującej się we wszelkich odmianach tej literatury. W ostatnich latach, przy moich obowiązkach zawodowych, mam w ogóle ogromne zaległości w lekturze rzeczywiście wartościowych książek, a więc tym bardziej szkoda mi czasu na „bajki”, choćby nawet o jakichś tam walorach filozoficznych czy satyrycznych.

Ciągle wracałem myślami do wydarzeń minionego wieczoru. Czuję żal do starego, chociaż

muszę przyznać, że trochę go rozumiałem. Gdyby nie obecność ministra, na pewno by się tak nie wściekł. Żal miałem za to, że zbyt łatwo dał wiarę Wotnemu. Bo przecież nie ulegało wątpliwości, że to on ściągnął Kabackiego na górę. Pewnie jeszcze powiedział przy ministrze, że mnie nie było. Okazał się nie tylko świnią, ale skończonym łajdakiem. Mogłem się tego spodziewać.

Zza ściany dochodził wieczorny jazgot Palinkowej, wrzaskliwie zaganiającej dzieci do spania. Na pewno już się denerwowała, że mąż tak długo nie wraca, i wyobrażałem sobie, co będzie, jeśli zjawi się nad ranem. Sekretarz i w domu nie miał łatwego życia...

Włączyłem radio, nastawiłem muzykę. Zdjąłem marynarkę i, zgasiwszy światło, położyłem się na tapczanie. Postanowiłem, że jutro przede wszystkim porozmawiam z Palinka. Zawsze był mi życzliwy. Od dwóch lat namawia mnie, abym wstąpił do partii i nieraz zaznaczał, że ma do mnie pełne zaufanie. Mam nadzieję, że nie zmienił zdania...

Do Wotnego Palinka odnosił się z rezerwą. Z pewnością nie będzie przyjmował bezkrytycznie jego insynuacji. Zna go lepiej ode mnie. Chociaż Wotny jak tylko może, zabiega o jego względy, wiem, że miał z nim już nieraz kłopoty na zebraniach partyjnych. Wotny jest chorobliwie ambitny i ma jakąś szczególną umiejętność robienia sobie wrogów.

Była to dla mnie pewna pociecha, co nie zmieniało faktu, że w obecnej sytuacji stary się z nim liczył jako fachowcem od automatyki przemysłowej. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem pogadać z Palinka zaraz jak wróci. Czy jednak byłem w stanie czekać na niego do rana? Poprzedniej nocy spałem zaledwie trzy godziny — musiałem przecież jeszcze raz wszystko posprawdzać przed tym nieszczęsnym jubilem. Teraz, leżąc w ciemnościach, czułem coraz większe zmęczenie, i gdyby nie wypita kawa, na pewno bym już spał, mimo utrzymującego się napięcia nerwowego.

Najbardziej niepokoiło mnie, że nie mogłem sobie zupełnie przypomnieć, co się ze mną działo w chwili awarii. Może rzeczywiście popełniłem jakiś fatalny błąd w stanie zamroczenia? Ale co mogło być przyczyną utraty świadomości? Jeśli nie alkohol — a tego byłem pewny — to wchodziły w rachubę tylko dwie możliwości: zatrucie substancją lotną lub nagłe ujawnienie się jakiejś choroby psychicznej. To pierwsze, niestety, wydawało się mało prawdopodobne. Gdyby w fullerze zaczął się kopać plastik, na pewno bym wyczuł zapach. Jakaś narkotyzująca substancja w papierosie też odpadała — w nastawni nie miałem czasu zapalić. Druga możliwość była dla mnie wręcz przerażająca. Miałem na studiach kolegę epileptyka i nigdy nie zapomnę, co się z nim działo w czasie ataku.

Oczywiście w moim przypadku niekoniecznie musiała to być epilepsja. Słyszałem, że guz mózgu też może powodować zaburzenia świadomości. Miła perspektywa! Nie byłem zresztą jeszcze w pełni przytomny, gdy Tadek prowadził mnie do samochodu. Co prawda pamiętałem dobrze twarz mężczyzny spotkanego na parkingu, ale czy rzeczywiście przeżyłem jakiś majak zapowiadający wypadek — na drodze, czy może uroiłem sobie to teraz w chorej głowie? Najprościej byłoby jutro poradzić się Szyckiej, ale od razu pomyślałem, że jeśli istotnie z moim mózgiem jest niedobrze, nie chciałbym, aby ona p tym wiedziała. Właśnie ona!

Jeszcze raz próbowałem przypomnieć sobie kolejno wszystko to, co przeżyłem tego wieczoru. Musiałem być jednak bardzo zmęczony, gdyż już na początku tych rozmyślań zasnąłem.

Napięcie nerwowe dawało niestety znać o sobie również w czasie snu. Miałem jakieś koszmarnie majaki, w których rzeczywistość splatała się z dziwnymi wytworami wyobraźni. Co prawda po przebudzeniu niewiele pozostało w mojej pamięci konkretnych obrazów. Wiem jednak, że śniła mi się Stenia Szycka, słaba, strwożona, szukająca we mnie oparcia i obrony przed jakimś lubieżnym starcem szantażystą, który zmienił się później w ohydny upiora wyciągającego do niej wyschniętą trupa rękę, a w końcu skojarzył mi się z... Wotnym. Chyba próbowałem go zabić, ale nic z tego nie

wychodziło. Ciągłe zmartwychwstawał i uciekał przede mną, chociaż widziałem parę razy jego martwe ciało przygwożdżone do fullera jakimś długim metalowym prętem.

2

Obudziło mnie uparte dzwonienie i dobijanie się do drzwi. Za oknem był dzień, a zegar wskazywał godzinę ósmą trzydzieści pięć. Leżałem na tapczanie w spodniach. Marynarka z przypiętym przez ministra Złotym Krzyżem Zasługi — przewieszona przez krzesło. Sięgnąłem do czoła i wyczułem pod palcami plaster założony przez Tadeka.

Dzwonienie nie ustawało, więc poszedłem otworzyć. Na progu stała Baśka. Dopiero pół godziny temu dowiedziała się o moim wypadku. Tadek miał bowiem kłopoty z wozem (uszkodził miskę olejową). Zresztą i Baškę trudno było złapać. Przez całą noc trwało usuwanie szkód (na szczęście poza trafa niewielkich) i poszukiwanie przyczyn awarii. Teraz, wracając do domu, wstąpiła, niespokojna o moje zdrowie.

Powiedziałem jej, że nic mi nie jest — po prostu rozciąłem sobie czoło. Czuję się dobrze, tyle że miałem koszarne sny z Wotnym w roli upiora. Przede wszystkim jednak chcę wiedzieć, co wydarzyło się ubiegłego wieczoru. Zdecydowanie odrzucam insynuacje, że spowodowałem awarię, zaniedbując jakieś obowiązki i opuszczając po pijanemu stanowisko.

— Jestem pewny, że nie byłem pijany i nigdzie nie wychodziłem. Mam nadzieję, że powiedziałaś o tym staremu — dodałem zupełnie niepotrzebnie, bo przecież wiedziałem, że na Baškę mogę zawsze liczyć.

— Jesteś rzeczywiście pewny, że wszystko dobrze pamiętasz? — zapytała chłodno. — A jeśli chodzi o Kabackiego, powiedziałaś mi, że siedziałeś cały czas przy pulpicie i próbowałeś przeciwdziałać awarii.

Dlaczego spytała, czy wszystko dobrze pamiętam?

— Fuller zaczął wysiadać na kilka sekund przed wyładowaniem. Wyglądało to jak utrata synchronizacji. To samo zresztą było z ekranem telewizora. Do tej chwili wszystko przebiegało prawidłowo. To dobrze pamiętam! — stwierdziłem z całkowitą pewnością. — Ani światła na desce, ani monitor alarmów nie sygnalizowały żadnych stanów zagrożenia. Konkretnie, co się stało? Wiem, że wystąpiły jakieś gwałtowne spadki mocy i że był pożar trafa... To wszystko przez ten pośpiech podczas montażu...

— Może... — Baśka spojrzała na mnie niepewnie. — Nie wydaje się jednak, aby chodziło tu o jakieś błędy techniczne. Sprawdzaliśmy całą noc. W „czwórce”, łącznie z nastawnią cieplną, nie stwierdziliśmy żadnej konkretnej awarii, jeśli nie liczyć pożaru trafa. A spadki mocy, co prawda nieduże, wystąpiły również w bloku drugim i trzecim. W „jedynce” były wahania, ale bardzo nieznaczne, niemal w normie. Największe skoki mocy wystąpiły w „czwórce”, i to nie tylko spadek niemal do zera, lecz także wzrost ponad limit. Prawie do dziewięćdziesięciu procent przewidzianej pełnej mocy.

— Ustaliliśmy na trzydzieści i tego się trzymałem. Może coś z tym cholernym zadajnikiem popieprzyli?

— Chyba nie. Sam zresztą sprawdzałeś. Oczywiście symulacja spowodowała niezareagowanie, a raczej nieprawidłowe zareagowanie komputera na sytuację awaryjną. Ale Miller i Wotny

przypuszczają, że ty... — Baśka zawahała się.

— ...że byłem pijany i podejmowałem pijane decyzje albo że w ogóle nie było mnie w nastawni — dokończyłem ze złością.

— Coś w tym rodzaju — potwierdziła Baśka. — Do tego Kowalewski i Sikora z „cieplnej” twierdzą, że informacje i polecenia przekazywane w tym czasie z fullera na ich monitory wyglądały tak, jakby ktoś się bawił klawiaturą.

— Macie zapisy, możecie sprawdzić!

— Właśnie w tym rzecz, że nie ma dokumentacji. To znaczy są dwie luki między dwudziestą dwie a dwudziestą pięć. Początkowo przez kilka sekund jakby ktoś się bawił lub celowo wprowadzał chaos, dalej całkowity zanik zapisu na blisko dwadzieścia sekund, chociaż taśma szła. Potem znów jakby coś się ruszyło na półtorej minuty. Stopniowe wygasanie zakłóceń i nowy raptowny zanik na niecałe pół minuty.

Luka w pamięci komputera była zastanawiająca. Dodając do tego wariackie przekazy na monitorach, miałem prawo podejrzewać, że przyczyny naszej klęski należy szukać w działaniu jakiegoś urządzenia będącego źródłem bardzo silnych zakłóceń elektromagnetycznych.

Wziąłem kartkę papieru, aby narysować schemat blokowy i rozważyć, co to mogło być. Sięgnąłem do marynarki po długopis. W kieszonce, tam gdzie wczoraj Baśka włożyła różę, tkwił wielki ołówek z ładną secesyjną nasadką. Nie widziałem jeszcze takiego — z pewnością reklamówka jakiejś zachodniej firmy. Kwiatka nie było — musiałem gdzieś zgubić.

Również Baškę zainteresował ołówek.

— *Verba rolant, scripta manent* — odczytała spiralny napis na nasadce. — Znak firmowy przypomina hieroglif chiński. Skąd to cudo?

— Nie wiem. Musiałem komuś zabrać.

— Chyba Wotnemu — przypomniała sobie, — Pewno został na stoliku w „centralnej”, jak minister podpisywał się w księdze. Oddała mi pisak i zacząłem rysować schemat.

— Najpierw zastanówmy się, które z elementów w przypadku uszkodzenia mogły spowodować desynchronizację...

— Czekaj... — wtrąciła Baśka. — Z prób testowych zdaje się wynikać, że komputer nie uległ uszkodzeniu. Gdyby nie luka w pamięci, wszystko byłoby okay. Wotny wyraźnie sugeruje staremu, że popełniłeś błąd. Próbuje cię zrobić...

— Nic dziwnego. Przecież to on instalował fuller. Załóżmy jednak, że test był przeprowadzony prawidłowo. Pozostają dwa zasadnicze pytania: jaka była przyczyna wyładowań elektrycznych i pożaru trafo oraz dlaczego w tym samym czasie zawiódł system komputerowy automatyki? Wątpię, aby to drugie mogło być przyczyną pierwszego. Chociaż w sytuacji awaryjnej z pewnością utrudniło przeprowadzenie szybkich i skutecznych operacji.

— Wiemy tylko tyle, że pożar nie był spowodowany przebicciem ani zwarcie. Prawdopodobnie doszło do iskrowego wyładowania. Przeszło ono w łuk elektryczny, od którego zapalił się wyciekający olej,

— Czy wyładowanie iskrowe mogło być źródłem tak dużych zakłóceń? — zastanawiałem się głośno. — Słyszałem zresztą od Tadka, że widzieliście wyładowanie w „centralnej”. Jak to wyglądało?

— Byliśmy na podeście. Nagle zrobiło się widno. Smuga jaskrawego światła przez uchylone drzwi. Początkowo bardzo jasna, jakby błękitna, potem o zmieniających się szybko barwach. Nie trwało to dłużej niż sekundę i blask nagle przygasł, a za moment znów się pojawił i zgasł ostatecznie. Byłam zupełnie oślepią.

— Gdzie było źródło świecenia?

— Wydało mi się, że obok pulpitu. Ale nie jestem pewna. Szpara w drzwiach była wąska, widoczność bardzo ograniczona i do tego jaskrawy, oślepiający blask. Wyładowanie mogło nastąpić za oknem, na terenie trafo. To pasowałoby do wyładowania iskrowego i łuku.

— Nie wiem. Ja też widziałem coś podobnego trochę wcześniej, jednocześnie z zerwaniem łączności i awarią fullera. W pierwszej chwili myślałem, że to flesz albo silny reflektor tuż przede mną. Ale jak się dobrze zastanowić, mogło to być również odbicie rozblęsku od szyby. Rozblęsku za moimi plecami, za oknem nad trafo. Może rzeczywiście...

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi i znów, jak ubiegłej nocy, doznałem halucynacji. Obraz pokoju przysłoniła na chwilę mgła i zaraz potem ujrzałem otwarte drzwi, a w nich Tadek. Kłania się i mówi: „Pan dyrektor czeka na pana inżyniera!”

Oprzytomniałem. Dzwonek dzwonił nadal. Widziałem już tylko Baśkę wstającą wolno z krzesła. Zerwałem się i poszedłem otworzyć.

W progu stał Tadek.

— Pan dyrektor czeka na pana inżyniera! — ukłonił się nie tyle mnie co Baśce, która wyszła za mną do przedpokoju.

Byłem zupełnie wytrącony z równowagi i patrzyłem bezmyślnie na Tadeka.

— Niech się pan szybko ogoli i jedziemy — ponaglił i, zwracając się do Baśki, powiedział: — A pani inżynier powinna pojechać do domu i solidnie się przespać po tak ciężkiej nocy. Poszedłem do łazienki, ogoliłem się pośpiesznie maszynką elektryczną i zmieniłem koszulę. Zakładając marynarkę odpiąłem odznaczenie, schowałem do szuflady, a secesyjny pisak zabrałem ze sobą, żeby oddać Wotnemu.

Stary rzeczywiście czekał już na mnie i z miejsca zaczął się pieklić.

— Mówiłem, prosiłem, żeby każdy szczegół, każdy element wiele razy sprawdzić! Aby chociaż przez te parę godzin, w czasie wizyty ministra, wszystko grało!

— Sprawdziałem. Jeszcze na godzinę przed...

— I co z tego? — przerwał mi ostro. — A przecież uzgodniliśmy. Przecież to była chyba nawet twoja inicjatywa.

— Niezupełnie.

— Mniejsza o to. Ustaliliśmy przecież, że „czwórka” osiągnie tylko trzydzieści procent mocy. Sam mówiłeś, że „czwórki” przeciążać nie wolno.

— Ależ ja „czwórki” nie przeciążyłem! Trzymałem ją na trzydzieści procent. To co się później stało, te gwałtowne skoki mocy i wyładowania iskrowe spowodowane zostały prawdopodobnie przez jakiś głupi błąd w montażu stacji. Do tego nie zauważono przecieku oleju... Nie było przecież czasu na solidną kontrolę. A nieszczęścia chodzą parami. Wysiadł fuller, do tego nafaszerowany fałszywą informacją z zadajników... Nie zasygnalizował awarii w porę, odwrotnie: zaczął dawać wariackie wskazania...

— Powiedzmy, że tak istotnie było. Rzecz w tym, że zamiast natychmiast przejść na sterowanie ręczne, nie zrobiłeś nic, aby zapobiec następstwom awarii, które mogły być katastrofalne. I wiem dobrze dlaczego! Powinienem cię zwolnić dyscyplinarnie za samowolne opuszczenie tak ważnego posterunku!

— Nigdzie nie wychodziłem! — zaproponowałem gwałtownie.

— Nie rób ze mnie durnia. Są świadkowie.

— Ależ pamiętam dobrze; byłem cały czas w nastawni. Gdy doszło do awarii, siedziałem przy pulpicie i rozmawiałem z tobą przez interkom.

— Nie odpowiadałeś na moje wezwania!

— Łączność była przerwana. Ale Niewińska mnie widziała i może potwierdzić.

— Nie wrabiaj w to tej dziewczyny. Dla mnie sprawa jest jasna; byłeś pijany i film ci się urwał.

— Wypiłem zaledwie pół kieliszka wina. Nie wierzysz mi?

— Nie denerwuj się — zmienił trochę ton. — Powiedziałem, że mogę cię dyscyplinarnie zwolnić, ale tego nie zrobię. Nie chcę ci psuć opinii. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przestaniemy grzebać się w tej sprawie. Chwilowa niesprawność komputera. Dobre wyjaśnienie. Co prawda Wotny broni się przed tym, bo to jego działka, ale mu wytłumaczyłem, że to najlepsze wyjście. Miller też jest tego zdania. Krótko mówiąc: w interesie zakładu, w interesie załogi, a pośrednio i w interesie Wotnego leży ukręcenie łba tej całej aferze. Obiecałem mu awans i powinien być zadowolony. Nic nie będzie miał z tego, jeśli ciebie zgnoi. Są ważniejsze sprawy. Rzecz jasna z premii nici. Termin realizacji inwestycji opóźniony i jeszcze do tego straty. Ale najważniejsze, żeby nikt tu nam nosa nie wtykał.

Wydało mi się, że brzęknął żółty telefon na biurku, lecz dyrektor nie zareagował. Albo się przesłyszałem, albo był aż tak przejęty tym, co mówi. Odczułem nagły przyływ niepokoju. Telefon milczał, a ja wpatrywałem się w żółte plastikowe pudełko i coraz słabiej docierały do mnie słowa starego. Przymknąłem powieki i wtedy znów usłyszałem brzęczek.

Widzę, że Kabacki sięga po słuchawkę i zaczyna z kimś rozmawiać. Ze słów starego wynika, że chodzi o awarię i pożar trafo. Mówi o jakimś poparzonym strażaku. Podaje moje nazwisko! I że miałem wypadek... Ktoś z milicji? Nie, to prokurator. Powiedział: „Do jutra, panie prokuratorze”...

To było przywidzenie. Stary nadal coś mi tłumaczył, lecz dopiero po chwili mogłem zrozumieć sens jego słów.

— Rozmawiałem z ministrem. Wierz mi, to nie była łatwa rozmowa. Zobowiązałem się osobiście, że nadrobimy opóźnienia i wejdziemy w marcu do sieci z pełną mocą. Minister to człowiek z otwartą głową. Rozumie, że realizacja planu a rzeczywiste osiągnięcie pełnej sprawności to dwie różne kwestie. Sam powiedział, że nadmierny pośpiech sprzyja awariom. I że jeśli straty nie są zbyt wysokie, wystarczy powołanie wewnętrznej komisji.

— Prokurator jeszcze nie dzwonił?

— O tobie w ogóle nie mówiłem. Nie było sensu... — ciągnął dalej myśl i nagle uświadomił sobie treść mego pytania. — Coś ty powiedział?

— Obawiam się, że możesz mieć telefon z prokuratury. Chyba wszczęto dochodzenie.

— Dochodzenie? — stary przeraził się. — To z pewnością ten idiota Wotny...

— Nie sędzę. Chodzi o pożar. Pewno miejscowa straż ogniowa zgłosiła. Albo szpital. Był ktoś poparzony?

— Ze straży zakładowej. Cholera... Zupełnie o tym zapomniałem. Trzeba było załatwić przez Karolaka. Skąd wiesz o prokuratorze? — spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Jeśli ci powiem, że miewam ostatnio dziwne przeczucia, nie uwierzysz.

Kabacki był coraz bardziej zdenerwowany.

— Nie rób ze mnie balona. Jeśli coś wiesz, gadaj. A może to twój głupi kawał?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Usłyszałem głos Lucyny. Meldowała, że prokurator Makarczyk chce rozmawiać z dyrektorem. Niestety, połączenie nie było dobre i docierało do mnie tylko to, co mówił stary:

— Rozumiem... Informacja nie jest ścisła... Właśnie przeprowadzamy badania... Na wnioski jeszcze za wcześnie, ale straty nie są duże... Właściwie daliśmy sobie sami radę... Oczywiście, mamy własną straż... Tak, jeden trochę poparzony... Chyba za dwa dni wyjdzie... Rozumiem,

zgłoszenie było ich obowiązkiem... Ale fachowcami to my jesteśmy... Oczywiście, że udostępniemy wszystkie materiały... To niemożliwe... Przede wszystkim konieczna byłaby obecność inżyniera Szarka, który w tym czasie pełnił funkcję szefa rozruchu bloku... Tak, Adam Szarek... Oczywiście. Rzecz w tym jednak — stary mrugnął do mnie porozumiewawczo — że inżynier Szarek uległ wypadkowi i jest na zwolnieniu lekarskim... Nie, na szczęście nic poważnego, ale wskazany jest spokój... Jutro?... O dziewiątej?... Bardzo proszę. Postaram się go ściągnąć... A więc do jutra, panie prokuratorze... Do widzenia!

Kabacki odłożył słuchawkę. Chwilę patrzył w milczeniu na mnie, potem włączył interkom i kazał Lucynie wezwać Szycką. Okazało się, że lekarka ma dyżur w przychodni osiedlowej i było trochę kłopotów z przywołaniem jej do telefonu.

— Pani Steniu! — powiedział stary, gdy się odezwała. — Za chwilę przyjdzie do pani inżynier Szarek. Czuje się bardzo źle. Miał wypadek samochodowy... Wczoraj wieczorem. Chciałbym, aby się pani nim natychmiast zajęła. Chyba trzeba mu dać skierowanie do szpitala na obserwację. A na pewno parę dni zwolnienia... Myślę, że byłoby to bardzo wskazane...

Szycka miała jakieś wątpliwości i próbowałem podsłuchać, co mówi, lecz w tej właśnie chwili poczułem, jakby wszystkie myśli uleciały z mej głowy. Słyszałem tylko głos Steni, i to tuż przy uchu, tak jakbym to ja rozmawiał z nią przez telefon.

— Szantażuje? — Pyta dziwnie zmienionym, jakby załknionym głosem, a potem nagle zmienia ton na chłodny, niemal opryskliwy: — Co panu do głowy przychodzi? Więcej taktu, panie inżynierze...

Oprzytomniałem. Kabacki skończył właśnie rozmowę i zwrócił się do mnie:

— Pojedziesz do Szyckiej, do ośrodka. Weźmiesz zwolnienie, a potem zaraz do domu! Ja spróbuję zorientować się, co jest grane, i po południu lub wieczorem wpadnę do ciebie. Trzeba się spokojnie naradzić. Sytuacja może być trudna. Obawiam się, że ten prokurator będzie się interesował nie tylko sprawami technicznymi. Zresztą i w tych sprawach trzeba wiedzieć, co i do kogo się mówi. O zadajnikach lepiej nie wspominać. Wszystko czyste, dokumentacji nie ma z powodu awarii komputera. Nie sądzę zresztą, aby się tym specjalnie interesował. Skoncentruje się chyba na trafo i fullerze. Do niczego cię nie namawiam, lecz byłoby dobrze ograniczyć teren zainteresowania prokuratury do tych dwóch odcinków. A personalnie, powiedzmy otwarcie, do twojej osoby. Jesteś wybitnym fachowcem, masz świetną opinię. Każdemu może się przydarzyć chwilowa niedyspozycja... A kto mógł przewidzieć, że ten fuller to szmelc.

— Wcale nie szmelc. Sprawdziliśmy dokładnie wszystko przed uroczystością, a po awarii Wotny i Niewińska...

— Właśnie... A więc nie komputerowy system, ale operator...

— W co chcesz mnie zrobić?

— W nic nie chcę cię wrabiać — Kabacki wstał zza biurka i podszedł do mnie. — Odwrotnie, chcę cię wyciągnąć z tego, w coś się wpakował! — wziął mnie za ramiona i spojrzał głęboko w oczy.

Pomyślałem wówczas, że być może źle oceniłem jego intencje.

3

Do gabinetu lekarskiego w osiedlowej przychodni wprowadziła mnie rejestratorka poza kolejnością. Stenia w białym lekarskim fartuchu, ze słuchawkami w kieszonce, wydała mi się jeszcze ładniejsza niż wczoraj na przyjęciu. Może dlatego, że modny kostium i starannie ułożona fryzura odebrały jej wówczas trochę owego nieuchwytnego kobiecego uroku, który tak bardzo na mnie działa. Zresztą chyba i ona sama najlepiej czuła się w swobodnym dziewczęcym stroju, co wcale nie oznaczało rezygnacji z piękna i elegancji.

Prawdę mówiąc, w obecności Szyckiej byłem zawsze nie tylko szczęśliwy; lecz także onieśmielony i nieco spięty. Tym trudniej przychodziło mi obecnie grać rolę wyznaczoną przez starego. Myślę zresztą, że i jej ta gra nie bardzo odpowiadała i dlatego mogła mieć mi za złe, że nie ułatwiam sprawy. Kazała mi usiąść na krześle i zdjęła opatrunek założony przez Tadka.

— Nie wygląda to groźnie — stwierdziła, badając skaleczenie. — Chyba tylko potłuczenie i uszkodzenie naskórka. Obrzęk już ustępuje. Bardzo krwawiło?

— Nie bardzo.

— Bóle głowy?

— Nie miałem.

— Zaburzenia równowagi? Czy ma pan zawroty głowy?

— Nie.

— Czy stracił pan przytomność w czasie wypadku?

Znów zaprzeczyłem.

— Z tego, co mówił dyrektor Kabacki, wynika, że powinien pan odpocząć — powiedziała już trochę zniecierpliwiona. — Czuje się pan fatalnie...

Potwierdziłem skinieniem głowy. Pytania Szyckiej budziły we mnie zażenowanie.

— Po urazie wystąpiły zaburzenia czucia — podjęła raczej twierdzącym niż pytającym tonem. — Czy również podwójne widzenie? Może jakieś omamy? Niech pan sobie przypomni.

To był punkt zaczepienia.

— Prawdę powiedziawszy... — rozpocząłem z wahaniem — kilkakrotnie przeżyłem coś... jakby halucynacje. Chociaż... trudno te wizje nazwać omamem.

— Skieruję pana na badania. Zrobimy prześwietlenie głowy. Może również EEG... — sięgnęła po blankiet.

— Ja nie kłamię — zastrzegłem czując, że Szycka traktuje moje słowa jako nieudolną próbę potwierdzenia jej „diagnozy”. — Już trzykrotnie przeżyłem coś, co można by nazwać proroczymi wizjami. Może mi pani wierzyć lub nie, ale tak właśnie sprawy się mają.

— To znaczy? Ma pan wrażenie, że przeżywane wydarzenia są mu już skądś znane?

— Tak, lecz ja wiem, skąd wiem! Po prostu mam wizję tego, co nastąpi, a nawet słyszę głosy.

— Słyszysz pan głosy... — patrzyła na mnie przenikliwie, pewnie, zastanawiając się, czy to gra, czy może rzeczywiście występują u mnie objawy jakiegoś schorzenia psychicznego.

— To znaczy pojawiają się nie tylko obrazy przyszłych zdarzeń, ale towarzyszą im dźwięki: pisk

opon, głosy osób rozmawiających...

— I te omamy zaczęły się zaraz po wypadku samochodowym...

— Nie po wypadku, lecz przed. Właśnie wizja wypadku była pierwszą tego rodzaju proroczą halucynacją. Wiem, że moje słowa brzmią nieprawdopodobnie i bierze mnie pani za blagiera lub wariata. Ja sam zresztą nie rozumiem, jak takie zjawisko jest możliwe. Gdyby się to zdarzyło raz jeden, powiedziałbym, że zwykły przypadek. Ale powtórzyło się jeszcze dwa razy.

— A przedtem, powiedzmy przed miesiącem czy przed paru laty?... Nigdy nie doznał pan czegoś podobnego?

— Nigdy. Co pani o tym myśli?

Zastanawiała się dłuższą chwilę.

— Myślę, że występują u pana zaburzenia pamięci — powiedziała po namyśle. — Iluzja, że się coś przeżywa po raz wtóry. W rzeczywistości jest to rzekome przypomnienie. Paramnezja. Zjawisko związane z pewnymi właściwościami mechanizmu myślenia, zapamiętywania i przypominania. Z procesami kojarzenia. Tworzywem myślenia są wyobrażenia. Bieg skojarzeń jest szybki i niewiele z tych ciągów wyobrażeń zapamiętujemy. Co najwyżej ogólne zarysy, które mogą pasować do pewnych typowych sytuacji: Czasem może się zdarzyć, że jakieś spostrzeżenie przypomina trochę wyobrażenie, które pojawiło się w naszych myślach, zanim doszło do spostrzeżenia. I wówczas ten mglisty zarys własnych myśli uzupełniamy elementami aktualnego spostrzeżenia, traktując to jako przypomnienie.

Pierwszy raz widziałem Szycką w roli lekarza naukowca i byłem trochę zaskoczony jej erudycją. Słyszałem co prawda, że była przez pewien czas asystentką jakiejś znanej pani profesor, ale nie bardzo potrafiłem sobie ją wyobrazić jako pracownika naukowego.

Dlaczego zrezygnowała z naukowej kariery? Było to zastanawiające. Tak piękna i atrakcyjna dziewczyna dałaby sobie z pewnością radę nawet w Warszawie. Co mogło sprawić, że zaszyła się w prowincjonalnej dziurze? Kiedyś, gdy zapytałem ją o to, odpowiedziała, że chce szybko i mocno stanąć na własnych nogach, a w powiecie łatwo o intratną praktykę. Nie wydaje mi się jednak, aby była to odpowiedź szczerą.

Na temat Szyckiej krążyły u nas od pewnego czasu różne sprzeczne opinie, lecz nie przywiązywałem do nich wagi, zwłaszcza że nie brakowało też typowych, złośliwych i oszczerczych plotek. Byłem przekonany, że oszczerstwa fabrykują zawiedzeni podrywacze i zazdrosne żony, jak to zwykle bywa w otoczeniu młodej kobiety wyróżniającej się urodą i inteligencją.

O tym, że tak właśnie sprawy się mają, mogła świadczyć już pierwsza nieudana próba psucia jej opinii, w czym dość dwuznaczną rolę odegrał Wotny. Półtora roku temu, w kilka miesięcy po tym, jak rozpoczęła pracę w naszym ambulatorium, Wotny powiedział mi w tajemnicy (a wtedy łączyły nas jeszcze koleżeńskie stosunki i grał rolę serdecznego kumpla), że otrzymał od bliskiego mu człowieka wiadomość, rzucającą niezbyt ładne światło na Szycką. Miała jakoby pisać jakieś świńskie donosy na byłych kochanków i należy jej się strzec. Po paru tygodniach jednak wrócił niespodziewanie do tej sprawy i stwierdził, że były to tylko plotki, które nie znalazły potwierdzenia. Wkrótce też zauważyłem, że zaczął bardzo kręcić się koło lekarki. Myślę, że próbował w ten naiwny sposób zrazić mnie do niej, ale się zreflektował, czym mu to grozi, gdyby sprawa się wydała.

Mnie od początku nie chciało się wierzyć w te jego „pewne” informacje. Zachowanie się Steni w różnych sytuacjach, jej inteligencja, zręczność towarzyska i kultura nie pasowały zupełnie do tak prymitywnych metod. Nie tylko jej uroda, ale i styl życia od razu bardzo mi się spodobały. W czasie pracy w ambulatorium i na zebraniach u starego zabierała głos rzeczowo i konkretnie, a w przypadkach niezbyt kulturalnego wysławiania się kogokolwiek reagowała ostro i jednocześnie z

chłodną wyniosłością. W bliższych kontaktach towarzyskich była uroczym, pełnym dowcipu i swobody kompanem. Jednocześnie jednak ku utrapieniu wszystkich nadskakujących jej wielbicieli potrafiła trzymać ich na dystans i nie zauważyłem, aby komukolwiek zezwalała na zbytnią poufałość. Z nikim dotąd nie przeszła na ty, a gdy ktoś zbyt nachalnie próbował ją do tego skłonić, przybierała wobec niego protekcyjny ton, co wywoływało u mężczyzn zakłopotanie, a drażniło kobiety.

Nigdy nie udało mi się stwierdzić, jaki naprawdę jest jej stosunek do Wotnego — przychylny czy niechętny. Z pewnością nie traktowała poważnie jego zalotów, ale kpiąc z nich, wyraźnie starała się go nie urazić. Trzeba przyznać, że i on nie narzucał jej zbyt natrętnie swego towarzystwa, przynajmniej publicznie. Nie zauważyłem dotąd, aby doszło między nimi do Jakiegoś konfliktu; nie dostrzegłem jednak również oznak zażyłości. Mam nadzieję, że gdyby miała wybierać między Wotnym a mną, moje szansę byłyby większe.

Te rozmyślenia tak mnie pochłonięły, że tylko strzępy tego, co mówiła teraz, docierały do świadomości. Widocznie dostrzegła moje roztargnienie i uznała, że „wykład” jest zbyt teoretyczny, gdyż zaczęła odwoływać się do konkretnych przykładów.

— Często odnosimy wrażenie — tłumaczyła cierpliwie — że ulica, na której po raz pierwszy się znaleźliśmy, jest jakoś dziwnie nam znajoma. Inny przykład: ktoś coś mówi i mamy wrażenie, że słyszeliśmy już, jak to mówił. Do pokoju ktoś wchodzi, a my... — urwała, patrząc na mnie z niepokojem.

Właśnie, znów się zaczęło i wchodziłem w kolejny „trans”.

— Co panu, panie Adamie? — usłyszałem jeszcze jak przez grubą warstwę waty.

Nie wiem, ile czasu trwała wizja. Gdy oprzytomniałem, Szycka trzymała mnie za puls i wyraźnie była przestraszona moim stanem. — Niedobrze się pan czuje?

— Nie, nie. To właśnie to — odpowiedziałem już zupełnie przytomnie.

— To znaczy co?

— Znów miałem wizję.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie.

— I cóż pan takiego zobaczył? — spytała z lekka kpiącym tonem.

— Przyjdzie tu pani znajomy. Taki starszy, łysawy, niewysoki...

Zaśmiała się.

— To zupełnie możliwe. Mam tu wielu znajomych, starszych i młodszych.

— Będzie tu przejazdem — ciągnąłem, nie dając się spieszyć. — Z Warszawy. Ma dla pani paczkę. To herbata od kogoś bliskiego, chyba cioci...

— Ciocia przysyła mi czasem herbatę ziołową, według własnej recepty... Wiedział pan o tym, prawda? I kiedyż ta wizyta pana zdaniem nastąpi?

— Chyba teraz, zaraz. Powiem pani coś jeszcze: ten człowiek bardzo się zainteresuje tym, co pani o mnie powie. On się na tym zna. Pani mi nie wierzy?

Szycka spoważniała. Widać znów wzrosło w niej podejrzenie, że moje wizje są przejawem obłądu.

— Niech się pan uspokoi. Rzeczywiście to bardzo ciekawe, co pan mówi, panie inżynierze.

Chciałem jej wyjaśnić, że jest w błędzie, ale w tym momencie usłyszeliśmy pukanie i przez uchylone drzwi zajrzała do gabinetu pielęgniarka.

— Jakiś pan do pani doktor. Mówi, że z Warszawy.

Szycka mrugnęła do mnie porozumiewawczo, przekonana, że moje jasnowidzenie jest ukartowanym z kimś żartem.

— Niech ten pan wejdzie — powiedziała do siostry.

Wpatrywałem się z napięciem w drzwi. Ten czy nie ten? Wszedł. Ten sam, co w wizji: niewysoki, starszy, łysawy. W ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym, z teczką w ręku.

— Leon! — zawołała Szycka. — Powinam była się domyślić, że o ciebie chodzi.

— Jestem tu przejazdem — wyjaśnił przybyły trochę zaskoczony takim powitaniem. — Jeden z naszych łódzkich kolegów odkrył medium telekinetyczne. Ponoć rewelacyjne! Jedziemy je komisyjnie zbadać. I twoja ciocia prosiła, abym po drodze wstąpił... — otworzył teczkę.

— I dała ci dla mnie herbatę ziołową, według jej recepty.

— Właśnie! — wyjął z teczki niedużą paczkę.

— Przedstawić panów nie potrzebuję. Oczywiście się znacie — powiedziała Szycka wskazując mnie gestem.

— Chyba nie...

— Nie udawaj. Umówiliście się z inżynierem, aby mnie, zatwardziałą sceptyczkę, zrobić w konia.

— O co ci chodzi? — zdziwił się gość. — Tego pana ja naprawdę nie znam. Pięć minut temu byliśmy jeszcze na szosie. Co to za historia?

Szycka się zawahała.

— Jeśli nie robicie mi kawału, dowiedz się, że masz przed sobą fenomenalnego jasnowidza, który przepowiedział dokładnie przed paru minutami twój przyjazd. Ale ja i tak wam nie wierzę...

Mężczyzna wyciągnął do mnie rękę i przedstawił się:

— Leon Enigma Stasiński!

— Prezes Stowarzyszenia Psychotronicznego — dorzuciła Szycka.

— Adam Szarek!

Prezes patrzył na mnie z uwagą.

— Rzeczywiście przewidział pan moją tu wizytę?

— Tak. I pan mi uwierzy i będzie próbował mi pomóc.

— W czym pomóc?

— W wyjaśnieniu okoliczności pewnego zdarzenia...

— Bardzo interesujące. A te zdolności prekognicyjne od dawna u pana występują?

Przerwało nam pukanie i w drzwiach ukazała się jakaś kobieta.

— Już drugi wchodzi bez kolejki, a my czekamy! — rzuciła agresywnie pod naszym adresem.

— Proszę nie przeszkadzać — zareagowała ostro Szycka. — Proszę czekać! Za chwilę panią przyjmę.

Pacjentka wycofała się burcząc.

— Muszę przyjąć jeszcze czterech pacjentów — wyjaśniła Stenia.

— To my może sobie pójdziemy — zaproponował Stasiński. — Moi koledzy ze Stowarzyszenia Psychotronicznego czekają na mnie w kawiarni na rynku. Nie darowaliby mi, gdybym im pana nie przedstawił.

Propozycja nie bardzo mi odpowiadała.

— Wolałbym porozmawiać z panem na osobności.

— Tu obok jest wolny gabinet zabiegowy — Szycka wskazała uchylone drzwi.

— Świetnie! — zgodził się prezes, biorąc mnie pod ramię. Pokój zabiegowy był nieduży.

Kozetka, jakiś aparat do elektroterapii, lampa kwarcowa, oszklona szafka z lekami i strzykawkami, krzesło, podręczny stolik. Prezes położył teczkę i płaszcz na krześle.

— Niech mi pan opowie o tych swoich prekognicjach.

Usiedliśmy na kozetce i przedstawiłem mu w skrócie swoje dziwne przeżycia. Cztery przypadki

w ciągu niespełna czternastu godzin! Stasiński wyjął z teczki zeszyt i coś w nim notował.

— Rzeczywiście, bardzo ciekawa postać jasnowidzenia — stwierdził wysłuchawszy mojej relacji. — Rzadko spotykana. Ossowiecki miewał czasem tak realistyczne wizje... Jeśli pan pozwoli, chciałbym przeprowadzić z panem pewien eksperyment.

— Proszę bardzo.

Otworzył teczkę i wyjął cztery duże koperty.

— Tak się składa, że mam ze sobą test przygotowany specjalnie do eksperymentów w zakresie tak zwanej kryptoskopii.

— Krypto?... — nigdy nie słyszałem tego terminu.

— Kryptoskopią nazywamy zdolność rozpoznawania zakrytych przedmiotów. Jest to więc pewna szczególna postać jasnowidztwa. W tych kopertach są rysunki, zdjęcia lub napisy, których treści nie znam. Testy przygotowały nie znane mi osoby. Jest to o tyle ważne, że w ten sposób wykluczamy, a co najmniej ograniczamy, wpływ telepatii na rozpoznawanie zawartości tych kopert. Proszę teraz wybrać jedną z nich i nie otwierając trzymać ją w dłoni.

Wykonałem polecenie.

— Niech pan spróbuje odgadnąć, co jest w tej kopercie.

— Nie wiem — odpowiedziałem szczerze. — Nic mi do głowy nie przychodzi.

— Właściwie nie chodzi o zgadywanie, lecz wyobrazenie sobie osoby przygotowującej test — wyjaśnił Stasiński. — Proszę się odprężyć, przymknąć oczy...

Zacisnąłem powieki, starając się jak najplastyczniej wyobrazić sobie tego człowieka, ale osiągnąłem tylko tyle, że upuściłem kopertę na podłogę.

— Niech pan położy kopertę na kolanach i trzyma ją oburącz — polecił Stasiński. — Czy widzi pan osobę wkładającą test do koperty? Co to jest? Rysunek? Zdjęcie?

Posiedziałem kilka minut z przymkniętymi oczami, lecz nic z tego nie wychodziło. Żadnych wizji.

— Nie potrafię. To dla mnie zbyt trudne — powiedziałem z rezygnacją.

— Niech pan spróbuje wprowadzić się w stan podobny do tego, jaki towarzyszy proroczym wizjom — podsunął prezes.

Znów przymknąłem powieki, ale prawdę mówiąc nie wiedziałem, co mam robić.

— Wątpię, aby mi się udało. To nie zależy ode mnie. Nie potrafię osiągnąć takiego stanu na żądanie.

— Co pan wówczas odczuwa? Jeszcze przed pojawieniem się wizji.

— Niełatwo sprecyzować — stwierdziłem po namyśle. — Jest to jakby... przypomnienie. A jednocześnie czuję się jak po zaciągnięciu papierosem po długiej przerwie w paleniu. Albo po mocnej wódce. Chociaż to nie to samo.

— Czy był pan kiedyś hipnotyzowany?

— Nigdy. Widziałem takie eksperymenty tylko w telewizji.

— A chciałby pan spróbować?

— Nie wiem... — odpowiedziałem z wahaniem. I nagle coś sobie przypomniałem: — Czy to prawda, że człowiek zahipnotyzowany może przeżyć w transie ponownie wszystko to, o czym zapomniał? Czytałem, że jakiś uczonec czy pisarz odtworzył w ten sposób tekst zaginionej książki.

— W głębokim transie hipnotycznym sięga się do podświadomości. A tam pozostają ślady każdego przeżycia. Dlatego podczas transu można, po latach nawet, wydobyć z owej nieświadomej pamięci dawno zatarte szczegóły spostrzeżeń.

Ogarnęło mnie podniecenie.

— A czy pan lub może ktoś z pańskich kolegów umie hipnotyzować? Chciałbym koniecznie

przypomnieć sobie pewne zdarzenie. Jest to dla mnie, i nie tylko dla mnie, sprawa wielkiej wagi!

— Możemy spróbować. Nie, wiem jednak, czy zdołam wprowadzić pana w tak głęboki trans. Zwłaszcza za pierwszym razem. Czy chodzi o wydarzenie bardzo odległe w czasie?

— Minęło zaledwie kilkanaście godzin. Jestem, a właściwie byłem szefem rozruchu elektrowni Rokity. Doszło tam wczoraj do awarii. Przez cały czas siedziałem przy pulpicie sterowniczym, ale zupełnie nie mogę sobie przypomnieć ani wskazań systemów kontrolnych, ani kolejnych czynności. Jeśli popełniłem jakiś błąd, chciałbym wiedzieć konkretnie jaki.

— Zanik pamięci nastąpił po wypadku samochodowym, o którym pan opowiadał?

— W czasie awarii. Jeszcze gdy byłem w nastawni, niczego nie mogłem sobie przypomnieć.

— Stracił pan przytomność?

— Pyta pan, czy zemdlałem? Nie. Na pewno nie. Cały czas siedziałem przy pulpicie. Powstała jednak luka w paśmie przeżyć. Tak jakbym zasnął na chwilę na siedząco i obudził się...

— Jeśli pan zasnął i nie odbierał wrażeń zmysłowych, wówczas i w pamięci nieświadomej może nie być zapisu informacji.

— Nie sądzę, abym rzeczywiście zasnął lub utracił przytomność. Było to w czasie rozruchu, włączania kolejnych agregatów, kierowania dystrybucją mocy... Skupiona uwaga, napięcie... Wie pan, jak to jest w takich chwilach. Może uda się coś z tej mojej podświadomości wydobyć.

Stasiński zastanawiał się i jakby trochę wahał.

— Próbę taką trzeba by przeprowadzić zaraz. O trzeciej muszę być w Łodzi. Nie wiem też, czy doktor Szycka uzna takie doświadczenie za dopuszczalne po wczorajszym wypadku.

— Nic mi nie jest.

— Tego bym nie powiedziała. Otrzymał pan, panie Adamie, zwolnienie i skierowanie na badania — usłyszałem głos Szyckiej.

Stała w uchylonych drzwiach i już chyba od paru minut przysłuchiwała się naszej rozmowie.

— Więc co decydujesz? — zapytał Stasiński chłodno.

— Zezwalam na seans pod moją kontrolą — oświadczyła kpiącym tonem. — *Maestro, please!*

4

Relację o tym, co działo się ze mną w ciągu następnej godziny, zmuszony jestem oprzeć nie tylko na własnych wspomnieniach. Zapamiętałem, co prawda niekiedy nawet bardzo dobrze, niektóre wrażenia zmysłowe — obrazy wzrokowe, słyszane słowa czy odczuwany ból — ale niestety nie jestem w stanie odróżnić halucynacji od rzeczywistych spostrzeżeń. Korzystam tu więc również z relacji Steni Szyckiej i prezesa Stasińskiego, który zresztą pożyczył mi nagraną taśmę magnetofonową.

Z samego procesu wprowadzania mnie w trans hipnotyczny pamiętam dobrze tylko początek. Stasiński wyjął z teczki magnetofon, kazał mi zdjąć marynarkę, położyć się na kozetce i odprężyć. Potem zaczął mówić, jak się czuję i jakich doznaję wrażeń, a raczej jak powinienem się czuć, bo początkowo nie miało to wiele wspólnego z rzeczywistymi moimi doznaniem poza tym, że mój oddech stał się spokojny i miarowy. Starłem się jednak możliwie plastycznie wyobrazić sobie, że czuję to właśnie, co mi sugeruje, i wkrótce istotnie — tak jak mi mówił — odczułem przyjemne ciepło rozplływające się po moim ciele. Ręka, którą kazał mi unosić, była lekka jak piórko albo znów ciężka jak ołów, a na polecenie cierpła mi lewa lub prawa stopa. Było to podniecające, ale i trochę niepokojące.

Stasiński zadawał mi raz po raz pytania dotyczące tych doznań, na które odpowiadałem początkowo dość swobodnie, po pewnym czasie zacząłem jednak mieć trudności z mową (jak wynika z nagrania, był to chwilami wręcz niezrozumiały bełkot). W tym samym okresie zawiodła moja zdolność zapamiętywania kolejnych przeżyć i wróciła dopiero na wyraźne polecenie Stasińskiego, abym po zakończeniu transu dobrze wszystko pamiętał. Ciekawe, że w czasie głębokiego transu poprawiła się również moja mowa.

Stosunkowo nieźle zapamiętałem słowa Stasińskiego i moje odczucia w czasie doświadczenia z papierosem. Powiedział wówczas do mnie:

— Panie Adamie! Za chwilę dotknę pana ręki zapalonym papierosem. Chcę sprawdzić pańską wrażliwość na ból.

Wydało mi się, że czegoś szuka i zapala papierosa.

— Teraz dotykam! — ostrzegł mnie i poczułem na przedramieniu ostry, piekący ból.

Krzyknąłem i cofnąłem rękę. Kątem oka dostrzegłem, jak Stasiński chowa papierosa do kieszeni, ale wcale tym wówczas nie byłem zdziwiony.

— A teraz, dla sprawdzenia wrażliwości dotykowej, dotknę pana ręki ołówkiem. Czy czuje pan dotknięcie? — zapytał po chwili.

— Czuję — odpowiedziałem spokojnie.

Delikatny dotyk ustał. Widziałem, jak Stasiński i Szycka pochylają się nade mną.

W rzeczywistości — jak się później dowiedziałem — przebieg eksperymentu był zupełnie inny: Najpierw hipnotyzer dotknął mojej ręki pisakiem, który wyciągnął mi z kieszeni, a potem dopiero wziął papierosa od Szyckiej (przyglądała się doświadczeniu paląc) i sugerując mi, że to ołówek, przytknąć żar do skóry. Stenia stwierdziła, że nie było śladu oparzenia. Zresztą i ja nic nie

zauważyłem.

Po tym doświadczeniu, wskazującym, że trans jest dość głęboki, Stasiński przeszedł do prób z kryptoskopią.

— Kładę na pana piersi kopertę, którą pan wybrał przed kilkunastoma minutami — usłyszałem jego głos (leżałem z zamkniętymi oczami). — Czy może mi pan powiedzieć, co znajduje się w tej kopercie?

— Nie wiem — odpowiedziałem szczerze.

— Niech pan sobie wyobrazi, że ktoś bierze tę kopertę i otwiera. Jakiś człowiek. Widzi go pan?

— Widzę...

— Mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna.

— Kto to jest? Jak ten mężczyzna wygląda?

Widziałem wyraźnie scenę otwierania koperty i nie miałem najmniejszych wątpliwości:

— To jest pan.

— Ja? Nie. Nie o to mi chodziło. Mam na myśli nie znanego nam człowieka. Może to być kobieta lub mężczyzna, starzec, dziecko... Człowiek ten wkłada coś do koperty. Dużej szarej koperty. Chciałbym właśnie, aby pan, panie Adamie, zobaczył, co w niej schowano. I jak wygląda ta osoba.

Ujrzałem dużą szarą kopertę. Była otwarta. Trzymał ją w palcach mężczyzna w moim wieku lub trochę młodszy. Drugą ręką wziął z biurka kasetę z taśmą magnetofonową i włożył do koperty.

— Widzi pan tego człowieka? — Głos prezesa dochodził jak ze studni.

— Widzę — odpowiedziałem. — Widzę mężczyznę, ma ciemne włosy i krótką brodę. Nosi okulary...

— Co on włożył do koperty?

— Taśmę.

W tym momencie usłyszałem obcy, męski głos. Mężczyzna z brodą stał przy biurku i dyktował:

— Wobec zaistnienia obawy, że podejrzany Szarek Adam będzie próbował ukrywać się, nakłaniać świadków do fałszywych zeznań lub w inny sposób utrudniać postępowanie dochodzeniowe, a także z uwagi na wagę przestępstwa zarządzam tymczasowe aresztowanie podejrzanego...

— Co to za taśma? — zapytał Stasiński.

— Kasetę z nagraniem przesłuchania. Mnie przez prokuratora... — odpowiedziałem bełkotliwie.

Na taśmie w tym miejscu słychać szept Szyckiej:

— On się boi aresztowania. Po tej awarii.

Potem prezes przekazał mi sugestie odprężające i po paru minutach kontynuował doświadczenie:

— Spróbujmy jeszcze raz, nieco inaczej... Nie chodzi o jakąkolwiek kopertę, lecz tę, którą pan podniósł z podłogi.

— Widzę...

— Co pan widzi?

— Kopertę.

— Gdzie się znajduje ta koperta?

— Leży na podłodze. Ja ją podnoszę...

— Gdzie to się dzieje? Jakiś pokój?

— Tak. Stare meble, stylowe...

— Świetnie! Kto jeszcze, oprócz pana, jest w tym pokoju?

— Dwaj mężczyźni. I Wotny.

— Znów chyba pudło — szeptem Szycka.

— Czy może pan określić bliżej, gdzie się ten pokój znajduje? — nie rezygnuje prezes. — Czy to willa czy blok mieszkalny?

— Ten pokój! Chyba w... Rokitach. To dziwne... Jakby w centralnej nastawni...

— Co jest w tej kopercie? — pyta Stasiński, już nieco zawiedzionym tonem.

— Nie wiem.

— Jak wygląda ta koperta?

— Biała. List polecony. „Magister inżynier Karol Wotny, województwo piotrkowskie, Elektrownia Rokity” — przeczytałem adres.

— Jakies przypadkowe reminiscencje — komentuje lekarka.

— Panie Adamie, to nie o tę kopertę chodzi. Jeśli nie jest pan bardzo zmęczony, spróbujmy raz jeszcze. Chodzi mi o kopertę, którą dziś sam pan wybrał. Tylko o tę, a nie inną. Niech pan spróbuje cofnąć się dwa, trzy dni w czasie i znaleźć się w Warszawie... Odnaleźć dom, w którym znajdowała się ta koperta...

Starałem się, jak mogłem, wyobrazić sobie Warszawę i tę ulicę, lecz nic z tego nie wychodziło. Byłem coraz bardziej zmęczony i zaczynałem znów bełkotać. Szycka powiedziała wówczas (według nagrania):

— A może jest to taki jasnowidz, który widzi tylko swoją przyszłość i to czarno widzi.

Ironizowała, ale Stasiński potraktował uwagę poważnie.

— A wiesz, że może masz rację. Spróbujmy zajrzeć w przyszłość.

Stanął nade mną i oznajmił:

— Panie Adamie! Podchodzę do pana i biorę kopertę. Trzymam ją tak, aby pan dobrze ją widział! Widzi ją pan?

— Widzę!

Widziałem wyraźnie, jak trzyma w rękach kopertę, choć w rzeczywistości, jak później się dowiedziałem, nie zrobił żadnego ruchu i koperta nadal leżała na mojej piersi.

— Teraz otwieram kopertę i wyjmuję to, co było w środku. Niech pan patrzy. Co pan widzi?

— Żółty karton. Na nim litery — relacjonowałem swoje halucynacje. — Litery i jedna cyfra, wypisane czarnym mazakiem. To wzór fizyczny... Bardzo wyraźnie widać. Wzór Einsteina: $E=mc^2$.

— Jest pan pewny?

— Widzę wyraźnie!

W tym momencie Stenia była tak ciekawa, że chwyciła kopertę i chciała ją otworzyć, lecz Stasiński złapał ją za rękę.

— Jeszcze nie teraz — zabrał kopertę i położył na stoliku obok magnetofonu.

— Panie Adamie! — zwrócił się znów do mnie. — Czy może pan opisać wygląd osób, które panu przedstawię, gdy stąd wyjdziemy? A także podać słowa, jakie wypowie pierwsza z tych osób? Te osoby czekają na mnie w kawiarence... Idziemy przez rynek i wchodzimy po schodkach. Widzi pan?

— Nie widzę.

— Zaczniemy od wyjścia z tego pokoju. Widzi pan, jak wychodzimy?

Ujrzałem nagle długi korytarz i postać kobiecą.

— Widzę... Jakaś kobieta... Młoda, wysoka, w okularach... Mówi: „Przepraszam”... A potem: „Prezesie, gdzie pan się podziewa”... A jeszcze potem: „Błąd, nie siedemdziesiąt siedem, lecz siedemnaście”.

Wtedy właśnie odezwał się telefon w drugim pokoju, na biurku Szyckiej. Poszła odebrać i po

chwili wróciła.

— Musisz kończyć. Wzywa go dyrektor. Miałeś mu przypomnieć, co robił w czasie awarii — powiedziała do Stasińskiego z wyrzutem (jest to na taśmie; ja nic nie słyszałem). — To mogło być dla niego bardzo ważne.

— Chciałem zająć się tym na końcu... I mogło się udać. Trans zdaje się jest dość głęboki.

— Spróbuj. Powiedziała sekretarce, że jest na zabiegu. Można trochę odwlec.

Stasiński znów stanął nade mną.

— Panie Adamie! Proszę się odprężyć!

Poczułem wyraźną ulgę.

— Czy dobrze mnie pan słyszy?

— Słyszę.

— Chciałbym, aby pan bardzo dobrze zapamiętał wszystko, co za chwilę przeżyje. Wszystko, co pan będzie widział i słyszał. Zgoda?

— Tak. Zapamiętam.

— Możemy zacząć?

— Proszę.

— Cofniemy się teraz do wydarzeń wczorajszego wieczoru. Jest pan w...

— W centralnej nastawni — odpowiedziała Stenia.

— ...w nastawni — powtórzył prezes.

— Co pan widzi?

Siedziałem na obrotowym fotelu przy pulpicie sterowniczym. Obok, na stoliku, monitor zakładowej telewizji. Widzę obraz hali B, gdzie właśnie trwa uroczystość... Minister... naczelny dyrektor z radiotelefonem...

— Czy jest pan w nastawni? — słyszę głos Stasińskiego.

Potwierdzam skinieniem głowy.

— Czy wszystko działa normalnie? Wszystkie wskaźniki prawidłowe?

Przebiegam wzrokiem po monitorach.

— Panie ministrze, czwarty blok pracuje z pełną mocą! — słyszę swój własny głos.

Rozlegają się oklaski. Minister gratuluje staremu... Przełączam na drugą kamerę. Baśka i Tadek przy stole... Obraz na ekranie traci stabilność. Przed oczami robi mi się ciemno. Słyszę głos starego:

— Co się dzieje, kolego Szarek?!

Błysk. Obraz wnętrza nastawni przysłania niebieskawa mgła, która szybko zmienia barwę na seledynową, jasnozieloną, żółtą... Słyszę wibrujący dźwięk. Dźwięk się urywa raptownie i ogarnia mnie ciemność. Pojawia się w niej gwiazda... Nie, to tylko jarzący się bardzo jasno punkt. Punkt rozrasta się w świetlisty krąg. Krąg otacza mnie...

Siedzę nadal w fotelu, ale on toczy się teraz, jakby był na kółkach, w dół, po równi pochyłej. Przedem tunel o różowym prześwicie. Prześwit okazuje się przestronnym pokojem w starym secesyjnym stylu. Stół, fotele, sekretarzyk, jakieś obrazy na ścianach.

Obok mnie dwóch mężczyzn. Ubrani w kolorowe smokingi — zielony i pomarańczowy. Rozmawiają dość głośno, chyba po polsku, ale nic nie mogę zrozumieć. Gramatyka, składnia, akcent niby podobne, lecz co drugie słowo to jakiś dziwoląg. Zapożyczenia z angielskiego, rosyjskiego, niemieckiego, może czeskiego...

Mężczyźni spierają się o coś, a zwłaszcza ten w zielonym ma pretensje do tego w pomarańczowym i gestykulując gwałtownie, często wskazuje na mnie.

— ...i masz teraz faceta. Czego nie pytał gruntarów o timax?... — z trudem wyłapuję z potoku

dziwaczych wyrażen jako tako zrozumiałe słowa.

— Nie pytał... I ty nie pytał!

— ...narobił ty turbulów i nie zaśmiejęm, jak przeczułem korty. Nie mogę się zorientować, o co im chodzi. Czuję się zresztą fatalnie, w głowie mi się kręci i obawiam się, że za chwilę dostanę torsji.

Halucynacje są bardzo męczące.

Mężczyźni już się nie sprzecząją.

— ...musim faceta transtajnić bystro...

— Ba! Zamemił trafpunkt? — pyta zielony.

— Zamemił. Samopis też zakorowan. Jest gwarant...

Pomarańczowy podchodzi do sekretarzyka i bierze gruby, długi ołówek. Zielony pyta o coś. Jest wyraźnie zaniepokojony.

Pomarańczowy zaczyna kreślić jakieś znaki na otwartym blacie sekretarzyka.

— Punkcij ekstra! — ostrzega jego towarzysz. Pomarańczowy kończy kreślenie i mówi:

— Gatow! Mam akcić!

— Moment. Weźmiem identgraf.

— Dobra. Co mu rzec?

— Autograf proszę dziękuje — odpowiada zielony, jakby czytał z rozmówek.

Pomarańczowy podchodzi do mnie z ołówkiem i wyciąga z niego zwitek białej folii, która sama rozprostowuje się, przybierając postać kartki papieru.

— Autograf proszę dziękuje — mówi z głupekowatym uśmiechem i podaje mi ołówek... z secesyjną nasadką. Zupełnie podobny do tego, który mam zwrócić Wotnemu.

Biorę pisak, a mężczyzna trzyma przede mną kartkę.

— Autograf proszę dziękuje! — ponagla.

Folia jest twarda jak metalowa płytką.

— Zdziałał! — woła radośnie pomarańczowy na widok mego podpisu i podbiega w podskokach do sekretarzyka.

— Akcij! — rozkazuje jego towarzysz.

Gwałtowne przyspieszenie. Świat zaczyna wirować. Czuję się jak na rozkołysanej karuzeli. Na moment ogarnia mnie ciemność, to znów oślepiająca biel mgły, a między nimi strzępy obrazów, które pojawiają się i znikają natychmiast, aby ustąpić miejsca innym. Potem nagle wszystko eksploduje jakby feerią sztucznych ogni. Deszcz kolorowych iskier opada wolno, zmieniając się w pulsujące światełka.

Jestem chyba półprzytomny, chociaż nie odczuwam już mdłości. Ruch wirowy ustał. Dostrzegam przed sobą nastawnię, w oddali, jakby w świetlistym kręgu, jakiś człowiek... Wotny? Wstaje z klęczek... Biegnie ku mnie... Cofa się. Czyżbym go uderzył?... W jego oczach przerażenie i Upadł. Zielony pochyla się nad nim...

Wotny gdzieś się podział. Na podłodze przede mną coś bieleje. Koperta? Nachylam się i podnoszę... Ktoś mi coś czerwonego wciska do ręki. To mężczyzna w pomarańczowym smokingu. Coś, mówi o jakimś „zagubie”, czego nie rozumiem. Róża?...

Znów rusza „karuzela” i robi mi się niedobrze. Obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie. Jeszcze raz pojawia się zielony... I Wotny leżący na podłodze... obok fullera. Martwe ekrany monitorów.

Teraz już wszystko zaczyna mi plątać się i rwać, choć z pozoru obrazy wydają się bardziej realne. Nie ma już świetlistego kręgu. Jestem chyba w nastawni. Baśka w roboczym kitlu. Na jej

twarży zaskoczenie, a potem radość. Widzę twarz bardzo blisko, tuż przy mojej. Baśka mnie całuje?

...

Znów Wotny. Patrzy na mnie z panicznym lękiem. Odpycha mnie. Broni się?...

Gdzie ja właściwie jestem? W samochodzie? Prowadzę malucha. Droga przez osiedle. Jest noc...

Stoję w progu swego mieszkania, przechodzę przez przedpokój, zapalam światło... Na tapczanie dwa nagie ciała. Mężczyzna i kobieta spleceni w uścisku. Baśka z Tadkiem? Nie, to nie Baśka! To Stenia Szycka! Ale z kim? Wotny? On czy nie on?

Mężczyzna unosi głowę. W tym momencie czuję ostry ból pod czaszką. Wszystko zapada się jakby w studnię. Wokół wirują szaleńczo ludzkie postacie. Baśka, Stenia, Wotny, nieznajomy o wyblakłych oczach, jakaś naga kobieta z jasnoblond włosami... Twarze znajome i nieznane...

Z chaosu obrazów i dźwięków wydobył mnie i przywrócił do rzeczywistości głos Stasińskiego.

— Proszę się odprężyć! Teraz pan zaśnie i obudzi się za dwie minuty zupełnie spokojny i wypoczęty. Będzie pan pamiętał swe przeżycia transowe i opowie nam o nich.

Otworzyłem oczy. Leżałem na kozetce. Prezes stał w moich nogach i przyglądał mi się wyczekująco. Na krześle obok kozetki siedziała Szycka i badała mój puls.

— No i jak się pan czuje? — zapytał Stasiński.

— Świetnie — odpowiedziałem, przede wszystkim, aby mu sprawić przyjemność.

— Przypomniał pan sobie, co działo się w czasie awarii? Niestety, musiałem go rozczarować.

— Nic z tego nie wyszło. To co pamiętam, to jakiś koszmar. Jar kies męczące majaczenia, bez ładu i składu, nie mające nic wspólnego z awarią. Lęki, ucieczki, pogonie, wędrówki w tunelach, spadanie do szybów czy studni... Zupełnie jak u Moody'ego w „Życiu po życiu”. Spotkania z różnymi ludźmi. Koleżankami, kolegami, ale też jakimiś obcymi kobietami i mężczyznami... Niektórzy ubrani w dziwne stroje, mówiący niby to po polsku, ale zupełnie niezrozumiale. Znane mi i nie znane miejsca i przedmioty. Wszystko pomieszane, jak we śnie... Byłem też w nastawni, nawet parę razy, ale nadal nie wiem, co się ze mną działo tamtego wieczoru.

— Ciekawe... — zamyślił się prezes. — Jakieś bardzo nietypowe doznania jak na trans hipnotyczny. Podobne fantastyczne wizje występują raczej we śnie lub pod wpływem narkotyków. Czy jest coś, co pana szczególnie zaniepokoiło w tych przeżyciach?

— Trudno powiedzieć. Wszystko, nawet najdziwniejsze halucynacje przyjmowałem bez emocji, dość obojętnie. Teraz, gdy zaczynam się zastanawiać... — urwałem i spojrzałem na Szycka. Czy halucynacja słuchowa, jakiej doznałem w czasie rozmowy telefonicznej Kabackiego z lekarką, mogła wiązać się z tym, co widziałem w transie? Stenia kochanką Wotnego? Może zmusił ją? Może wie coś, co ona chce ukryć?

— Czy pani się go boi? — zapytałem cicho.

Wydało mi się, że w jej oczach dostrzegam błysk niepokoju.

— Kogo?

— Wotnego. Widziałem panią... i jego...

Wpatrywała się we mnie, ale jakby z ulgą.

— Niech się pan uspokoi, panie Adamie. Nic mi ze strony inżyniera Wotnego nie grozi — powiedziała, uśmiechając się nieznacznie, jakby chciała podkreślić, że nie traktuje poważnie moich słów. — Nie każde przywidzenie musi być jasnowidzeniem. Pan jest chyba troszkę o mnie zazdrosny... Prawda?

— Jeśliby Wotny próbował zrobić pani jakieś świństwo, to go zabiję! — oświadczyłem buńczucznie, pozostawiając jej uznaniu, czy jest to żart, czy raczej poważna deklaracja. Szycka nie

podjęła jednak tematu.

— Te koszmary mogą być spowodowane zaburzeniami świadomości po wypadku — orzekła, zamykając sprawę. — Może jednak otworzymy już kopertę. Pan Adam powinien jechać...

— Dobrze! — zdecydował Stasiński. Wziął kopertę ze stolika, rozerwał ją i wyjął żółty karton. Był na nim nakreślony czarnym mazakiem wzór: $E = mc^2$

— Wspaniale! — zawołał prezes rozpromieniony. — Jeśli myślisz, że we wszystkich kopertach znajdziesz to samo, proszę cię, sprawdź! — zaproponował Szyckiej.

Stenia wzięła z teczki inną kopertę i otworzyła. Była tam kolorowa wycinanka łowicka.

— A co by było, gdybym wtedy, lub teraz, otwarła tę wylosowaną kopertę? Ja, a nie ty? — spytała niezbyt pewna siebie.

— Nie zmieniliby to faktu, że pan inżynier posiada zdolności jasnowidzenia. Drobne różnice dotyczące okoliczności nie mają znaczenia. Prawie zawsze zdarzają się jakieś odchylenia.

— Jest jeszcze druga przepowiednia — podjęła Szycka i mrugając do mnie powiedziała: — Jeśli pan, panie Adamie, pozwoli, proponuję nie dopuścić do potwierdzenia, się przewidywań. Na przykład niech pan wyjdzie stąd sam, a ty, Leonie, poczekaś.

— Nie ma mowy! — zaproponował Stasiński. — Muszę przedstawić pana inżyniera kolegom. Musimy się umówić na dalsze eksperymenty.

— Wobec tego inny wariant: wyjdziecie razem, ale tylnymi drzwiami, od podwórka. Jeśli ktoś na ciebie czeka, to od frontu. Stasiński uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Jeśli tak ci na tym zależy, prowadź. Ale wierz mi: nie ma to większego znaczenia. Umawiałem się w kawiarni...

Szycka otwarła drugie drzwi i poprowadziła nas ciemnym korytarzem. W głębi, od strony drzwi prowadzących na podwórko, siedł ku nam jakiś wysoki, młody chłopiec z torbą przewieszoną przez ramię. Na nasz widok przyspieszył kroku i zamachał do nas ręką. Gdy już był blisko, zauważyłem, że to nie chłopak, lecz smukła dziewczyna w dzinsach. Poznałem ją — ta sama, którą widziałem w transie.

— Przepraszam! — powiedziała, przechodząc między mną a Stenią. — Prezesie, gdzie pan się podziewa? — zwróciła się do Stasińskiego — go. — Szukam pana po całym budynku i zabłądziłam. Powiedziano mi, że jest pan pod „trójką” u doktor Szyckiej, ale w gabinecie nikogo nie było. Musimy już jechać!

— Zaraz ruszamy — odrzekł spokojnie Stasiński i dokonał prezentacji. — Państwo pozwolą, pani redaktor Malinowska. Pracuje w redakcji popularnonaukowej w telewizji na Woronicza. Z wykształcenia psycholog, nasz spec od fotografii dokumentarnej... Pani doktor Szycka i pan inżynier Szarek. Pan inżynier jest obdarzony niezwykłymi zdolnościami prekognitywnymi. Przypadek, który panią szczególnie zainteresuje. Właśnie przeprowadziliśmy kilka eksperymentów. Z pełnym sukcesem. Między innymi pan inżynier przewidział nasze spotkanie i słowa przez panią wypowiedziane przed chwilą. Sprawdziła się już większość przepowiedni. Bardzo wiernie. Najlepiej byłoby, gdyby pan inżynier pojechał z nami do Łodzi. Jest przecież w wozie jedno wolne miejsce...

— Niestety — wtrąciła Stenia. — Inżynier Szarek musi zaraz wracać do pracy. Przed ośrodkiem czeka na niego samochód.

Stasiński uśmiechnął się.

— Doktor Szycka próbuje utrudnić spełnienie się przepowiedni. Ale jak dotąd nie bardzo jej się to udaje. A może pan, panie Adamie, przyjedzie sam do Łodzi po południu?

— Nie sądzę, żeby znalazł czas...

— Co więc proponujesz, Steniu?

— Myślę, że inżynier powinien nas pożegnać. Może mieć przykrości.

Prezes nie dał jednak za wygraną.

— Chwileczkę. Tak pana nie wypuszczę. Musimy chociaż ustalić sposób nawiązania kontaktu. Wszystko, co tutaj robiliśmy, to przecież dopiero pierwsze próby. Moglibyśmy tu wstąpić, wracając z Łodzi... Czy jutro wieczorem znajdzie pan dla nas czas?

— Chyba tak — odpowiedziałem i zacząłem się wahać. — Chociaż... skąd mogę wiedzieć, co będzie ze mną jutro?

— Ładny z pana jasnowidz! — zaśmiała się Stenia i zrobiło mi się trochę głupio. .

— Gdzie pan dziś będzie około ósmej? — zapytał Stasiński.

— Dziś wieczorem?... Chyba w swoim mieszkaniu.

— Ma pan telefon?

— Tak, ale już drugi tydzień milczy.

— Można zadzwonić z elektrowni albo ode mnie. Podaj numer, ja przypilnuję inżyniera, aby do was zatelefonował — Stenia przejęła inicjatywę.

— Dziś wieczorem będziemy u docenta Rawika. U niego w mieszkaniu. Zaraz panu dam numer jego telefonu i adres, gdyby się pan zdecydował przyjechać.

Stasiński sięgnął do teczki i wyjął notes. W korytarzu było zbyt ciemno, więc podszedł do okna i zaczął wertować spis telefonów. Towarzyszka mu dziennikarka, nie mogąc się doczekać, aż znajdzie nazwisko, otworzyła torbę i wyciągnęła wizytówkę.

— Już mam — ucieszył się prezes. — 23 08 77!

— Błąd! Nie siedemdziesiąt siedem, lecz siedemnaście — sprostowała. — Mam wizytówkę docenta!

— Genialne! — wykrzyknął Stasiński z zachwytem.

— Że mam wizytówkę? — zdziwiła się dziennikarka.

— Ależ nie. Niech pani sobie wyobrazi, że w ten sposób potwierdziła się kolejna przepowiednia pana inżyniera! I to poniekąd dzięki tobie, Steniu — uśmiechnął się serdecznie do Szyckiej. — Chyba teraz wierzysz?

Szycka wzięła czystą kartkę, wyrwaną przez Stasińskiego z notesu i zanotowała numer telefonu docenta.

— Rzeczywiście bardzo to dziwne... Można pomyśleć, żeście się umówili... Ale pan naprawdę musi już jechać, inżynierze!

— Przyrzeknij mi, że zadzwonicie do nas. Dziś wieczorem!

— Przyrzekam — potwierdziła Stenia. — Solennie!

Ale mnie się wydało, że „moja miłość” kpi i ogarnęły mnie jakieś nie skonkretyzowane, złe przecucia.

5

Tadek stanął na parkingu przed wejściem do dyrekcji. Wsiadłem i przeszedłszy przez podjazd, zacząłem wchodzić na stopnie. Jakoś nie bardzo paliłem się do spotkania ze starym i nowych jego pomysłów. Widziałem, gdyśmy wjeżdżali na teren zakładu, że na spalonej podstacji kilku ludzi zajętych jest naprawą. Pomyślałem teraz, że dobrze byłoby przekonać się osobiście, co uległo zniszczeniu. Jeszcze parę minut zwłoki nie ma z pewnością większego znaczenia. Zawróciłem więc i poszedłem chodnikiem wzdłuż muru w kierunku podstacji.

Tuż za rogiem, przy ścianie siłowni, ustawiono prowizoryczne rusztowanie, które musiałem ominąć. Na ułożonych dość niedbale deskach stał Kazio Molik i zamalowywał białą farbą okopcenie przy wentylatorze. Byłem trochę zaskoczony, bo Baśka nic nie wspominała o pożarze wewnątrz gmachu.

— Dzień dobry panu, panie inżynierze! — zawołał z góry robotnik. — Nieźle musiało się kopać. Niechluję wrzucili do szybu jakieś naoliwione szmaty. Ale skąd ogień? Co to było, panie inżynierze?

Spojrzałem na niego i w tym momencie poczułem, że znów się zaczyna... Przymknąłem powieki i natychmiast pojawiła się wizja.

Kazio Molik na rusztowaniu. Spogląda w dół, cofa się, stawiając nogę na drugiej desce. Widzę, jak deska ta przesuwa się. Kazio traci równowagę, pędzel wypada mu z ręki, próbuje chwycić się poziomego wiązania... Na próżno... Spada... Słyszę jego rozpaczliwy krzyk, który raptownie milknie...

Kazio stał nadal na rusztowaniu i czekał, co powiem. A ja patrzyłem na niego, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Powoli przytomniałem.

Widząc, że nie mam chęci do rozmowy, Kazio zabrał się do roboty. Patrzyłem, jak nachylił się, sięgnął pędzlem do wiaderka z farbą. I wtedy deska, na której stał, nieznacznie się przesunęła.

— Panie Kaziu! Uwaga, deska! — zawołałem ostrzegawczo.

Spojrzał na mnie i cofnął się. Tak pośpiesznie i niezręcznie, że właśnie ta deska, na którą chciał przeskoczyć, usunęła mu się spod nóg. Spadł na chodnik, tuż przy jego krawędzi.

Stałem jak sparalizowany. Przecież to właśnie ja swoim niefortunnym ostrzeżeniem spowodowałem wypadek.

Nadbiegli monterzy zaalarmowani krzykiem. Otoczyli leżącego nieruchomo Molika. Ze strzępów zdań, jakie dotarły do mojej świadomości, zrozumiałem, że żyje, tylko jest nieprzytomny.

Odczułem niewielką ulgę, ale niemal jednocześnie pojawił się inny, jakiś wstrętny strach. A jeśli on odzyska przytomność i powie, że to ja...

— Nie ruszajcie go! Nie wolno go ruszać! — usłyszałem głos Tadka. Już był na miejscu wypadku: szybki, opanowany, świadomy, co trzeba robić.

— Panie inżynierze, niech pan dzwoni po pogotowie! I powie dyrektorowi, że pojechałem po Szycką — przejął już inicjatywę.

W korytarzu prowadzącym do sekretariatu dyrektora wpadłem na Baškę. Wyraźnie czatowała na mnie.

— Czekaj — powiedziała szeptem i chwyciła mnie za rękę. — U starego jest jakiś facet. Chyba z milicji. Lepiej tam nie wchodzić.

— Muszę wezwać pogotowie. Kazio Molik spadł z rusztowania.

Wszedłem do sekretariatu. Lucyny nie było. Stałem za biurkiem i pospiesznie zacząłem szukać w podręcznym spisie pod szkłem numeru pogotowia. Znalazłem i sięgnąłem po słuchawkę. W tym momencie usłyszałem brzęk szklanki i odruchowo spojrzałem w kierunku gabinetu.

Drzwi były uchylone. Lucyna podawała kawę staremu i jego gościowi. Młody, przystojny mężczyzna z krótką strzyżoną brodą...

To był on — prokurator z wizji.

Moja ręka, sięgająca po słuchawkę, zatrzymała się w pół drogi. Uciec? Nie ma sensu, nic to nie zmieni... — pomyślałem z rezygnacją.

Lucyna wróciła z pustą tacą. Zamknęła za sobą drzwi gabinetu i powiedziała do mnie naburmuszona:

— Co pan tu robi? Niech pan idzie do swego pokoju i czeka, aż pana wezwą. Dyrektor jest wściekły. Specjalnie wysłaliśmy po pana samochód. A teraz to już musztarda po obiedzie... No, na co pan czeka? Lepiej niech się pan tu nie kręci.

— Trzeba zadzwonić do pogotowia. Molik spadł z rusztowania.

— Kazio? O Boże! Ale chyba nic poważnego?

— Nie wiadomo. Jest nieprzytomny. Tadek pojechał po doktor Szyką. Niech pani zawiadomi dyrektora.

— Zaraz zadzwonię na pogotowie. A pan niech już idzie. Coś mi się zdaje, że byłoby lepiej, gdyby się pan tu w ogóle nie pokazywał — dorzuciła szeptem, wykręcając numer. — Halo, pogotowie?...

W korytarzu czekała nadal na mnie Baśka.

— No i co?

— Lucyna dzwoni... Powinni zaraz przyjechać.

— A co z tobą?

— Jeszcze nic. Mam czekać. Chyba miałaś rację...

— To znaczy?

— Ten facet przyjechał po mnie. To prokurator.

— Skąd wiesz, że po ciebie?

— Wiem... I najgorsze, że na to nie ma rady. Będę aresztowany.

Popatrzyła na mnie z niepokojem.

— Ależ dlaczego?

— Gdybym to ja wiedział... Gdybym cokolwiek z tego rozumiał...

— Myślisz, że stary cię wrabia?

— Nie wiem... — zawahałem się. — Czy jest Palinka?

— Chyba tak.

Ruszyłem w głąb korytarza. Na jego końcu, obok rady zakładowej, miał swój pokój sekretarz POP. Zza zamkniętych drzwi usłyszałem jego podniesiony głos. Pomyślałem, że jest to właściwie ostatnia okazja do rozmowy, więc nawet nie pukając nacisnąłem klamkę.

Palinka siedział za biurkiem i telefonował, a ściślej — wyklócał się z kimś o jakieś miski i spłuczki, prawdopodobnie do mieszkań w nie ukończonych jeszcze blokach. Był nie ogolony i chyba w ogóle na noc nie wrócił do domu. Na mój widok nie zareagował zbyt przyjaźnie, ale gestem wskazał mi krzesło.

Usiadłem, czekając, aż skończy rozmowę, i aby opanować zdenerwowanie, zapaliłem papierosa. Palinka też widać był w podobnym nastroju, bo odłożywszy słuchawkę, natychmiast sięgnął po papierosy.

— Człowiek musi się zajmować za przeproszeniem sraciami, gdy nie starcza czasu na naprawę ważne sprawy — powiedział w tonie usprawiedliwienia, dając mi jednocześnie do zrozumienia, że rozmowa będzie krótka. — Co z wami, inżynierze?

— No właśnie... — nie bardzo wiedziałem, jak zacząć. — Myślałem, że od pana się dowiem, kto i o co mnie oskarża. Bo z tego, co mi rano mówił Kabacki, mogę wnioskować, że wyznaczyliście mi rolę kozła ofiarnego.

— Ależ... — zachnął się Palinka. — Gadacie głupoty! Musieliście go źle zrozumieć. Faktem jest, żeście nawalili w krytycznym momencie.

— Wotny kłamie, że opuściłem nastawnię. Nigdzie nie wychodziłem.

— Ja wam wierzę. Chociaż Wotny niekoniecznie musi kłamać. Mógł oślepnąć od tych błysków. Ale to nie zmienia faktu, że byliście odpowiedzialni za rozruch. I musicie ponieść konsekwencje. To fakt. Idzie o to, aby możliwie je ograniczyć, i o to tak Kabacki, jak i ja się staramy. Nie żądajcie jednak, abyśmy was kryli. Muszę wam powiedzieć, że sytuacja jest delikatna. Kabacki jest też pod naciskiem od dołu. Trzeba brać pod uwagę, co ludzie mówią. A mówią, że kiedy Łabuda z ciepłej „dwójki” się upił i narozrabiał w czasie nocnego dyżuru, dostał od razu wypowiedzenie, chociaż nie było pożaru ani żadnej awarii sieci.

— Jest chyba pewna różnica między mną a Łabudą...

— No właśnie. Idzie o różnice stosunku do szeregowych pracowników i członków kierownictwa...

— Łabuda to znany pijus, czego o mnie chyba nie można powiedzieć.

— W momencie awarii nie byliście trzeźwi. Wiem, wiem — nie dał mi dojść do słowa widząc, że próbuję protestować. — Wypiliście tylko jeden kieliszek wina. Nie zapominajcie jednak, że byliście zmęczeni. Spaliście tylko parę godzin. Czasem wystarczy niewielka ilość alkoholu... To wszystko braliśmy z Kabackim pod uwagę. Ale dla ludzi fakt jest faktem. Wiecie, jak to jest... Gdyby zresztą tylko o to chodziło... Wypominają wam, że dostaliście mieszkanie w pierwszej kolejności, chociaż jesteście kawalerem...

— Sami mnie namawialiście, żebym brał.

Palinka popatrzył na mnie zmęczonym wzrokiem.

— Namawiałem, bo was cenię. I należało wam się. Ale wiecie jak to ludzie... A tak po prawdzie, to wszystko przez te braki materiałowe i kłopoty z budowlańcami. Ludzie zrobili się niecierpliwi. Myślą, że drugą Polskę można od razu zbudować. Zresztą sami rozumiecie, jak to jest.

Byłem wstrząśnięty. Dotąd wydawało mi się, że jestem lubiany przez załogę.

Sekretarz widocznie zauważył moje rozgoryczenie, bo starał się mnie pocieszyć.

— Nie martwcie się. To im przejdzie. Ja mam większe kłopoty. Wybory do organizacji związkowej. A ta nowa instrukcja na pewno się nie spodoba. Cała nadzieja w tym, że większość ludzi ma gdzieś, kto ich będzie reprezentował. To oczywiście źle — zreflektował się szybko. — Ale w naszej sytuacji — może i lepiej... A w waszej sprawie myślę, że wszystko dobrze się skończy — powiedział wstając i uśmiechnął się do mnie. — Porozmawiam jeszcze z Karolakiem.

Nie było sensu przedłużać rozmowy. Podziękowałem i wyszedłem.

Baśka jeszcze ciągle czekała w korytarzu.

— No i co? — zapytała tak samo jak poprzednio.

— Nie bardzo. Palinka próbował mnie uspokoić, że wszystko dobrze się skończy, ale ja wiem, że

będzie inaczej. Najgorsze, że lud domaga się mojej głowy...

— Co ty pleciesz?

— Podobno mówi się w zakładzie, że Kabacki mnie kryje, bo należę do dyrektorskiej kliki. Wypomina mi się, że dostałem bezprawnie mieszkanie, i nie wiem co jeszcze...

— To niezupełnie tak. Rzeczywiście wokół spraw mieszkaniowych jest sporo śwędu, ale to z powodu przeciągania się budowy osiedla, a przede wszystkim oddania już do użytku dwóch bliźniaków dyrekcyjnych. Chodzi też o brak pawilonu handlowego i w ogóle złe zaopatrzenie. A tobie to ktoś próbuje szyc buty. Nietrudno zresztą domyślić się kto...

— Wotny zdolny jest do wszystkiego. Ale ja się nie dam szantażować. Nie zrobią ze mnie kozła ofiarnego! Zastanawiała się chwilę.

— Słuchaj! — powiedziała tknięta nową myślą. — Mam znajomego adwokata. Specjalista od spraw karnych. Kolega mojego ojca. Bardzo znany, świetny obrońca. Mecenas Kamasa. Mieszka w Łodzi. Możesz mu całkowicie zaufać. Jeśli cię szantażują albo...

— Nie, nie. To nie to...

— Chodź! — ujęła mnie za rękę serdecznym gestem. — Coś wymyślimy.

Niewińska była wśród moich kolegów chyba jedynym prawdziwym druhem, na którego zawsze mogłem liczyć. Pracowała u nas niespełna dwa lata, a ze mną od ośmiu miesięcy, ale tak to bywa, że niektórych ludzi nie poznasz, mieszkając z nimi w jednym pokoju przez całe życie, a o innych wiesz z całą pewnością już po godzinie, jak się zachowają wobec ciebie w trudnych sytuacjach. Baśka, rzecz jasna, należała do tych drugich i wiele razy mogłem się przekonać, że potrafię z góry przewidzieć jej reakcję.

Jako kobieta nie była w moim typie, choć niewątpliwie miała dużo dziewczęcego wdzięku i niektórzy z kolegów chętnie by się z nią przespali. Nie miała jednak jak dotąd, przynajmniej w naszym zakładzie i osiedlu, żadnego chłopaka, jeśli nie liczyć Tadka, który kręcił się koło niej wytrwale od pierwszych miesięcy jej pobytu w Rokitach. Zresztą i ona wyraźnie lubiła przebywać w jego towarzystwie, lecz nie pozwalała na poufałości.

Gdy po studiach skierowano ją do nas na staż, wyglądała jak licealistka i nikt nie traktował jej poważnie. Potrafiła jednak w krótkim czasie wykazać, że jest solidna w robocie i nie tylko szybko chwyta, czego się od niej wymaga, ale ma sporo wiadomości, które mogą się przydać w naszej pracy. Nawet Wotny, który początkowo nie bardzo ją tolerował, nie mógł powiedzieć o niej złego słowa. Dlatego już po kilku miesiącach stała się moją prawą ręką, a wkrótce i bliskim przyjacielem, mimo dużej, niemal dziesięcioletniej, różnicy wieku.

Ciekawe, że w ogóle chętniej przebywała w towarzystwie kolegów niż koleżanek, i tak na dobre nie przyjaźniła się z żadną. Być może dlatego, że była jedyną kobietą inżynierem w naszym zakładzie, lecz to z pewnością wszystkiego nie tłumaczy.

Jeśli idzie o starego, chętnie podkreślał swój troskliwy, ojcowski stosunek do Niewińskiej. Myślę, że nie bez znaczenia był też fakt, iż ojciec Baśki dyrektorował jakiemś dużemu zakładowi przemysłowemu na Śląsku, kooperującemu z bielską Fabryką Samochodów Małolitrażowych. Stamtąd też pochodził maluch Baśki, przekazany jej w prezencie przez ojca po dwudziestu tysiącach przebiegu. Początkowo nie chciała go przyjąć (od trzech lat była z ojcem w konflikcie na tle jakichś „zasadniczych” różnic w poglądach politycznych), lecz w końcu uzgodnili, że będzie mu spłacać samochód z pensji. To ja zresztą podsunąłem jej takie rozwiązanie. Właśnie minęło pół roku od dnia, w którym ukradziono mi moją starą syrenkę (zaraz po remoncie), i dopiero co zapisałem się na nowy wóz. Zastanawiałem się nawet, czy nie poprosić Baśki o pomoc w przyspieszeniu przydziału, ale rychło się zorientowałem, że byłby to z mojej strony skandaliczny nietakt.

W ogóle o pewnych sprawach trudno było z Bašką rozmawiać. Jej wyobrażenia o naszym świecie pozostawały ciągle jeszcze w sferze młodzieńczych (bo chyba nie dziewczęcych) złudzeń, a co gorsza opierały się na przekonaniu, że należy nie tylko poznać, ale i zmienić świat. Zwierzyła mi się kiedyś, że próbowała to nawet robić i była o krok od konfliktu z prawem. Posądzała też ojca, iż maczał palce w skierowaniu jej do Rokit, aby oderwać ją od „niebezpiecznego” środowiska. O tym epizodzie w swoim życiu mówiła niechętnie nawet ze mną i czułem, że boi się, aby nie powiedzieć za wiele.

Dobrze ją zresztą rozumiałem, tak jak chyba i ona mnie. Baška zawsze potrafiła wyczuć, kiedy miałem jakieś kłopoty i, co więcej, jak może mi pomóc. Ta pomoc polegała najczęściej nie tyle na rozwiązywaniu konkretnych problemów lub podsuwaniu genialnych pomysłów, ile na ukazywaniu sprawy jak gdyby z nieco innej strony, a nawet choćby tylko zasygnalizowaniu, że nie jestem sam. Czasem przecież wystarczy jedno słowo lub gest...

Teraz była to sprawa trudniejsza i Baška wiedziała, że aby mi pomóc, musi chociaż najogólniej orientować się, o co chodzi. Moje zachowanie i wygląd świadczyły wyraźnie, że sprawa jest poważna.

W naszym służbowym pokoju usiadłem przy biurku i ogarnęły mnie najczarniejsze myśli. Baška stała nade mną i próbowała zmusić do działania.

— Może jednak pojedziesz do Kamasy? Za czterdzieści minut masz pociąg, do Łodzi. Powiem staremu, że się źle poczułeś i wystąpiam cię do domu. Myślę zresztą, że stary też by wolał, abyś nie spotkał się z prokuratorem, zanim z tobą nie porozmawia. Moglibyśmy do Kamasy pojechać razem, tak byłoby najlepiej. Zawiozłabym cię maluchem. Niestety, stary mnie też ściągnął, tak jak ciebie, i muszę czekać.

— Pewnie ten prokurator chce cię też przesłuchać...

— Chyba tak. I dobrze będzie, jeśli ja pierwsza się zorientuję, co jest grane.

— Nie spałaś... Mogą być podchwytliwe pytania...

— Spałam dwie godziny. Nie bój się, dam sobie radę. Mam trochę praktyki... Ale ty powinieneś jechać do Kamasy.

— Co mi może pomóc ten twój mecenas?

— Szkoda, że nie chcesz być ze mną szczery... Ale chyba cię rozumiem. Pamiętaj jednak, że możesz zawsze na mnie liczyć.

— Nic nie rozumiesz. Mnie chyba bardziej przydałby się psychiatra niż adwokat...

— Jeśli to sam mówisz, nie jest z tobą tak źle — usiłowała mnie pocieszyć. — Powiedz to właśnie Kamasie, a on już będzie najlepiej wiedział, jaką taktykę należy zastosować.

Zadzwoił telefon. Chciałem sięgnąć po słuchawkę, ale Baška mnie wyprzedziła.

Dobiegł mnie niewyraźny głos sekretarki starego.

— Niestety, pani Lucyno — odpowiedziała Baška. — Inżynier Szarek przed chwilą wyszedł. Poczł się znów niedobrze, więc namówiłam go, aby poszedł do domu. Tak. Rozumiem, ale to będzie trudne. Radziłam mu, żeby się trochę przespacerował. To dobre na serce i nerwy... Nie wiem. Zupełnie się nie orientuję, którędy poszedł. Oczywiście. Gdyby wrócił, powtórzę, że ma się natychmiast z panią połączyć. Ale to mało prawdopodobne...

Baška odłożyła słuchawkę na widełki i popatrzyła na mnie w milczeniu. Potem wzięła z biurka notes i długopis. Na wyrwanej kartce zanotowała numer telefonu.

— Wyjdiesz tylnym wejściem — zaczęła mnie instruować. — Potem przez parking do bramy. Nie powinni cię z okna zauważyć, a jeśli cię zatrzymają w bramie, to będzie znaczyło, że staremu bardzo zależy, abyś się odnalazł. Pójdiesz piechotą wprost na dworzec. Za pół godziny masz pociąg.

Na pewno zdążysz. Tu masz telefon Kamasy — podała mi kartkę. — Adresu dokładnego nie pamiętam, ale dowiesz się, jak zadzwonisz.

— To się na nic nie zda. Zatrzymają mnie w bramie. Wiem z całą pewnością, że będę aresztowany. I nie ma sposobu, abym tego uniknął. To się nazywa... fatum.

— Głupstwa pleciesz! Nigdy nic nie należy przesądzać.

— Gdybym ci opowiedział, co dziś rano przeżyłem...

— Opowiesz mi, jak wrócisz. Teraz już idź, bo nie zdążysz na pociąg — popchnęła mnie ku drzwiom.

Wyszedłem tylnym wejściem, a potem tak, jak mi kazała Baśka. Wartownik drzemał na ławce. Minałem go i nie zatrzymany przez nikogo ruszyłem drogą w kierunku stacji.

6

Na peronie małej stacyjki czekało zaledwie parę osób. Jakaś kobiecina z wielkimi kosztami i małżeństwo z dwojgiem dzieci. Kasa biletowa była nieczynna, więc gdy pociąg przyjechał, zgłosiłem to konduktorowi i wsiadłem do najbliższego wagonu.

W korytarzu nie spotkałem nikogo, jednak mijane przeze mnie przedziały wypełniali podróżni. Dopiero w piątym z kolei znalazłem wolne miejsce. Pociąg ruszył, a ja w zamyśleniu patrzyłem w okno na zmieniający się wolno krajobraz wiejski, z rzadka poprzecinany polnymi drogami.

Na przeciwległej ławce siedziała młoda zakonnica, obok niej jakiś grubas w czapce z daszkiem, a tuż przede mną mężczyzna w ciemnoszarej kurtce. Spojrzałem na jego twarz i poczułem się nieswojo. To był chyba ten sam mężczyzna, który podszedł do mnie i poprosił o ogień wczoraj wieczorem na parkingu.

Zacząłem się zastanawiać, czy to możliwe. Tamten przyjechał na pewno razem z gośćmi. Mógł być kierowcą lub funkcjonariuszem czuwającym nad bezpieczeństwem członka rządu. To drugie mniej zresztą prawdopodobne, bo ochroniarz powinien pilnować ministra, a nie kręcić się po parkingu. Niezależnie zresztą od tego, kim był tamten nieznajomy, skąd znalazłby się w pociągu osobowym wlokącym się z Krakowa do Łodzi? Czy wreszcie mogę ufać własnej pamięci? Tamtego człowieka widziałem przecież tylko krótką chwilę w świetle płomienia zapalniczki.

A jednak w spojrzeniu nieznajomego było coś niepokojącego. Nawet jeśli uznać to za przewrażliwienie, to tak czy inaczej jego obecność działała mi na nerwy.

Po kilku minutach bezskutecznych prób pokonania nieuzasadnionego niepokoję, wstałem i wyszedłem na korytarz. W innych przedziałach wszystkie miejsca były zajęte. Przeszedłem więc do następnego wagonu. Ale i tu wolnych miejsc nie znalazłem, a na korytarzu było nawet sporo ludzi.

W końcu wagonu spotkałem konduktora. Poprosiłem o wypisanie biletu i spytałem, czy nie dałoby się gdzieś znaleźć wolnego miejsca, najlepiej w pierwszej klasie.

— Jak się da, to się znajdzie — odpowiedział kalamburem i otaksował mnie wzrokiem. — Niech pan tu poczeka.

Pociąg zwalniał, bo właśnie dojeżdżaliśmy do następnej stacji. Był to jakiś mały, wiejski przystanek kolejowy. Konduktor wyszedł na peron i widziałem przez okno, jak podniósł rękę, aby dać znak do odjazdu. I wtedy niespodziewanie mignęła mi za nim sylwetka barczystego mężczyzny w ciemnoszarej kurtce. To znów był ON.

Podszedłem do okna. Na peronie poza konduktorem nie było nikogo. Czy możliwe, aby nieznajomy tak prędko opuścił stacyjkę?

— Czy na tej stacji ktoś wysiadł? — zapytałem konduktora, gdy wrócił po mnie.

— Nikt. Tu prawie zawsze puchy. Powinni skasować przystanek.

A więc jednak miałem przywidzenie.

W wagonie pierwszej klasy było sporo wolnych miejsc. Wybrałem przedział dla palących i to taki, w którym tylko mnie brakowało do kompletu. Przyjrzałem się też dobrze pasażerom; trzy kobiety i dwóch mężczyzn: starszy pan wracający z wczasów leczniczych, jak się okazało, i jakiś mężczyzna

w sportowym swetrze, drzemiący przy oknie z głową wtuloną w kolorową podszewkę od płaszcza czy kurtki.

Zapłaciłem za bilet, dodając konduktorowi dwie dychy za fatywę, i zapaliłem papierosa. Przeżycia ostatnich godzin wskazywały, że powinienem poradzić się jakiegoś psychologa albo psychiatry. Szkoda, że nie mogłem porozmawiać z Szycką po seansie. Może potrafiłaby jakoś naukowo wytłumaczyć moje zdolności prorocze. I czy rzeczywiście były one prorocze? Wypadek Molika wzbudził we mnie obawy, że mogę sam, nieświadomie, powodować potwierdzenie się wizji, i to w sposób, niebezpieczny dla otoczenia. Co prawda w proroczych halucynacjach zawarte były obrazy, których urzeczywistnienie się później nie mogło zależeć ode mnie. Lecz czy ich zadziwiająca, wręcz wierne podobieństwo do wizyjnej zapowiedzi nie było jakimś chorobliwym urojeniem?

Rozsądek nakazywał nie ufać sobie. Przecież niektóre choroby psychiczne powodują, iż żyje się w świecie iluzji i świecie w nie wierzy.

Może Szycka potwierdzi moje obawy, a to, że była świadkiem moich zdolności wieszczych, okaże się urojeniem? Niewykluczone zresztą, że zaburzenia świadomości występują u mnie tylko chwilami, a na co dzień umysł pracuje normalnie.

Jeśli tak jest istotnie, musiałbym pożegnać się z nadzieją, że Stenia odwzajemni moje uczucia. W najlepszym razie będę dla niej interesującym przypadkiem patologicznym.

Może więc dobrze się stało, że nie doszło między nami do takiej szczerzej rozmowy. Trzeba będzie wybadać ją bardzo ostrożnie. Nie chciałem, za żadną cenę, utracić Steni. Czułem, że jest chyba pierwszą kobietą, która mogłaby dać mi szczęście.

Przez całe moje dotychczasowe życie szedłem samotnie. Kochałem bardzo swą matkę, ale zmarła, gdy miałem dziesięć lat. Z ojcem nigdy nie potrafiłem znaleźć wspólnego języka, a tego, że — jak pamiętam — matka często płakała z jego powodu, nie potrafiłem mu wybaczyć. Gdy ożenił się po raz drugi, pogłębiło to jeszcze przepaść między nami. Po studiach nie wróciłem do domu, a nasze wzajemne kontakty były rzadkie i bardzo chłodne.

Nigdy też nie miałem prawdziwie bliskich przyjaciół, a dziewczęta, z którymi chodziłem, jakoś szybko budziły we mnie rozczarowanie. Była w tym chyba po trosze i moja wina — może stawiam sobie i innym zbyt wysokie wymagania? Albo też tak jakoś układało się dotąd moje życie...

Nie znaczy to, że nie miałem przyjaciół. Zawsze był ktoś, z kim utrzymywałem bliskie kontakty. Ale to nie było to, o co mi chodziło. W pewnym sensie to samo mogłem powiedzieć o swej przyjaźni z Baską Niewińską, chociaż tym razem zanosilo się na dłuższy i bardziej zażyły okres koleżeństwa.

Pomyślałem, że z kim jak z kim, ale z Baską mogę i powinienem szczerze porozmawiać, jak tylko wrócę z Łodzi. Nie było obawy, aby jej serdeczny stosunek do mnie uległ zmianie, jeśli się okaże, iż z moim umysłem nie wszystko jest w porządku. Przeciwnie, wiedziałem, że właśnie w trudnych chwilach mogę na nią liczyć.

Niestety, Stenię Szycką znałem zbyt mało i chociaż nie wierzyłem absurdalnym plotkom, że złamała karierę jakiemuś znanemu naukowcowi, który musiał uciekać przed nią z kraju, zdawałem sobie sprawę, że nie wolno przeceniać sympatii, jaką mi okazywała.

Te niewesołe rozważania sprawiły, że poczułem się jeszcze bardziej samotny, a przymusowa beczyność i nieciekawe otoczenie pogłębiały chandrę. Próbowałem pójść za przykładem pasażera przy oknie i trochę się zdrzemnąć, ale nic z tego nie wychodziło. Pociąg włókł się niemiłosiernie, a rozmowy współpasażerek z kuracjuszem o chorobach i zabiegach leczniczych były nudne i stereotypowe.

W Piotrkowie wsiadło wielu pasażerów i nawet na korytarzu naszego wagonu zrobiło się rój no. Dobrze więc zrobiłem, przesiadając się do pierwszej klasy, w drugiej bowiem na pewno był już tłok.

Do Łodzi Fabrycznej przyjechaliśmy o piątej. Pomogłem współpasażerkom i starszemu panu zdjąć walizki z półek i wyszedłem z przedziału. Ruszając ku wyjściu, spojrzałem jeszcze przez boczną szybę i poczułem się nieswojo. Mężczyzna, śpiący przez całą drogę, wstał i wkładał kurtkę. Była ciemnoszara. Znów ON! Patrzył na mnie i uśmiechał się przyjaźnie.

Tylko tego brakowało, abym wszędzie widział tego faceta. Jakaś chorobliwa, obsesyjna halucynacja.

Przecisnąłem się do drzwi i wyskoczyłem z wagonu. Zegar dworcowy wskazywał siedemnastą pięć.

Automat telefoniczny był czynny. Wykręciłem numer mecenasa Kamasy. Niestety, nikt nie podnosił słuchawki.

Zastanawiałem się, co w tej sytuacji robić. Wracać do Rokit nie chciałem; nawet nie wiedziałem, czy jest jakieś połączenie kolejowe o tej godzinie. Zresztą Kamasa, jeśli nie wyjechał, wróci do domu i trzeba po prostu dzwonić co pewien czas.

Czekanie na dworcu nie miało sensu. Należało raczej skorzystać z okazji i skomunikować się z prezesem Stasińskim. Być może w łódzkich eksperymentach bierze udział jakiś psychiatra lub psychoterapeuta, który będzie mógł stwierdzić, czy rzeczywiście grozi mi obłęd.

Zacząłem szukać po kieszeniach kartki, na której Szycka zapisała numer telefonu docenta Rawika. Pamiętałem, że Stasiński wyrwał kartkę ze swego notesu, a potem Stenia mi ją podała. Nie mogłem jednak zupełnie sobie przypomnieć, co z nią zrobiłem. Byłem wtedy jeszcze niezbyt przytomny po przebudzeniu z transu.

Niestety, mimo dokładnego przetrząśnięcia każdej kieszeni, kartki nie znalazłem. Pozostawało pójść na pocztę i poszukać numeru w książce telefonicznej. Miałem jednak nadal pecha. Najpierw jakieś babsko okupowało książkę przez blisko dwadzieścia minut, wypisując numery telefonów i adresy sklepów. Potem, gdy wreszcie dorwałem się do książki i znalazłem numer, musiałem odczekać swoje w kolejce do automatu. Na koniec, gdy otrzymałem połączenie, okazało się, że docent Rawik już tam nie mieszka, a nowy właściciel nie zna adresu ani numeru telefonu poprzedniego lokatora. Wiedział tylko, że przeprowadził się na Bałuty. Dla dopełnienia miary niepowodzeń numer informacji był „stale zajęty”.

Wyszedłem zrezygnowany na ulicę. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie wrócić na dworzec, postanowiłem jednak poczekać w jakiejś kawiarni, aż Kamasa wróci do domu.

Poszedłem w kierunku Piotrkowskiej. Mijałem właśnie przystanek, gdy nadjechał tramwaj numer 22.

— Dokąd jedzie ten tramwaj? — zapytałem młodego mężczyznę, czekającego na przystanku.

— Na Bałuty!

Kierując się nie wiem czym, chyba podświadomym impulsem, wsiadłem i pojechałem. Bilet odsprzedał mi ten sam młody człowiek. Niestety wysiadł, zanim zdecydowałem spytać go, czy jest studentem i może wie coś o docencie Rawiku.

W tramwaju było tłoczno i właściwie powinienem wsiąść na którymkolwiek przystanku, lecz ciągle zwlekałem. Liczba pasażerów już teraz malała i wreszcie z ostatnią ich grupą wysiadłem przed końcową pętlą. Pasażerowie poszli w kierunku pobliskich domów, a ja znów nie wiedziałem, co z sobą począć. A właściwie wiedziałem — należało wsiąść do tramwaju i wrócić do centrum.

Tramwaj odjechał, a ja doszedłem do rogu jakiejś bocznej ulicy i stanąłem. Powinienem zawrócić i poczekać na przystanku dla wsiadających. Odruchowo spojrzałem na tablicę z nazwą ulicy, umieszczoną na ścianie narożnego domu. Zgierska.

I wtedy znów na krótką chwilę pojawił się inny obraz. Jakby wspomnienie graniczące z halucynacją.

Taka sama tablica, ale z inną nazwą. Ulica Wspólna. Tablica wysoko na murze. Narożny dom... Wchodzę w ulicę. Odrapana brama z numerem 9. Szafka ze spisem lokatorów. Szereg nazwisk... „W. M. Rawik”. Biała, jeszcze nie wyblakła kartka...

Stałem oszołomiony przed słupem z nazwą ulicy: Zgierska. Byłem w pobliżu końcowego przystanku.

Naprzeciw mnie szła jakaś starsza kobieta. Spieszyła się na przystanek, bo już tramwaj ruszał z pętli. Gdy mnie mijała, zapytałem o ulicę Wspólną.

— Trzeba wysiąść przy Chrobrego. A potem cofnąć się parę domów — odpowiedziała, zwalniając nieco kroku. — Niech pan idzie! Powiem panu, gdzie trzeba wysiąść!

Moja przygodna przewodniczka dobrze знаła tę dzielnicę i jej wskazówki okazały się dokładne. Po przejściu kilkudziesięciu metrów od przystanku, na którym kazała mi wysiąść, znalazłem się na rogu ulicy Wspólnej. Na murze tablica, taka sama jak w wizji. Skręciłem i wkrótce stanąłem przed numerem 9.

Była to stara odrapana kamienica, pamiętająca chyba jeszcze pierwszą wojnę światową. Przed domem parkowały dwa samochody — skoda i trabant.

W spisie lokatorów pod numerem 18 znalazłem nazwisko: W. M. Rawik.

Chociaż już wsiadając do tramwaju na pętli, byłem pewny, że halucynacja odpowiadała rzeczywistości, dziwnie utylitarny charakter proroczej wizji potęgował mój niepokój. Jeśli wiara w nieubłaganą konieczność, rządzącą naszymi losami, była dla mnie nie do przyjęcia, budziło się podejrzenie, że ktoś mi nie znany a potężny kieruje biegiem moich myśli i działań. Taka alternatywa była przerażająca i podzielenie się obawami z kimś rozsądnym i budzącym zaufanie stawało się palącą potrzebą.

Na to też chyba przede wszystkim liczyłem, wchodząc — na trzecie piętro starego domu i dzwoniąc do drzwi z metalową tabliczką: „Doc. dr hab. Witold Maria Rawik”.

Po krótkiej chwili usłyszałem szcęk odsuwanej zasuwy i w uchylonych drzwiach zobaczyłem wysokiego mężczyznę z wielką, siwiejącą brodą.

— Przepraszam bardzo, czy zastałem prezesa Stasińskiego?

Brodacz spojrzał na mnie badawczo.

— Pan inżynier Szarek?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

— To wspaniale! — rozpromienił się mężczyzna. — Właśnie na pana czekamy!

Brodaty docent Rawik i jego małżonka — mała, szczupła brunetka o miłej, jakby trochę zalęknionej twarzy — wprowadzili mnie do salonu. Wokół okrągłego dębowego stołu na stylowych krzesłach o wysokich rzeźbionych oparciach siedziało sześć osób. Dwie z nich już znałem: prezesa Stasińskiego i redaktor Malinowską. Pozostałe cztery przedstawił mi teraz gospodarz. Byli to: docent Barej — historyk, autor głośnych książek o renesansowej alchemii i magii oraz dziejach parapsychologii, doktor Walewski — socjolog, zajmujący się naukowo (tak go zaprezentował Rawik) astrologią i piszący popularne podręczniki dla początkujących adeptów tej wiedzy, magister Ewa Chochołowska — ezoteryczka, wiceprezesa łódzkiego Towarzystwa Miłośników Paranauk (jak dowiedziałem się później toczącego boje z warszawskim Stowarzyszeniem Psychotronicznym) — blondynka w średnim wieku o nieco wyzywającej urodzie i makijażu oraz honorowy gość pan Józef Goździkiewicz — nowo odkryte medium telekinetyczne, z zawodu mechanik samochodowy.

Już w pierwszej godzinie spotkania przed moim przybyciem ujawniły się tak niezwykle zdolności pana Józefa, że wszyscy obecni pozostawali nadal pod ich wrażeniem i o niczym innym nie byli w stanie rozmawiać.

— Niech pan sobie wyobrazi, panie Adamie, byliśmy tu świadkami bardzo rzadkiego zjawiska grafotelekinety — relacjonował mi z przejęciem prezes Stasiński. — Zebraliśmy się, tak jak było ustalone, o piątej. Czekaliśmy tylko na doktora Walewskiego, który się trochę spóźnił.

— Nie tyle ja, co pociąg z Poznania — sprostował astrolog.

— Właśnie zacząłem opowiadać o spotkaniu z panem, panie inżynierze, i pana zadziwiających zdolnościach, gdy pan Józef zupełnie nie spodziewanie i spontanicznie wszedł w trans. Jego lewa ręka zaczęła wykonywać ruchy typowe dla pisma automatycznego. Wsunąłem panu Józefowi do ręki ołówek, a pan docent Rawik rozłożył arkusz białego kartonu. I pan Józef rzeczywiście zaczął pisać. Lewą ręką, a jest praworęczny! — zaznaczył prezes. — Napisał zdanie: „Góra z górą się spotyka i dziewiąte ogniwo umocni łańcuch”. Można bez trudu odczytać. Zaraz panu pokażę. Panie Witoldzie, niech pan da ten karton! — zwrócił się do Rawika.

Gospodarz położył przede mną spory biały arkusz w foliowej okładce. Koślawe, roztańczone litery biegły łukiem przez karton. Treść nie była wcale tak łatwa do odczytania, jak twierdził Stasiński, przynajmniej dla mnie, ale odpowiadała temu, co powiedział.

— Czy jest to pana pismo? — zapytałem medium niezbyt taktownie.

Pan Józef potwierdził skinieniem głowy, prezes zaś wyjaśnił:

— Pismo automatyczne jest czynnością quasi-mechaniczną, wykonywaną bez udziału wzroku i jak gdyby odruchowo. Pismo jest nie wyrobione, jakby dziecięce, lecz pewne zasadnicze cechy indywidualne pozostają. To zdanie napisane jest niewątpliwie charakterem pisma pana Józefa! Notabene, w tym samym czasie, gdy jego ręka pisała, opowiadał on nam o swoich kłopotach z kierownikiem warsztatu...

— Można to tłumaczyć dysocjacją osobowości. Niektórzy psychofizjologowie podejrzewają, że

zroszczenie świadomości może mieć fizyczne podłoże w ograniczonym przepływie informacji przez spoidło wielkie i względnie niezależnym od siebie funkcjonowaniu półkul mózgowych — dorzuciła wielce uczenie redaktor Malinowską.

— Ale to był dopiero początek — podjął dalej swą relację Stasiński. — Po napisaniu tego zdania ołówek wypadł z dłoni pana Józefa, potoczył się po stole, a potem... uniósł się w powietrzu! Tuż nad powierzchnią stołu.

— Klasyczna lewitacja! — wtrącił z emfazą Rawik.

— Otóż to! Ale nie tylko. Ten ołówek, a właściwie nie ołówek, lecz pisak w kształcie ołówka, lewitując zaczął pisać. Sam! Nie dotykany przez nikogo! Podsunęliśmy mu kartkę... Niech pan pokaże, panie docencie. Dwie równo nakreślone kreski, a dalej słowo, którego nie potrafimy odczytać...

— Nie wszyscy. Niech pan mówi w swoim imieniu — zauważyła dość nieuprzejmie ezoteryczka.

— Po napisaniu tego wyrazu — ciągnął Stasiński, jakby nie słysząc tej uwagi — pisak przestał lewitować i upadł bezwładnie na stół, pan Józef zaś zapytał: „Co się stało?”. Jak się okazało, w ogóle nie dostrzegł zjawiska, które wywołał, i przez cały czas nadal opowiadał o swych nieporozumieniach z szefem.

— Niestety — westchnęła Malinowska — nie byliśmy zupełnie przygotowani na to, że zjawiska wystąpią tak nagle i spontanicznie. Nie zdążyłam zrobić żadnego zdjęcia ani włączyć kamery.

— Najważniejsze, pani Małgosiu, że utrwalone zostały efekty pisma automatycznego i grafotelekinety — pocieszył ją Stasiński. — Teraz pozostaje prawidłowo zinterpretować to, co nam przekazało medium. Właśnie kiedy pan przyszedł, toczyła się dyskusja, jak należy rozumieć symboliczną treść zdania napisanego przez pana Józefa. Nie jest też jasna sprawa wyrazu nakreślonego przez lewitujący ołówek. Nie wydaje się, żeby był to charakter pisma pana Józefa. Dla pewności damy kopię specjalistom grafologowi, razem z próbkami pisma każdego z nas, ale już na oko widać, że nikt z obecnych tego nie pisał. To znaczy było nas siedmioro, bo pan doktor Walewski się spóźnił i nie widział tych zjawisk.

— Czego bardzo żałuję — wtrącił astrolog.

— Powstał także spór, co ten wyraz znaczy. Pan docent Barej twierdzi, że to może być słowo „Asturia” lub „Astenik”. Pani Małgosia — że „Asnyk”, ale nie wydaje się jej, aby to był autograf Asnyka. Pan docent Rawik podejrzewa, że to zniekształcony i skrócony wyraz „aszantka”. Ja nie mam zdania.

— A ja twierdzę, że „Astarte” — powiedziała ezoteryczka, wyraźnie niezadowolona, że prezes o niej nie wspomniał. — To ona! Ta fenicka bogini miłości.

— Podpisująca się alfabetem łacińskim?

— A dlaczegoż by nie? Duch bogini może wypowiadać się w każdym języku. Jeśli chce, aby ją zrozumiano...

— A co pan o tym sądzi? — zwrócił się do mnie Stasiński.

Patrzyłem na podaną mi przez Rawika kartkę ze zdumieniem.

— To jest mój podpis — powiedziałem zdecydowanie.

— Pański podpis?! — twarz prezesa wyrażała ogromne zdziwienie. — Nie do wiary! Panie docencie, niech pan da jeszcze jedną czystą kartkę. Niech się pan podpisze — podsunął mi papier i sięgnawszy do kieszeni, wyjął ołówek. Ten sam, który „pożyczył” ode mnie w czasie eksperymentów hipnotycznych w Rokitach.

— To chyba mój pisak? — zapytałem szeptem, podpisując się na kartce.

— Tak, tak, to pański. Zabrałem przez nieuwagę. Ale jeszcze musi mi go pan oddać, gdyż trzeba

zrobić zdjęcie dokumentarne.

Przyjrzał się uważnie obu podpisom.

— Nie do wiary! — powtórzył.

W salonie było zupełnie cicho, gdy składałem autograf. Teraz nastąpiło wyraźne poruszenie. Wszyscy oglądali i porównywali podpisy. Najbardziej chyba zaskoczony był pan Józef, który od tej chwili zaczął na mnie patrzeć z wyraźnym niepokojem.

Podejrzewając, iż być może uważa mnie niesłusznie za niebezpiecznego konkurenta, a i sam czując się idiotycznie w roli medium, zapytałem prezesa Stasińskiego, jak interpretowana jest treść zdania napisanego przez Goździkiewicza. Okazało się, że wszyscy, z wyjątkiem doktora Walewskiego, byli zdania, że słowa dotyczą seansu. Walewski wyraził przypuszczenie, że są to przetworzone symbolicznie wiadomości prasowe i radiowe na temat konferencji europejskiej „dziewiątki”, która właśnie obradowała w Paryżu. Ta sugestia wywołała zdecydowany sprzeciw pana Józefa, który zauważył, że nie interesuje się polityką i o konferencji „dziewiątki” nic nie wie.

Wśród tych uczestników zebrania, którzy twierdzili, że napisane przez medium zdanie odnosi się do przygotowywanego seansu, nie było jednak jednomyślności, jeśli idzie o cel przekazu. Barej i Rawik sądzili, że medium wyraża w ten sposób życzenie, aby zaprosić do udziału w eksperymentach jeszcze jedną osobę z kręgu badaczy zjawisk paranormalnych, Stasiński, że jest to przepowiednia, iż osoba ta sama przyjdzie w czasie seansu, Chochołowska zaś — że należy na nią poczekać.

— Dla mnie było zupełnie jasne — przerwała dość obcesowo prezesowi — że pan inżynier do nas przyjdzie. Dwie góry to dwa media. Dziewiąte ogniwo to mógł być tylko pan!

— Jeśli rzeczywiście tak jasne, trzeba to było jasno sformułować i zaprotokółować — odrzekł dość spokojnie Stasiński.

— Nie pozwolił mi pan dojść do słowa.

— Nie sądzę, aby mi się to kiedykolwiek udało... A co do inżyniera Szarka, wszyscy oczekiwaliśmy, że zadzwoni lub przyjdzie. Zwłaszcza po telefonie doktor Szyckiej. Bo zapomniałem panu powiedzieć, że dzwoniła. Pytała o pana.

Odczułem gwałtowny przyływ niepokoju.

— Czy powiedziała, o co chodzi?

— Nie. Pytała tylko, czy pan dzwonił. Rozmawialiśmy bardzo krótko. Zatelefonowała właśnie wtedy, gdy mówiłem o panu. Zaraz potem ręka pana Józefa zaczęła pisać automatycznie... A biorąc pod uwagę zbieżność zdarzeń, nietrudno było uznać to, co napisał pan Józef, za zapowiedź pańskiego przybycia. Zresztą kilkanaście minut wcześniej wspomniałem o pozostawieniu panu numeru telefonu i adresu. Wszyscy słyszeli.

— Co pan próbuje imputować panu Józefowi? — oburzyła się ezoteryczka.

— Nic nie próbuję imputować. To pani, jak zawsze, próbuje... Zanosilo się na otwartą kłótnię. Redaktor Malinowska, choć młoda, miała widać doświadczenie, jak interweniować w takich sytuacjach.

— Proszę państwa! — przerwała spór, podnosząc głos. — Chyba zachodzi tu nieporozumienie — podjęła rzeczowym tonem. — Pismo automatyczne, jego metaforyczna treść, jest przejawem podświadomych procesów przebiegających w umyśle pana Józefa. Można postawić pytanie: czy zawarta w napisanym zdaniu przepowiednia jest wyrazem jego podświadomych pragnień, czy może przetworzoną informacją o przyjeździe pana inżyniera, wydedukowaną podświadomie lub otrzymaną telepatycznie? Gdybyśmy byli świadkami tylko zwykłego pisma automatycznego, odpowiedź na to pytanie byłaby niemożliwa. Lecz to, co stało się później; telekinetyczne odtworzenie podpisu pana inżyniera, i to jakże wierne odtworzenie, nie da się inaczej wytłumaczyć jak telepatią. I tu jednak

należy postawić pytanie, czy pan Józef sięgnął nieświadomie do pamięci motorycznej pana inżyniera, czy może powtórzył mimowolnie jego ruchy wykonywane w tym samym czasie? Czy półtorej godziny temu składał pan gdzieś swój podpis? — zwróciła się — do mnie.

— Nie. W ogóle w dniu dzisiejszym niczego nie podpisywałem.

— A może myślał pan o podpisywaniu?

— Nie myślałem. Półtorej godziny temu wysiadłem z pociągu.

— A kiedy podjął pan decyzję o spotkaniu się z nami?

— Prawdę mówiąc przyjechałem do Łodzi w zupełnie innym celu. Nie wziąłem nawet kartki z numerem telefonu pana docenta. Dopiero piętnaście, dwadzieścia minut po piątej postanowiłem skomunikować się z państwem. Nigdzie jednak nie udało mi się zdobyć ani numeru telefonu, ani adresu...

— Jak więc pan tu dotarł?

— Nie uwierzycie państwo...

— Miał pan wizję drogi do nas? — domyślił się prezes.

— Właśnie... Wizję tablicy z nazwą ulicy i bramy z numerem. Zupełnie nie rozumiem, jak to możliwe. A jednak naprawdę tak było!

— Nie wziął pan kartki, ale treść jej pan znał. Podświadomie ją pamiętał. To jedyne wytłumaczenie — powiedziała Malinowska.

— Nie jedyne, panno Małgosiu — wtrąciła Chochołowska zaczepnie. — Nie jedyne!

— Państwo pozwolą, że jeszcze coś wyjaśnię — wtrąciłem nieśmiało. — Pan prezes i pani redaktor wcale nie podawali adresu. Na kartce był tylko numer telefonu.

Stasiński i Malinowska zastanawiali się chwilę.

— Nie podawaliśmy?... Może ma pan rację — przyznała dziennikarka. — To przez tę pomyłkę prezesa... Rzeczywiście, nie podaliśmy.

— A więc to nie pamięć podświadoma ani telepatia, lecz ciało astralne pana inżyniera, które podążało za wami! — zawołała z triumfem ezoteryczka. — I ono weszło w kontakt z astrosomem pana Józia. To proste.

— Bardzo proste... dla pani, pani Ewo — rzucił kpiąco Stasiński.

— Znów pan zaczyna? — zjeżyła się Chochołowska. — Wszystko, co ja mówię, to dla pana bzdura. I wiem dlaczego...

— Trudno z panią rozmawiać. Proszę łaskawie zmienić ton.

— To pan niech zmieni ton!

— Pani jest spod jakiego znaku? — wtrącił pytanie Walewski.

— Skorpion.

— Tak się domyślałem.

Spacyfikować sytuację spróbował z kolei docent Barej:

— Proszę państwa! Proponuję wrócić do zasadniczego tematu. Wielu poważnych badaczy zjawisk paranormalnych, jak na przykład Ochorowicz i Richet, rozważało możliwość czerpania wiadomości jasnowidczych z mózgu innych ludzi, nawet na dużą odległość. Podobnie próbowano tłumaczyć niektóre fenomenalne umiejętności psychometryczne, a nawet kryptoskopijne, przejawiane przez Ossowieckiego.

— Ossowiecki nigdy nie kwestionował istnienia astralu — przerwała mu ezoteryczka. — I pan Stasiński o tym wie. A gdy ja tylko próbuję przedstawić swoje poglądy, zresztą w pełni zgodne z poglądami autorytetów, to zaraz...

— Pani wybaczy — przerwał jej grzecznie, lecz stanowczo gospodarz. — Poprosiliśmy tu pana

Józefa po to, aby zademonstrował nam swe fenomenalne umiejętności i powinniśmy stworzyć warunki jak najbardziej sprzyjające ich ujawnieniu. A wszelkiego rodzaju spięcia polemiczne i ostre dyskusje z pewnością temu celowi nie służą. Mam rację? — zwrócił się do Chochołowskiej, a potem do Stasińskiego.

— Oczywiście — potwierdził prezes.

Chochołowska chciała coś dorzucić, ale się zmytygowała.

— Po zakończeniu doświadczeń wspólnie rozważymy różne sporne kwestie i hipotezy — kontynuował Rawik. — Proponuję, abyśmy wówczas wrócili również do sprawy przysłych doświadczeń z panem inżynierem Szarkiem, jeśli oczywiście zgodzi się na ich przeprowadzenie. Jeśli państwo pozwolą, przejdziemy teraz do zasadniczego punktu dzisiejszego naszego spotkania.

Nie było oczywiście sprzeciwu i gospodarz, wręczając prezesowi samoprzylepną taśmę papierową i pieczętkę, powiedział uroczyście:

— Czy można prosić pana prezesa Stasińskiego, pana docenta Ba — reja i pana doktora Walewskiego o sprawdzenie, czy w tym pokoju nie ma nikogo poza nami, i zabezpieczenie paskami papierowymi wszystkich drzwi i okien. Chociaż jest mało prawdopodobne, aby ktoś dostał się przez okno na trzecim piętrze, ale taka jest zasada. Pani redaktor Malinowska przygotowuje kamerę telewizyjną i aparat fotograficzny. Ja podłączę aparaturę kontrolną i wyłączę telefon, aby nikt nam nie przeszkadzał. Czy pan, panie Józefie, ma jakieś specjalne życzenie, choćby dotyczące kolejności w łańcuchu, jaki mamy utworzyć?

— Nie mam życzenia, panie Rawik — odpowiedziało medium. — Tylko trochę mnie suszy.

— Ach, przepraszam, zapomniałem.

Gospodarz podszedł do kredensu, na którym stało kilka butelek, i nalał do kieliszka koniaku.

— U pana Józefa, podobnie jak u Ossowieckiego i Klimuszki, niewielka ilość alkoholu ułatwia wejście w trans — wyjaśnił, jakby się usprawiedliwiając, i podał kieliszek medium.

Goździkiewicz podniósł kieliszek do oczu, chwile patrzył pod światło na złotawy płyn i zaczął pić, wolno, ze znanstwem.

Wiadomość o wyłączeniu telefonu nie była dla mnie najprzyjemniejsza. A jeśli w Rokitach działo się coś niedobrego? Może zaczęły się sprawdzać moje przecucia i obawy? Może Stenia szukała u mnie pomocy? Jak tylko Stasiński powiedział mi o jej telefonie, zdecydowałem się do niej zadzwonić, ale jakoś nie znalazłem okazji, aby poprosić Rawika o zezwolenie na skorzystanie z jego aparatu. Teraz zaś prośba taka byłaby już nietaktem (zwłaszcza wobec dość realnej perspektywy długiego oczekiwania na połączenie), podobnie jak opuszczenie zebrania w tak ważnym momencie. Mogłem więc tylko przyrzec sobie, że zatelefonuję do Steni zaraz po zakończeniu eksperymentów z panem Józefem.

Pierwszy raz uczestniczyłem w seansie mediumicznym i z zainteresowaniem śledziłem przygotowania. Salon, nawiązujący umeblowaniem do przełomu XIX i XX wieku, stał się teraz dziwnym skrzyżowaniem staroświecczości z nowoczesną techniką. Ciężkie, rzeźbione meble, stojący zegar i obrazy w starych, grubych ramach, a między nimi duży telewizor, magnetowid i magnetofon, na laboratoryjnych stolikach jakieś przyrządy zaopatrzone w mierniki i oscyloskopy, walizkowy elektroencefalograf i spora przystawka rejestrująca dane. Szczególnie zaintrygował mnie przyrząd przypominający wagę domową. Jak się później okazało, był to dynamometr, konstrukcji docenta Rawika, spełniający ważną rolę w badaniach telekinezy.

W tym czasie gdy Stasiński, Barej i Walewski pieczętowali drzwi i okna, opatrując paski papieru swymi podpisami (prezes używał nadal mojego pisaka), gospodarz rozłożył na podłodze dodatkowe kable z rozdzielaczami. Malinowska podłączyła do nich niedużą kamerę telewizyjną, Rawik zaś —

rozstawione na stolikach przyrzady. Powiesił też nad stołem pod lampą, na długiej nici, jakąś błyszcząca, chyba metalową, kulkę i obciążył dynamometr dwukilowym odważnikiem. Następnie poprosił Goździkiewicza, aby usiadł za stołem w pobliżu stolików z przyrządami ustawionymi między zegarem a półką z książkami. Z wyraźną wprawą umieścił na głowie medium elektrody elektroencefalografu, a na rękach i nogach jakieś nie znane mi czujniki.

Fotel pana Józefa nie różnił się wyglądem od innych, ale stał na płaskich krążkach, z których biegły przewody do wzmacniacza. Umieszczone pod jego nogami czujniki piezoelektryczne miały sygnalizować nie tylko wszelkie ruchy medium, ale i zmiany ciężaru jego ciała, gdyby przejawiało zdolność lewitacji.

— Chciałbym tu zweryfikować twierdzenie niektórych badaczy, że medium w momencie materializacji zjaw traci tyle na wadze, ile waży fantom — wyjaśnił Rawik.

Przyrządy zostały włączone w obecności komisji, która sprawdziła ich działanie i gospodarz polecił wszystkim obecnym zająć miejsca przy stole. Wyraźnie czekająca na ten moment Chochołowska chwyciła mnie za rękę i, ciągnąc za sobą, ulokowała się obok pana Józefa. Po drugiej jego ręce usiadł w fotelu Rawik, zasunawszy uprzednio story i zgasiwszy wszystkie światła, z wyjątkiem kinkietu za telewizorem, osłoniętego czerwonym sukniem.

Naprzeciw mnie zajął miejsce Stasiński. Po jego prawej ręce Barej, a po lewej Malinowska, która usiadła ostatnia, gdyż zrobiła zdjęcie dokumentacyjne. Walewski — między dziennikarką i gospodynią, siedzącą po mojej prawej stronie.

— Proszę utworzyć łańcuch! — powiedział uroczystym tonem gospodarz. — Ręce kładziemy na stole w ten sposób, by kciuki własne stykały się, małe palce' zaś, zwrócone na zewnątrz, dotykały małych palców naszych sąsiadów.

Położyłem dłonie we wskazany sposób. Chochołowska ujęła palce mojej lewej ręki i dokonała poprawki. Gospodyni nieśmiało dotknęła małego palca mej ręki prawej. W pokoju było prawie zupełnie ciemno. Widziałem tylko słabe zarysy twarzy i dłoni. Na środku stołu, tuż nad blatem, wisiała niemal nieruchomo kulka wahadła. Jej powierzchnia, pokryta widocznie jakąś farbą fluorescencyjną, świeciła blado.

Przez parę minut panowała całkowita cisza. Napięte oczekiwanie — i oto usłyszałem miarowy oddech medium. Początkowo bardzo cichy, potem stopniowo coraz głośniejszy. Częstość wdechów i wydechów ulegała przyspieszeniu jak przy rosnącym wysiłku fizycznym.

Sapanie przeszło w charkot. Raz po raz pojawiało się rżenie, a nawet jakby skowyt i przytłumione, nieartykułowane, bełkotliwe okrzyki.

W tym momencie świecąca kulka zaczęła się poruszać. Nieznaczny ruch wahadłowy, jakby spowodowany lekkim powiewem. Wahnięcia stawały się jednak coraz większe, ich amplituda rosła, choć nie czułem żadnego wiatru. Kulka wznosiła się coraz wyżej, a jednocześnie, wzlatując ponad głowy uczestników seansu, zataczała koło jakby pod wpływem precesji.

Nagle zaczęło dziać się coś nienaturalnego. Wahadło zatrzymało się w najwyższym położeniu. Kulka na kilka sekund zawisała w powietrzu i rozpoczęła dziwne harce — skaczące, nie skoordynowane ruchy, jakby chciała uwolnić się z uwięzi.

Nienaturalny ruch kulki raptownie ustał. Wykonywała ona już tylko zwykłe, zgodne z prawem fizyki, wahnięcia o malejącej amplitudzie. Medium już nie rżęziło, a nawet nie było słychać jego oddechu.

Całkowitą ciszę przerwał szmer podobny do ocierania się szorstkiego materiału o meble. Potem dobiegło mnie tykanie zegara, którego dotąd nie słyszałem. Cichy zgrzyt, jakby ktoś przesuwiał wskazówki i zegar zaczął wydzwaniać godzinę ósmą. Usłyszałem przytłumiony okrzyk żony

gospodarza i uciszające syknięcie Chochołowskiej.

Teraz szmer pojawił się z drugiej strony medium. Ktoś wyciągał ostrożnie książkę z półki, a po paru sekundach usłyszeliśmy szelest przewracanych kartek.

— Ciekawe, jaka to może być książka? — powiedział ściszym głosem doktor Walewski.

Niemal w tej samej chwili skrzypnęły drzwi do przedpokoju i zamknęły się z niezbyt głośnym szcękaniem. Ktoś jakby potknął się na dywanie, a w sekundę później na środek stołu, między nasze dłonie tworzące łańcuch, spadła z trzaskiem książka.

Chyba wszyscy, z wyjątkiem pana Józefa, podskoczyliśmy na krzesłach. Niektórzy uczestnicy seansu, wśród nich i ja, cofnęli ręce.

— Łańcuch! — rozkazał gospodarz.

Znów usłyszeliśmy przyspieszony oddech medium. Ledwo widoczna w mroku twarz Goździkiewicza jakby się wykrzywiła i puchła. Wśród elektrod na łysiejącej czaszce gromadziło się coś przypominającego biały, świetlisty woal. Pęczniał on powoli i rósł, wypuszczając w przestrzeń jakieś nitki czy nibynóżki.

— Ektoplazma — stwierdził szeptem docent Barej. — Wspaniała! Wszyscy wpatrywaliśmy się w medium i spływającą ku ziemi, a jednocześnie wznoszącą się w górę, świecącą zielonkawo, bezkształtną materię. Twarz pana Józefa jeszcze bardziej się wykrzywiła i widać było teraz, że owa ektoplazma wydobywa się również z rozchylonych ust.

— Zdjęcie... — szepnął prezes.

Redaktor Malinowska powoli wstała z krzesła i połączyła lewą dłoń Stasińskiego z prawą dłonią astrologa tak, aby nie przerwać łańcucha. Wycofała się ostrożnie z kręgu i podeszła cicho do ustawionego na statywie aparatu fotograficznego.

Tuż za medium, obok stolika z dynamometrem zaczynała formować się zjawia. Początkowo był to jakby posąg ze śniegu czy waty, lecz wkrótce ukazały się rysy męskiej twarzy z ciemnym zarostem. Twarz była płaska, jak wycięta z plakatu. Dostrzegłem teraz dość wyraźnie postać Araba w burnusie.

Błysk flesza przyćmionego niebieskim filtrem i trzask migawki — Malinowska zrobiła zdjęcie.

Spojrzałem odruchowo w kierunku błysku i miejsca opuszczonego przez dziennikarkę. Widziałem jej ciemną postać przy aparacie, ale krzesło między Stasińskim i Walewskim nie było wolne. Siedział tam jakiś mężczyzna.

Ponowny błysk flesza rozproszył na moment ciemność. Poznałem od razu — był to ten sam mężczyzna, którego widziałem na parkingu i w pociągu.

— Niech pan patrzy. To wspaniałe — usłyszałem nad uchem szept Chochołowskiej. — No, niech pan patrzy — ścisnęła mi palce.

Widmo Araba wyciągnęło rękę spod burnusa i sięgnęło do odważnika na dynamometrze. Podobno przycisnęło, a potem uniosło odważnik.

Ale ja tego nie widziałem, bo znów błysnął flesz. Nieznajomy siedział nadal między prezesem i astrologiem.

Odwzajemniłem uścisk palców i powiedziałem cicho do Chochołowskiej:

— Ktoś usiadł na miejscu redaktorki...

Ezoteryczka nie odpowiedziała, lecz zaczęła liczyć wzrokiem osoby siedzące przy stole.

Spojrzałem znów na mężczyznę. Nieznajomy nie trzymał rąk na stole — łańcuch nadal zamykali Stasiński z Walewskim. W kolejnym błysku flesza zobaczyłem, że sięga ostrożnie do kieszeni prezesa i wyciąga pisak. To nie mogło być złudzenie. Stasiński dostrzegł, co się dzieje, i — widać nie chcąc przerywać łańcucha — śledził tylko wzrokiem ruchy palców nieznajomego. Już wyjął on ołówek i chyba chciał schować do kieszeni, gdy nagle stało się coś nieoczekiwanego. Rozległ się głośny trzask

— jakby ktoś wcisnął gwałtownie włącznik telewizora. Jednocześnie medium zaczęło krztusić się i jęczeć, pisak zaś wysunął się z palców „złodzieja”, spadł na stół, stanął dęba i dłuższą chwilę tańczył po blacie.

Goździkiewicz jęknął głośnie. Ruch ołówka ustał. Pisak przewrócił się i potoczył w moim kierunku.

Spojrzałem na widmo Araba stojące nadal obok medium. Szybko bladło i rozpływało się w ciemnościach.

Malinowska zrobiła jeszcze jedno zdjęcie. Jej miejsce przy stole było teraz puste. Intruz zniknął, a mnie znów ogarnęły wątpliwości, czy to nie przywidzenie.

Po widmie Araba też nie było śladu. Pan Józef jeszcze pojękiwał, lecz już oddychał spokojniej.

— To chyba wszystko — powiedział gospodarz i wstał, aby zapalić światło. W tej samej chwili odezwał się telewizor, widać rzeczywiście włączony przez „ducha”.

Docent Rawik zapalił światło i wyłączył telewizor.

Wszyscy patrzyliśmy na pana Józefa. Był półprzytomny, spocony i bardzo zmęczony. Gospodarz nalał koniaku do kieliszka i postawił przed nim na stole, lecz Goździkiewicz pokręcił przecząco głową,

— Daj pan pić... Zwykłej wody — poprosił bełkotliwie. — I trochę powietrza.

Gospodyni nalała wody mineralnej do szklanki i podała medium. Pan Józef wypił, przełykając z trudem. Potem sięgnął do kieszeni, wyjął małe pudełeczko i zażył pastylkę.

— Może by tak otworzyć okno? Serce, panie tego, nie za bardzo.

— Proszę o komisyjne zbadanie okien! — wydał polecenie Rawik. — Potem można otworzyć lufcik. A komisja zajmie się drzwiami. Wszyscy inni pozostają na swoich miejscach. I proszę na razie niczego nie dotykać!

Członkowie komisji wstali od stołu i podeszli do okna.

— Taśmy w porządku — stwierdził Walewski, otwierając lufcik.

— Czy przed seansem ten zegar chodził? — zapytała Chochołowska.

— Zepsuty od wielu lat — wyjaśniła gospodyni. — A wybił...

— Jak w *Strasznym dworze* — zaśmiał się Walewski, lecz nietrudno było dostrzec, że pokrywa tym wrażenie, jakie wywarł na nim przebieg seansu.

— Patrzcie państwo — zawołał Stasiński pochylony nad stołem i wskazał palcem na blat w miejscu, gdzie siedziała Malinowska. — Moje podpisy! Pięć moich podpisów. A szósty?... Chyba znów pana inżyniera! Ciemne tło, ale można odcyfrować. To ten pisak. Wszyscy państwo chyba widzieli, jak znów lewitował. Wskoczył mi sam z kieszeni. I podpisał się jakby moją ręką. A potem potoczył się do właściciela. Niech go pan dobrze schowa, panie inżynierze!

— Proszę niczego nie dotykać! — ostrzegł gospodarz. — Panowie, proszę zająć się teraz drzwiami. Niech komisja zwróci szczególną uwagę na te! — wskazał drzwi prowadzące do przedpokoju. — Pasek jest zerwany!

Członkowie komisji podeszli do wskazanych drzwi. Z uwagą badali papierową pieczęć.

— Panów zdaniem pasek przerwany czy przecięty? — zapytał prezes.

— Przerwany. Widać to wyraźnie — stwierdził astrolog.

— Panno Małgosiu, niech pani zrobi zdjęcie w zbliżeniu — polecił prezes.

Dziennikarka zdjęła aparat ze statywu i sfotografowała skrawek taśmy. W tym czasie komisja sprawdziła drugie drzwi oraz okna w salonie. Okazało się, że pieczęcie nic byty tam naruszone.

Docent Barej, a potem i inni członkowie komisji zatrzymali się przy półce z książkami. Kilka tomów ktoś chyba próbował ruszyć z miejsca; wyraźnie widoczna była luka po wyciągniętej książce. Tu Malinowska dokonała również zdjęć w zbliżeniu.

— Ciekawe, co zarejestrowała kamera — niecierpliwił się doktor Walewski. — Niestety, nie mam zbyt wiele czasu, a chciałbym być obecny przy projekcji.

— Zaraz się tym zajmę, jak tylko skończę dokumentację — odpowiedziała Malinowska. —

Obawiam się jednak, że mogło być zbyt ciemno. Chociaż... Może jakieś fenomeny świetlne... Co pan tam ciekawego zauważył, panie docencie? — zwróciła się do Rawika, przeglądającego zapisy EEG.

— Bardzo interesujące... — potwierdził gospodarz. — Początkowo, właściwie aż do dwunastej minuty, przebieg typowy dla transu. Najpierw wyraźna desynchronizacja, potem dominacja rytmów alfa, z coraz częstszymi wrzecionami i seriami theta. Zwłaszcza między szóstą a dwunastą minutą. A później, gdzieś chyba w momencie „aportu” książki lub pojawienia się pierwszych włókien ektoplazmy na głowie pana Józefa, nastąpiła jakby awaria aparatury. Jakieś gwałtowne wyładowania, skokowe zmiany potencjałów, wreszcie pozioma linia ciągła, tak jakby uległy uszkodzeniu układy elektroniczne elektroencefalografu lub zwarto przewodami elektrody. Ale nie sędzę, aby to było rzeczywiste uszkodzenie, gdyż po ośmiu minutach wszystko wróciło do normy. Chybił wówczas, gdy fantom zaczął znikać. Da się to zresztą stwierdzić z dużą dokładnością poprzez synchronizację zapisu z dynamometru i czujników oraz obrazu na taśmie magnetowidu.

Rawik odłożył taśmę EEG i podszedł do urządzenia zapisującego wskazania dynamometru. Nacisnął wyłącznik raz i drugi.

— Coś nie w porządku? — spytał prezes.

— A niech to... — gospodarz nie dokończył przekleństwa. — Zapis stanął i to gdzieś na początku, bo nic nie zostało zarejestrowane.

— Przecież wszyscy widzieliśmy, jak ten Arab podrzucił ciężarek — wtrąciła gospodyni.

— Nie podrzucił, lecz przycisnął — sprostował prezes.

— Przycisnął i uniósł w górę — sprecyzował Rawik.

— O Boże...

Wszyscy spojrzeliśmy na Malinowską. Idąc za jej wzrokiem dostrzegłem na dywanie dwie wtyczki wyciągnięte z rozdzielacza. Jeden przewód biegł do przyrządów pomiarowych, drugi do kamery telewizyjnej.

— Kto wyciągnął wtyczki? — dziennikarka patrzyła z rozpaczą na przewody. — Nie będzie też zapisu z kamery... Jeśli ktoś zrobił to umyślnie, to... — nie dokończyła zdania. Była bliska płaczu.

— Zrobiłaś to sama, panienko! — zawołała od stołu Chochołowska z mieszaniną zawodu i satysfakcji. — Tylko pani tu się szwendała podczas seansu, czy trzeba było, czy nie trzeba! A to wszystko dlatego, że pani w głowie sukcesy reporterskie, a nie solidna, rzetelna dokumentacja naukowa.

— Może to jednak nie pani redaktor — zaproponował ostrożnie docent Barej. — W dziejach parapsychologii znane są przypadki, wcale zresztą nie takie rzadkie, pozostawiania przez media trwałych śladów oddziaływania fizycznego. Mechaniczne przemieszczenia przedmiotów, nawet bardzo ciężkich. Są relacje o telekinetycznym przesunięciu fortepianu przez Ossowieckiego we wczesnym okresie ujawniania się jego paranormalnych uzdolnień. Do tej samej zresztą kategorii zjawisk zaliczyć można tłuczenie szyb, talerzy...

— Nie sędzę, panie docencie, żeby zawinił tu pan Józef.

— Kto mówi o winie? — zmieszał się Barej. — Są to nieświadome, spontaniczne manifestacje.

— Pan pozwoli, panie docencie, że się z panem nie zgodzę — nie ustępowała ezoteryczka. — Albo jest to wyraźny przejaw złośliwości astrosomu, niekoniecznie zresztą pana Józia, albo ten poltergeist ma na imię Małgorzata. Po prostu zaczęła pani nogą o przewód. Widać to wyraźnie — wskazała na podłogę.

Rzeczywiście, położenie przewodów wskazywało, że rozłączenie spowodowane było szarpnięciem w połowie drogi między rozdzielaczem a kamerą.

— Można stwierdzić, czy to ja czy też... ktoś inny — powiedziała dziennikarka pojednawczo.

Widać było po niej, jak głęboko przeżywa niepowodzenie. Jeśli to ona zawiniła, nie chciałbym być w jej skórze.

Wszyscy teraz patrzyliśmy w milczeniu na nią, jak podłącza magnetowid do telewizora. Goździkiewicz, siedzący tyłem do ekranu, blady i jakby postarzały, ale już zupełnie przytomny, wstał z fotela i spoglądając niepewnie na Malinowską wyjąkał:

— Ja... ja nic... nie wiem.

Na ekranie pojawił się obraz. Dziennikarka cofnęła taśmę, trochę za daleko albo może celowo, aby sprawdzić cały zapis. Zobaczyliśmy ostatnią fazę przygotowań do seansu i moment wygaszania światła. Szerokokątny obiektyw objął wszystkie osoby siedzące przy stole, lecz teraz w półmroku widać było tylko ciemne zarysy postaci, fosforyzującą kulkę i odbłask lampy za telewizorem. Identyfikacja uczestników zebrania nie sprawiała jednak większych trudności, a gdy świetlisty punkt nad stołem zaczął się poruszać, podchodząc w swych wahnięciach do naszych głów, również twarze można było rozpoznać.

Wahadłowy ruch kulki przeszedł w zwariowane harce, a potem z nagłą ustał. Usłyszeliśmy cichy szmer, tykanie, zgrzyt i bicie zegara, którego niewyraźny cień widoczny był w głębi pokoju — między medium i Chochołowską. Osiem uderzeń i okrzyk Rawikowej. Wszystkie dźwięki utrwalone zostały znakomicie. Niestety, obraz był zły — ciemny i niewyraźny. Słyszeliśmy dobrze szelest kartek wertowanej książki, ale dostrzegłem tylko ledwie widoczny zarys półki, i to częściowo zasłoniętej postacią gospodarza. Ciekawy byłem ogromnie widoku książki spadającej na stół i czekałem niecierpliwie na ten moment, nie mówiąc już o nadziei na wyjaśnienie, czy pojawienie się nieznanego było tylko halucynacją. Usłyszałem jednak tylko skrzyp otwieranych drzwi, cichy trzask, jakby szurnięcie nogą po dywanie i dźwięk się urwał. Jednocześnie znikł obraz z ekranu telewizora.

— Widziała pani?! — zawołała z tryumfem Malinowska do Chochołowskiej .

— Co?

— W chwili rozłączenia przewodów siedziałam przy stole!

— Niech pani powtórzy jeszcze raz ostatnią scenę — polecił Rawik. — A najlepiej zatrzyma obraz w ostatnim momencie.

Dziennikarka wykonała polecenie i wszyscy uważnie przyjrzeliliśmy się obrazowi, podchodząc bliżej ekranu.

— Wszyscy siedzimy na swoich miejscach — stwierdził z powagą Stasiński. — A więc... — zawiesił głos.

— Ktoś wszedł, potknął się, zaczepiając o przewody. To wyraźnie słyhać — podjął Walewski. — I to nie żaden duch, bo chyba duchy się nie potykają.

— Trzeba natychmiast przeszukać mieszkanie — zdecydował gospodarz. — Zosiu, sprawdź, czy drzwi wejściowe są zamknięte na zasuwę.

Rawikowa popatrzyła na męża z lękiem.

— Idź ty, ja się boję.

Wyszedłem do przedpokoju za gospodarzem i prezesem Stasińskim. Nikogo tu nie było, a zasunięta zasuwa zdawała się wykluczać możliwość, aby nieproszony gość wszedł i wyszedł z mieszkania. Chyba że ukrył się w kuchni lub w łazience.

— Ktoś tu stał. A potem wszedł do pokoju.

Rawik wskazał na podłogę. Ciemnobrązowa powierzchnia gumolitu nosiła wyraźne ślady męskich butów. Tak jakby ktoś stał chwilę, a potem przeszedł w kierunku drzwi po bardzo zakurzonej podłodze.

— Panno Małgosiu! — zawołał Stasiński. — Proszę tu przyjść z aparatem!

— To dziwne, ale ślady zaczynają się od środka przedpokoju — stwierdził gospodarz, wyraźnie podekscytowany. — I skąd ten pył? Wyjął z kieszeni lupę i przykucnął, uważnie badając ślady. Rzeczywiście, było w nich coś niezrozumiałego. Pył nie pokrywał równomiernie całej podłogi, lecz jakby gromadził się wokół nóg lub opadł z ubrania idącego człowieka. Nasze buty, gdyśmy szli sprawdzać zasuwę, nie zostawiły zresztą żadnych śladów, a tylko nieznacznie zatarły przy drzwiach do salonu te, które pozostawił intruz.

— Muszę zebrać ten proszek — powiedział Rawik wstając. — To mi nie wygląda na zwykły kurz.

W tym czasie w drzwiach pojawiła się Malinowska z aparatem; za nią Walewski, Barej i Chochołowska.

— Proszę nie wchodzić! — ostrzegł gospodarz. — Tylko pani redaktor niech przyjdzie tu do mnie. Ale bardzo ostrożnie, aby nie zatrzeć śladów.

Gdy dziennikarka przygotowywała się do zdjęć, Rawik obszedł jeszcze raz przedpokój, zajrzał do łazienki i ubikacji, a następnie do kuchni. Gdy otwierał drzwi, uczuliśmy nagły, gwałtowny powiew.

— Panie docencie! Przeciąg! — zawołała ostrzegawczo Malinowska.

Było już jednak za późno. Uniesione wiatrem pyły zniknęły błyskawicznie. Na ciemnobrązowym gumolicie nie został żaden ślad zagadkowych odwiedzin.

Rawik stał w drzwiach i patrzył ponuro na podłogę, potem wrócił do kuchni i zamknął otwarte okno.

— Proszę państwa, wracamy do stołu! — zwrócił się do nas, starając się nie okazywać zdenerwowania. — Wszystko, co się dziś wydarzyło, wymaga skrupulatnego zbadania. Również to, że mamy kłopoty z dokumentacją. W tej sytuacji musimy wrócić do tradycyjnych metod i odtworzyć z pamięci możliwie dokładnie przebieg dzisiejszych wydarzeń. Pani redaktor będzie tak łaskawa i przygotuje magnetofon. Ja z kolegą prezesem sprawdzimy jeszcze pozostałe pokoje, to znaczy sypialnię, mój gabinet i ciemnię. Za kilka minut możemy zaczynać.

Skorzystałem z okazji i zapytałem gospodarza, czy mogę zamówić Rokity. Przeszliśmy do gabinetu i nadspodziewanie szybko połączyłem się z międzymiastową. Okazało się jednak, iż połączenie z Rokitami mogę otrzymać nie wcześniej jak za dwie, trzy godziny. Wróciłem więc do salonu.

Walewski przysiadł się do Goździkiewicza, wypytując go o wrażenia odczuwane podczas transu. Chochołowska nadal spierała się o coś z docentem Barejem. Podeszedłem do Malinowskiej, zajętej sprawdzaniem magnetofonu.

— Słyszałem, że jest pani psychologiem — zagałem rozmowę.

— Studiowałam psychologię, ale nigdy nie pracowałam jako psycholog. Zaraz po studiach zajęłam się dziennikarstwem.

— To nie ma znaczenia. Z tego, co mogłem się zorientować, patrzy pani na te wszystkie niezwykle zjawiska obiektywnie. Nie kwestionuje z góry ich realności, ale też nie przyjmuje wszystkiego, co widzi i słyszy, za dobrą monetę. Inaczej mówiąc, szuka pani wyjaśnienia na gruncie psychologii i współczesnych nauk przyrodniczych. Dlatego chciałbym usłyszeć pani zdanie w pewnej, bardzo dla mnie ważnej sprawie.

Malinowska skończyła przewijanie taśmy i popatrzyła na mnie z uwagą.

— Chodzi panu p pańskie wizje?

— O to również. Teraz jednak przede wszystkim o coś, co, obawiam się, może być przejawem

obłądu. Otóż w ostatnim czasie stale widuję, i to w zupełnie zaskakujących, wręcz niewytłumaczalnych okolicznościach, pewnego człowieka. Wydaje mi się, że chodzi za mną od wczorajszego wieczoru. Pierwszy raz widziałem go na parkingu naszej elektrowni w czasie pożaru transformatora. Potem dwa razy w pociągu, którym tu przyjechałem. I to w dwóch różnych przedziałach, jakby tam czekał na mnie, gdyż już siedział, gdy wchodziłem. A teraz też go widziałem, tu, na seansie. Siedział na pani miejscu, gdy robiła pani zdjęcia... Nikt go jednak poza mną nic dostrzegł. Chyba nie ulega wątpliwości, że mam halucynacje?

Malinowska zastanawiała się chwilę.

— Najprawdopodobniej są to przywidzenia. Ale nie dowodzą jeszcze obłądu. Halucynacje mogą występować, w pewnych szczególnych warunkach, u ludzi zupełnie zdrowych psychicznie.

— Na przykład na pustyni.

— Fatamorgana nie jest halucynacją w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jest to miraż optyczny spowodowany czynnikami fizycznymi — załamywaniem się światła w warstwach powietrza o różnej temperaturze. Dlatego można go sfotografować. A halucynacji pan nie sfotografuje. Halucynacja jest zjawiskiem psychofizjologicznym i polega na traktowaniu wyobrażeń jako spostrzeżeń. Ale przyczyny tego rodzaju mylnych odczuć nie muszą być wcale patologiczne.

— To znaczy?

— Być może w pociągu trafił pan przypadkowo na współpasażerów trochę podobnych do mężczyzny spotkanego na parkingu, a wyobraźnia, przy silnym pobudzeniu emocjonalnym wywołanym pożarem, sprawiła, że uznał ich pan za jedną i tę samą osobę. Mogło powstać skojarzenie emocji z określonym wyobrażeniem i wytworzyło się coś w rodzaju obsesji. Tu zaś, w półmroku, w atmosferze podniecenia „cudami” telekinezy, jeszcze łatwiej o omamy.

— Ale taka obsesja to też jakby choroba.

— Raczej stan nerwicy — próbowała mnie uspokoić rzetelną, mam nadzieję, informacją. — A pańska sytuacja może sprzyjać nerwicy. Zresztą ludzie o zdolnościach medialnych to bardzo często nerwicy...

— To znaczy, że będę nadal widywał tego człowieka? — zapytałem z rezygnacją.

— Niekoniecznie. Być może już po naszej rozmowie te halucynacje ustąpią. Wystarczy nieraz dobrze uświadomić sobie w czym rzecz.

— A jeśli nie ustąpią?

— No cóż... — dziennikarka zawahała się. — Wówczas radziłabym zwrócić się o pomoc do dobrego psychoterapeuty, najlepiej psychoanalityka z dużym doświadczeniem w nerwicach natręctw. Mogę panu podać adresy i telefony paru niezłych specjalistów.

— Czy po takiej kuracji znikną także te moje wizje?

— Mówi pan o prekognicji? Powiem szczerze. Nie wiem, co o tym sądzić. Być może telepatycznie wyczuwa pan intencje, a nawet sam nieświadomie steruje biegiem wydarzeń. Telepatycznie lub telekinetycznie.

Przypomniał mi się natychmiast wypadek Kazia Malika. Malinowska mogła mieć rację... Tylko to odnalezienie domu Rawika nie pasowało. Chciałem ją zapytać, jak wytłumaczy to zdarzenie, ale przez uchylone drzwi gabinetu dobiegł mnie przeciągły dzwonek telefonu.

— Przepraszam panią — powiedziałem wstając. — To chyba międzymiastowa. Nadzwyczajnie! Miałem czekać dwie godziny.

Okazało się jednak, że moja radość była przedwczesna. Telefonistka przekazała tylko wiadomość, że numer nie odpowiada. Polecilem, aby następną próbę połączenia podjęła po dziesiątej.

Tymczasem gospodarz i prezes wrócili już ze „zwiadu” i naradzali się nad czymś z Walewskim i Goździkiewiczem.

— Zosiu, pozwól tutaj! — zawołał Rawik swą żonę przysłuchującą się dyskusji Bareja z Chochołowską. — Zostawiłaś w kuchni otwarte okno?

— Ja? Co ty mówisz? — oburzyła się Rawikowa. — Zamknęłam wszystkie okna, jak kazałeś! Chyba wiatr musiał otworzyć. Mówiłam ci już, że się nie domyka i trzeba wezwać stolarza...

— Pan inżynier widział kogoś obcego w czasie seansu — wtrąciła się Chochołowska.

— Widział pan jakąś obcą osobę? Gdzie? — zapytał prezes z błyskiem w oczach.

— Widziałem. Tu przy stole. Ale to chyba halucynacja...

— Niech pan mówi, co pan widział! — ponaglił mnie gospodarz.

— Widziałem mężczyznę. Siedział między panem prezesem Stasińskim i panem doktorem Walewskim. Było to w czasie seansu.. Pani redaktor wstała i zaczęła robić zdjęcia. I wtedy w świetle flesza zobaczyłem tego człowieka.

— Jeśli ten ktoś jest jeszcze tutaj, to ja chyba zwariuję! — zdenerwowała się gospodyni.

— Uspokój się, Zosiu — powiedział Rawik. — Nikogo obcego u nas w mieszkaniu nie ma. Sprawdziłmy dokładnie wszystkie pokoje.

— Moim zdaniem ten ktoś to albo myślak, powołany do życia przez pana Józia, albo kamarupa — odezwała się Chochołowska takim tonem, że poczułem nieprzyjemny chłód.

— Kamarupa? — powtórzyła Rawikowa drżącym głosem.

— Czy w mieszkaniu tym nie popełnił ktoś kiedyś morderstwa lub samobójstwa? — zapytała ezoteryczka w taki sposób, jakby specjalnie chciała spotęgować wrażenie.

— Nic o tym nie wiem... — Gospodyni patrzyła na Chochołowską z przerażeniem.

— To stary dom. Nigdy nic nie wiadomo...

Goździkiewicz wlepił wzrok w ezoteryczkę i jakby przybladł.

— Co pani opowiada? — odezwał się Stasiński, wyraźnie szykując się do nowego ataku, lecz na szczęście docent Barej rozładował napięcie.

— Zapomnieliśmy zupełnie o książce — powiedział, patrząc na stół; zgodnie z poleceniem gospodarza nikt jeszcze nie dotknął oprawnego w skórę tomu, rzuconego przez „ducha”. — Warto zobaczyć, co to za dzieło i na której stronie otwarte.

— To *I Ching*, Księga Przemian — wyjaśnił Rawik. — Pani Małgosiu, niech ją pani sfotografuje. Razem z jakimś orientacyjnym elementem otoczenia. O, z tym ołówkiem — wskazał mój pisak.

Dziennikarka dokonała zdjęć i gospodarz podniósł ostrożnie książkę, ustawiając ją w pozycji pionowej.

— Proszę zapamiętać położenie, a pani zrobi łaskawie jeszcze jedno zdjęcie! — padło kolejne polecenie.

Rawik wziął teraz tom w rękę i zaczął czytać tekst na otwartej stronie:

— Heksagram czterdziesty czwarty. Kaou — pokusa. „Wiatr niżej, niebo wyżej”. Wyrocznia brzmi:

„Wiatr wieje niżej nieba.

Książę wykrzykuje rozkazy

i śle oświadczenia

na cztery wiatry.

Silna i samowolna kobieta,

nie bierz jej w ramiona”.

— Jest to przestroga, lecz nie wiem, do kogo skierowana — dorzucił, przerywając czytanie. — Chociaż... — zastanowił się. — Książka spadła tak, że tytuł zwrócony jest w kierunku krzesła, na którym siedział?... — Gospodarz zawahał się.

— Ja tam siedziałem — stwierdził prezes Stasiński.

— ...tekst wyroczni zaś... — ciągnął pytająco Rawik. — Tam chyba siedział pan inżynier.

— Słowem: musicie się panowie strzec silnych i samowolnych kobiet — skomentował ze śmiechem Walewski.

— Jak pan może opowiadać takie głupstwa — zaoponowała Chochołowska. — To jest metafora.

Znów awantura wisiała na włosku, ale tym razem gospodarz nie dopuścił już nikogo do głosu.

— Proszę państwa! — powiedział wstając. — Proponuję, abyśmy wszystko to, co się tu wydarzyło, wszystkie te niezwykle fakty przeanalizowali spokojnie, w atmosferze pewnego relaksu, u mnie w gabinecie, a w tym czasie moja małżonka przygotowuje kolację. Pani zaś, panno Małgorzato, tak jak zaplanowaliśmy, wywoła film, który, mam nadzieję, nie został zepsuty przez żadnego myślaka czy kamarupe.

— Daj spokój, Wiciu — przestraszyła się Rawikowa. — Wiesz, że nie lubię takich żartów.

Walewski wziął mnie pod ramię.

— Zostańmy tu. Chciałbym chwilę z panem porozmawiać — zaproponował, prowadząc mnie w kąt salonu przy oknie. — Muszę niedługo wyjść. Jaka jest pańska data urodzenia? — zapytał, wyjmując notes.

— Dziewiąty października tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

— Gdzie i o której godzinie?

— W Toruniu, ale godziny urodzenia nie znam.

— Nie szkodzi. Proszę mi podać daty jakichś szczególnie ważnych wydarzeń w pana życiu, a będę mógł określić czas urodzenia z dokładnością do paru minut. Chciałbym obliczyć pański horoskop.

— Teraz?

— Ależ nie — uśmiechnął się pobłaźliwie astrolog. — Aby obliczyć horoskop, trzeba wielu godzin pracy. Określenie położenia planet na podstawie efemeryd, których zresztą nie wziętem ze sobą, wzajemnych kątowych odległości ciał niebieskich, ich lokalizacji w systemie domów, ustalenie ascendentu, to zajęcia bardzo czasochłonne...

— Pańska własność! — usłyszałem za sobą głos Stasińskiego. Trzymał w ręku ołówek. — Znów ktoś może panu „ukraść”, tak jak ja w Rokitach. A to ładna rzecz. I do tego lewitująca.

— To nie mój pisak, lecz kolegi. Muszę mu oddać — sprostowałem, chowając ołówek do kieszeni.

— Tym bardziej musi go pan dobrze pilnować. Nie przeszkadzam. Prezes ukłonił się i odszedł, a ja podjąłem przerwany temat:

— Więc twierdzi pan, że gwiazdy decydują o naszej przyszłości? Jestem urodzony w znaku Wagi. Czytam czasem horoskopy w „Kurierze Polskim” i muszę przyznać, że niekiedy się sprawdzają.

— Niech pan nie wierzy horoskopom gazetowym — powiedział z dezaprobatą Walewski. — Nie mają nic wspólnego z prawdziwą astrologią. Znaki zodiaku to zaledwie tło. W poszczególnych fazach obiegu Ziemi wokół Słońca manifestuje się co prawda odmienność energii słonecznej w każdym ze znaków, ale właściwy horoskop musi obejmować indywidualny zapis całości energii kosmicznej. Najsilniej oddziałuje na nas Słońce, bo przecież jemu bezpośrednio zawdzięczamy życie. Mamy jednak prawo podejrzewać, że również z innych obszarów kosmosu dociera do Ziemi

promieniowanie wpływające na materię żywą, znajdującą się aktualnie w jego zasięgu. Natężenie tych oddziaływań nie tylko się zmienia zależnie od położenia Słońca na tle gwiazdozbiorów i czasu gwiazdowego odpowiadającego obrotowi Ziemi wokół osi, ale także ulega wzmocnieniu lub osłabieniu zależnie od położenia planet i Księżyca, które zmieniają jak gdyby geometrię pola tej energii kosmicznej otaczającego nasz glob. Można powiedzieć, że siły planetarne modyfikują to pole i w ten sposób za jego pośrednictwem oddziałują na procesy rozwoju organizmów, w tym także mózgu, i dlatego już w chwili urodzenia mogą sprzyjać tworzeniu się określonych predyspozycji. Ale są to tylko predyspozycje psychiczne, a nie właściwości fizyczne. Mogą one ułatwiać rozwinięcie się określonych cech charakterologicznych i uzdolnień, lecz bynajmniej nie determinują losów człowieka.

Byłem trochę zdziwiony. Inaczej wyobrażałem sobie światopoglądowe podstawy wiary w astrologiczne przepowiednie.

— Więc również astrologia nie mówi o przeznaczeniu?

— W żadnym przypadku! Można powiedzieć, że jest to technika przewidywania przypuszczalnych stanów psychicznych człowieka lub większych grup społecznych oraz rozwoju zawartych w nich potencjałów, i nic ponadto.

— I wyklucza pan zupełnie możliwość istnienia fatum?

— Astrologia nie daje podstaw, aby w nie wierzyć. W tym czasie już wszyscy uczestnicy seansu przeszli do gabinetu i tylko Rawikowa krążyła między kuchnią a salonem, przygotowując kolację. Ciekaw byłem dyskusji parapsychologów, więc zaproponowałem:

— Może jednak pan zostanie?

Walewski spojrzął na zegarek.

— Nie mogę. Mam pociąg za czterdzieści minut, a chciałbym jeszcze chwilę z panem porozmawiać. Nie sądzę zresztą, aby dyskusja wniosła coś istotnego. Będą jak zwykle kłócić się o słowa, a nie o fakty.

— A zdjęcia?

— Mogę się założyć, że też będą z nich nici. A jeśli nawet ta dziewczyna rzeczywiście zrobiła zdjęcie papierowego Araba, to wcale nie znaczy, że nie był on tylko zręczną sztuczką tego pana Józefa.

— Więc podejrzewa pan, że to wszystko triki?

— Już Ochorowicz stwierdził, że mediumizm jest nieodłączny od oszustwa. Historia parapsychologii zna setki przypadków przyłapania mediów na pomaganiu sobie szarłatańskimi sztuczkami. Uruchamianie starych zegarów, rzucanie przygotowanych z góry książek to typowe chwytły. Nie mówiąc już o tak prymitywnym efekcie jak włączenie telewizora...

— Więc pan nie wierzy w realność tych wszystkich telepatii, telekinez, jasnowidzeń?

— Nie rozpatrujemy tego w kategoriach wiary. Jestem po prostu sceptykiem empirystą i choć a priori nie odrzucam możliwości, że przynajmniej niektóre z tych fenomenów rzeczywiście występują, obowiązuje mnie jak najdalej posunięta nieufność. I dlatego chcę koniecznie z panem porozmawiać — zniżył głos — o pańskich, nazwijmy to, jasnowidzeniach. Zanim pan tu przyszedł, prezes Stasiński opowiedział dość szczegółowo o przeprowadzonych z panem doświadczeniach. Nie wiem, w jakim stopniu te relacje można uznać za dokładne. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

— Proszę.

— Otóż... Muszę panu powiedzieć, że spośród zjawisk paranormalnych szczególnie interesuje mnie prekognicja. Jasnowidcze przewidywanie przyszłych zdarzeń to dziedzina mająca pewne punkty stykowe z astrologią. Interpretacja horoskopu nie jest, a przynajmniej nie powinna być, czynnością

formalną, mechaniczną. Trafność przewidywań zależy również od pewnych szczególnych uzdolnień, jak sądzę, od podświadomego konstruowania prognoz. Inaczej mówiąc, dobry astrolog jest też po trosze czymś w rodzaju jasnowidza. Nie będę tu odwoływał się do historii, choć znamy wiele przypadków łączenia tych umiejętności. Wszystko to należy jednak oceniać w kategoriach probabilistycznych. Mniejszego lub większego prawdopodobieństwa potwierdzenia się przewidywań. Stasiński twierdzi, że u pana ten mechanizm prognostyczny działa niezawodnie. Czy to prawda?

Patrzyłem na astrologa z rosnącym zainteresowaniem.

— Niestety tak — potwierdziłem melancholijnie.

— Niestety? To znaczy próbował pan przeciwdziałać potwierdzeniu się proroczej wizji, i to się panu nie udawało?

— Gorzej. To się odwracało jakby przeciw mnie.

— Nie rozumiem.

Wahałem się, czy mu powiedzieć o Maliku.

— Gdy próbowałem zapobiec tragicznemu wypadkowi, wydarzenia potoczyły się tak, jakbym go tym przeciwdziałaniem spowodował — powiedziałem dość ogólnikowo.

— I dlatego wierzy pan w przeznaczenie?

— Nie wierzyłem, aż do tego momentu. Teraz... nie wiem, co o tym sądzić.

— Mówiąc szczerze, trudno udowodnić realność tego, o czym pan mówi. Gdybym chociaż był świadkiem takiego zdarzenia... Jestem zatwardziałym antyfatalistą.

— Niestety, to nie ode mnie zależy. Wizje pojawiają się zupełnie spontanicznie.

Spojrzałem odruchowo na krzątającą się gospodynię. Na przykrytym białym obrusem stole ustawione już były talerze, kieliszki, szklanki, półmiski z wędliną i rybą. Rawikowa wyszła znów do kuchni, a ja przeniosłem wzrok na Walewskiego. I wtedy znów pojawiła się niebieskawa mgła.

Widzę, że astrolog stoi przede mną z jakimś grymasem na twarzy. Jest chyba czymś zirytowany i z trudem stara się opanować. To jasne: na jego ciemnej marynarce i spodniach widzę wielkie białozółte plamy. Jesteśmy w przedpokoju i Rawikowa, zrozpaczona, usiłuje ręcznikiem oczyścić ubranie gościa. Walewski spogląda z niepokojem na zegarek. Na jego twarzy maluje się już teraz rezygnacja. W tym momencie obraz mętnieje...

Byliśmy nadal w salonie. Astrolog coś mówił do mnie, ale treść słów nie docierała przez chwilę do mojej świadomości.

— ...Czy pan źle się czuje? — usłyszałem jego zaniepokojony głos. — Może pan usiądzie. Przyniosę panu krzesło. — Zrobił ruch w kierunku stołu.

Chwyciłem go za rękę.

— To nic, nic... to właśnie to... jak na zamówienie — próbowałem niezbyt składnie wytłumaczyć, co się stało. — Pan się spóźni na pociąg! — dodałem po chwili.

Walewski spojrzał na zegarek i aż podskoczył.

— Zostało mi dwadzieścia minut. Jeśli natychmiast wyjdę i złapię taksówkę, powinienem zdążyć. Dziękuję, że mi pan przypomniał — potrząsnął pospiesznie moją ręką na pożegnanie i wybiegł do przedpokoju.

— Spotka pana nieprzyjemna przygoda! — zawołałem za nim. — Niech pan uważa na... — urwałem, słysząc jakieś głuchoe klaśnięcie o podłogę i okrzyk gospodyni.

Wpadłem do przedpokoju. Przy drzwiach do kuchni stał Walewski z wielkimi białozółtymi plamami na garniturze. Widocznie chciał pożegnać się z gospodynią i w pośpiechu wpadł na niesioną właśnie przez nią salaterkę z groszkiem w majonezie. Minutę później byłem świadkiem niezbyt

udanych prób oczyszczenia ubrania. Skończyło się na dłuższej operacji usuwania plam ciepłą wodą i chyba jakimiś chemicznymi środkami. O wyjeździe wieczornym pociągiem nie było oczywiście mowy.

W dyskusji w gabinecie docenta Rawika udziału nie brałem. Towarzyszyłem astrologowi oczekującemu w sypialni na spodnie. Rozmowa jednak już nie bardzo się kleiła. Walewski siedział naburmuszony i chociaż wysłuchał z uwagą mojej opowieści o kłopotach z proroczymi wizjami, rzadko się odzywał, jakby miał do mnie pretensje o swą nieprzyjemną przygodę. Wkrótce zresztą mógł się ubrać i wróciliśmy do salonu.

Właśnie siadaliśmy do kolacji, gdy zjawiała się Malinowska z mokrym jeszcze negatywem.

— Jest! — zawołała od progu z tryumfem. — Jest widmo Araba! Wszyscy wstaliśmy od stołu. Gospodarz zapalił stojącą lampę z abażurem i przez lupę obejrzał film. Zgromadziliśmy się wokół niego, próbując rozpoznać na negatywie szczegóły.

— Tylko proszę nie dotykać emulsji! — ostrzegła dziennikarka, gdy ktoś zbyt blisko przysuwał twarz do trzymanego przez nią filmu.

Udało mi się docisnąć do negatywu. Przyglądając się taśmie przez lupę, dostrzegłem stół z uczestnikami seansu, w głębi zegar, stoliki z dynamometrem i elektroencefalografem, po drugiej stronie medium część półki z książkami i telewizor. Na pierwszej klatce — scena sprzed zgaszenia światła. Na drugiej, trzeciej i czwartej — dobrze widoczne widmo Araba (na czwartej podnoszącego odważnik). Na piątej — moment rozplywania się widma. Przyjrzałem się jednak przede wszystkim miejscu, gdzie siedziała Malinowska. Na pierwszej i piątej klatce miejsce to było puste. Na trzech środkowych zauważyłem zarys głowy i palców mężczyzny. To był z pewnością ON.

W tej samej chwili jakieś palce przesunęły się po negatywie, zdrapując emulsję w miejscach, gdzie widoczna była głowa nieznanego. Chciałem schwycić tę niszczycielską rękę, lecz wyslizgnęła się i zamiast niej chwyciłem za film.

— Ostrożnie! — krzyknęła dziennikarka.

Puściłem wilgotny negatyw, szukając wzrokiem tego, kto uszkodził emulsję. Za lampą stał nieznanomy i uśmiechał się do mnie jakoś dziwnie. Rzuciłem się ku niemu, potrącając lampę, która przewróciła się na Malinowska. Zanim zdołałem dopaść intruza, zdążył on, niestety, korzystając z zamieszania, uciec do przedpokoju. Pobiegłem za nim, ścigany głosami oburzenia. W pierwszej chwili myślałem zresztą, że gniew uczestników zebrania skierowany jest przeciw nieznanemu, ale pełne wyrzutu i rozpacz słowa dziennikarki natychmiast pozbawiły mnie złudzeń.

— Panie inżynierze, co pan zrobił?!

W przedpokoju nie było już nikogo. Odsunięta zasława zdawała się wskazywać drogę ucieczki nieznanego. Wskoczyłem na korytarz, lecz nim zdążyłem odnaleźć przycisk i zapalić światło, dopadł mnie Stasiński z Chochołowską.

— Dlaczego pan uszkodził ten film? — zapytał prezes surowo, ale i z pewnym zaciekawieniem.

— Ja tego nie zrobiłem! — zaprzeczyłem kategorycznym tonem.

— Wszyscy widzieliśmy! — stwierdził Stasiński cierpko.

— Niech pan mówi za siebie — przyszła mi z odsieczą Chochołowska. — Ja nie widziałam. To znaczy widziałam, że to nie pan inżynier.

Prezes zignorował jednak uwagę ezoteryczki i kontynuował indagację, tyle że nieco łagodniejszym tonem:

— Czy panu zależało na usunięciu czegoś z emulsji, czy może był to jakiś podświadomy odruch?

— Ja mówię prawdę — odpowiedziałem już spokojniej. — To nie ja uszkodziłem negatyw. Odwrotnie, próbowałem temu zapobiec. To był ten sam człowiek, który siedział między panem a

doktorem Walewskim w czasie seansu.

— To nie był człowiek, tylko myślak albo kamarupa — sprostowała Chochołowska.

— Nikt poza panem nie widział tego człowieka — podjął Stasiński, nadal ignorując obecność ezoteryczki. — Czy nie wydaje się to panu dziwne? Można co prawda w czasie głębokiego transu hipnotycznego zasugerować hipnotyzowanemu, żeby widział osobę, której nie ma, lub nie dostrzegął kogoś, kto istnieje i uczestniczy w eksperymencie. Ale ja panu takiej sugestii nie przekazywałem.

— Ten mężczyzna był na zdjęciu. Widoczny co prawda z tyłu, ale bardzo wyraźnie.

— I dlatego zdrapał emulsję? Ciekawe... Może jednak coś zostało? Chodźmy sprawdzić.

— Obawiam się, że nie zostało śladu.

— Jest pan tego tak bardzo pewny? — powiedział prezes z powątpiewaniem i zrobił ruch w kierunku drzwi prowadzących do salonu. — Idzie pan?

Nie odpowiedziałem. Stasiński czekał chwilę, patrząc na mnie w milczeniu, ale widząc, że się nie kwapię do spotkania z resztą towarzystwa, poszedł sam sprawdzić film.

Gdy drzwi zamknęły się za prezesem, Chochołowska przejęła inicjatywę.

— Chodźmy stąd!

— Dlaczego? Dokąd? — zapytałem zaskoczony.

— Czy nie rozumiesz, że on próbuje ci wmówić, że jesteś wariatem — zaczęła szeptać, przechodząc na „ty”. — Schizofrenia, rozdwojenie osobowości czy może inna bzdura. Mnie już też kiedyś próbował sugerować, że powinnam się leczyć. To on powinien się leczyć!

Otworzyła drzwi na korytarz i pociągnęła mnie za sobą.

9

Na ulicy było cicho i spokojnie. Po dniu pełnym nerwowego napięcia, potęgowanego lawiną przedziwnych zdarzeń, odczuwałem gwałtowną potrzebę odprężenia. Co prawda wyjście bez pożegnania, choćby tylko z gospodarzami, było krokiem nietaktownym i głupim, gdyż wyglądać mogło na ucieczkę i przyznanie się do winy, nie mówiąc już o tym, że nie rozwiązywało żadnego z moich problemów, ale w tej chwili byłem wdzięczny Chochołowskiej, że wzięła inicjatywę w swoje ręce. Toteż raczej z chęci dokonania jakiegoś samouspokajającego gestu, niż z rzeczywistym zamiarem powrotu, zatrzymałem się w bramie i powiedziałem:

— Chyba jednak wrócę... Powinienem podziękować Rawikom...

— Wykluczone! — ucięła kategoriycznym tonem ezoteryczka. — Będą cię męczyć głupimi pytaniami, przesłuchiwać... Oni przecież „widzieli”, jak zdrapywałeś tę emulsję. Oni myślą, że kłamiesz. Oni nie wierzą, oni nie chcą wierzyć, że to myślak albo kamarupa, bo to im nie pasuje do ich ignoranckich teorii.

— Kto to są te myślaki i kamarupy?

— Myślak to twór medium, materializacja jego myśli. Istota powołana do życia siłą wyobraźni, jeśli przyjąć, że myśli i wyobrażenia to i jedno.

— Jak ten Arab, cośmy go widzieli w czasie seansu?

— Tak. Z tym, że myślaki mogą osiągać znacznie doskonalszą formę. Albo też znacznie prostszą i prymitywną. Każdy zresztą człowiek może je tworzyć, tyle że u mediów łatwiej się materializują. Każda bowiem myśl dąży do zrealizowania się, a energia życiowa myślaka zależy od siły i precyzji myśli. W ten sposób myślak może być obdarzony materią nie tylko astralną i eteryczną, ale i fizyczną. Bardzo ważną rolę odgrywa tu siła uczuć, namiętności i żądz, często niższego rzędu. Bo przecież, jak wiadomo, siła wyobraźni zależy od siły uczuć.

— A kamarupa?

— To zupełnie coś innego. To osobowość pozbawiona ziemskiej powłoki. Ciało eteryczne i astralne człowieka zmarłego, utrzymujące się przez pewien czas po śmierci w postaci niedoskonałej.

— Po śmierci?

— Chodź już. Wszystko ci wytłumaczę w domu! — ponagliła Chochołowska, biorąc mnie pod ramię.

— W jakim domu?

— Jedziemy do mnie. Zjemy sami kolację, porozmawiamy spokojnie...

— Powinienem jednak powiedzieć coś Rawikom. Mogą mnie, szukać. Muszę też odwołać zamówioną rozmowę międzymiastową. O dziesiątej mają łączyć.

— Zadzwoń ode mnie. A pogadać musimy. Jest o czym. Przede wszystkim o tym, co ty widziałeś. Bo to, co wyczyniał pan Józio, to nic nowego. Twoja medialność jest wyższego rzędu. Twój *buddhi manas* jest chyba obdarzony panestezją. Widzisz i czujesz, czego inni nie widzą i nie czują. To coś więcej niż psychokineza pana Józia.

— Doktor Walewski podejrzewa, że pan Józio robił jakieś sztuczki.

— Walewski nie znasie na spirytyzmie. Gozdziakiewicz to dobre medium, o wysokim stopniu medialności, rozwiniętym astrosomie i bogatych przejawach ideoplastii. Ale takie media znane są od ponad stu lat. Z tobą to jednak zupełnie co innego. Ja naprawdę widziałam, jak , ta emulsja schodziła sama. To znaczy wyglądało tak, jakby ją ktoś paznokciem zdrapywał, ale tego człowieka, a raczej nieczłowieka, który zdrapywał, nie było widać. Był dla wszystkich niewidzialny. A ty widziałeś! I dlatego musimy dojść, co to było naprawdę — przekonywała mnie coraz bardziej przejęta własnymi słowami.

Wyszliśmy już na ulicę i stanęliśmy przy zielonym trabancie zaparkowanym na krawędzi chodnika.

— A gdybyś poszedł pożegnać się na górę, tobyś wsiąkł — zakończyła, wyjmując z torebki kluczyki.

— Muszę też zadzwonić do adwokata — przypomniałem sobie główny powód przyjazdu do Łodzi.

— Zadzwoń ode mnie. Co to za adwokat?

— Mecenas Kamasa.

— Znam go świetnie. To kolega mego byłego męża. Bardzo zdolny facet. Dobry obrońca w sprawach karnych. Zadzwońimy do niego ode mnie. No, jedziemy! — Otworzyła drzwi samochodu. Pomyślałem, że istotnie nie ma powodu, abym odrzucił zaproszenie.

Chochołowska była dobrym i szybkim kierowcą, lecz jazda trwała dość długo. Ezoteryczka mieszkała na drugim końcu miasta. Przez całą drogę wypytywała mnie o moje dziwne przeżycia od chwili awarii, a zwłaszcza spotkania z tajemniczym nieznajomym. Znając jej dotychczasową gadatliwość, muszę przyznać, iż potrafiła być też uważną słuchaczką.

Zajechaliśmy na parking przed wysokim, nowoczesnym blokiem. Mieszkanie Chochołowskiej znajdowało się na dziewiątym piętrze. Była to kawalerka z kuchenką we wnęce, z łazienką i ciasnym przedpokojem, zabudowanym ściennymi szafami. Obszerny pokój pozbawiony był prawie zupełnie mebli. Niemal całą podłogę pokrywał czerwony dywan włochacz, sięgając aż do grubego materaca piankowego do spania, rozłożonego pod ścianą. Na środku pokoju stał niski okrągły stolik, a obok niego trzy pufy. Przy drzwiach do przedpokoju — wąski regał, na którym znajdowało się więcej przedziwnych staroci, głównie dalekowschodnich i południowoamerykańskich, niż książek. Jakieś fantastycznie powykręcane korzenie, zasuszone kwiaty i owoce, rzeźbione szkatułki i plastikowe pudełka, amulety, totemy, minerały, a nawet wystająca z jakiejś metalowej miski zmumifikowana dłoń ludzka lub może jej zręczna imitacja.

W przeciwległym kącie przy oknie dostrzegłem niewielki ołtarzyk z posążkiem Siwy wśród doniczkowych kwiatów. Na ścianach rozwieszane były maty i kilimy, a także afrykańskie czy południowoamerykańskie maski i akcesoria rytualne, prawdopodobnie w większości imitacje. A obok tego kolorowe zdjęcia Chochołowskiej w sari oraz jakichś guru i szamanów. Na dodatek do drzwi przypięty był zwykły turystyczny plakat reklamujący Tajlandię.

— Była pani w Indiach? — zapytałem, przyglądając się zdjęciu gospodyni.

— W dwóch poprzednich wcieleniach — odpowiedziała Chochołowska z taką powagą, że zacząłem się zastanawiać, czy nie kpi ze mnie.

— A więc nieźle poznała pani ten kraj — powiedziałem półzartem.

— Urodziłam się tam i umarłam.

Wyraźnie czekała na dalsze pytania dotyczące jej reinkarnacyjnych dziejów, ale nie podjąłem tematu. Dostrzegłem biały telefon na dywanie obok materaca.

— Pani pozwoli, że zatelefonuję — wyjąłem z kieszeni kartkę z numerem mecenas Kamasy.

— Mów mi Ewa... A tobie jak na imię?

— Adam.

— Wspaniale: Adam i Ewa... Chcesz dzwonić do Rawika czy do Kamasy?

Spojrzałem na zegarek. Do dziesiątej brakowało ośmiu minut,

— Najpierw do Kamasy.

— Daj, ja zadzwonię!

Chwyliła kartkę z numerem telefonu i rzuciła się swobodnie na materac. Leżąc na brzuchu, wzięła słuchawkę i wykręciła numer. Jej ruchy i poza bardziej pasowały do nastolatki niż czterdziestoparoletniej kobiety.

— Czy mogę prosić do telefonu pana Bronisława? — powiedziała do słuchawki. — Tu Ewa Chochołowska... Odpowiedział jej jakiś głos kobiecy.

— A czy nie może go pani obudzić?... Rozumiem... Niech mu pani powie, że mam mu masę bardzo ciekawych rzeczy do opowiedzenia. Wprost rewelacyjnych... Urządziliśmy seans z panem Józkiem... Arcyciekawe doświadczenia, i nie tylko z nim... Opowiem pani tylko jedno zdarzenie... Rozumiem... Zadzwonię jutro rano... Dobrze, po południu. I jeszcze jedno: jest tu u mnie pan inżynier Szarek. Przyjechał specjalnie do Łodzi, aby się zobaczyć z mecenasem... Chyba tak. Chodzi o kłopoty prawne... Chciałby zasięgnąć rady...

— Z polecenia Baśki Niewińskiej — podpowiedziałem spiesznie.

— Z polecenia Baśki Niewińskiej — powtórzyła Chochołowska. — Dzwoniła?... Bardzo szkoda... Dziękuję. Będziemy jutro o dziewiątej... Dobranoc pani!

Odłożyła słuchawkę na widełki i nie podnosząc się z materaca, oświadczyła:

— Jutro rano mamy być u mecenasa. To stare babsko twierdzi, że jest zmęczony i śpi. Ale jej nie wierzę. To taka żona cerber. Aha! Ta twoja Baśka dzwoniła już do Kamasy, ale go nie zastała. Co to za Baśka.

— Koleżanka z pracy.

— Hm! — mruknęła znacząco Chochołowska. — Masz sporo tych koleżanek. A ta Baśka to jakaś dobra znajoma... Kamasy?

— Bardzo dobra.

— Miałeś dzwonić do Rawika — zmieniła temat. — I odwołać jakąś rozmowę międzymiastową. Jeśli to coś ważnego, możesz przerzucić na mój telefon albo spróbować przez numer kierunkowy. O tej godzinie łatwiej.

— Muszę się dowiedzieć, czego chciała ode mnie doktor Szycka. To może być dla mnie bardzo ważne.

— Dzwon. Mój numer masz przy telefonie.

Kierunkowy na centralę piotrkowską wysiadał na „czwórce”. Na szczęście numer łódzkiej międzymiastowej był wolny i szybko udało mi się załatwić przerzucenie zamówienia na aparat Chochołowskiej.

— A teraz do Rawika! — ponagliła Chochołowska, gdy powiesiłem słuchawkę. — Zapytaj o ten negatyw. Jestem bardzo ciekawa, czy coś zostało.

Odczułem przyływ niepokoju. Perspektywa rozmowy z docentem, a może i ze Stasińskim nie była dla mnie najprzyjemniejsza. Znów zaczną się pytania, indagacje...

Musiałem mieć bardzo niepewną minę, bo Chochołowska zaraz domyśliła się, o co chodzi, i pospieszyła mi z odsieczą:

— Najlepiej będzie, jak ja zadzwonię. Przepraszę w twoim imieniu. A jeśli by spróbowali coś mi na ciebie mówić, przytrę im nosa. To nie ja się ich boję, lecz oni mnie! — dorzuciła chełpliwie.

Sięgnęła po słuchawkę i zaczęła wykręcać numer.

— Co im pani o mnie powie? — spytałem trochę niespokojny.

— Żadna „pani”! Ewa jestem! A co im powiem, to zaraz usłyszysz.

Dłuższą chwilę nikt nie podnosił słuchawki, wreszcie odezwał się głos docenta Rawika.

— Tu Chochołowska! Przepraszam bardzo, że wyszłam bez pożegnania... Nie, nie. Po prostu przypomniałam sobie, że mają do mnie dzwonić z Ełku o dziesiątej. Czy jest u państwa inżynier Szarek? — mrugnęła do mnie porozumiewawczo. — Nie ma?... Kiedy wyszedł?...

Godzinę temu? No tak. Wyszedł ze mną, ale miał wrócić... Wiem tylko tyle, że miał jakąś ważną sprawę do załatwienia. Może jeszcze przyjdzie albo zadzwoni. A propos, czy dał mu pan numer swego telefonu?... To fatalnie... Nie był zresztą zupełnie pewny, czy wróci i prosił mnie, żebym odwołała rozmowę międzymiastową, zadzwoniła do państwa i na wszelki wypadek przeprosiła pana docenta, że musiał tak nagle wyjść... Nic nie kręcę! Odwiozłam go na Piotrkowską, do jakiegoś znajomego... Jasne, że mógł czuć się dotknięty insynuacjami pana Stasińskiego. Ale do pana, panie docencie, ani do pani Zofii nie miał z pewnością żadnego żalu... Przeciwnie, mówił o panu z pełnym uznaniem. Gdyby nie ten nieszczęsny incydent ze Stasińskim... Co pan powie?... Widziała?... Ja też widziałam, ale Stasiński nie chciał mi wierzyć... Inżynier ma do mnie też dzwonić, to mu przekażę... oczywiście, jeśli tylko się zgodzi, zaraz pana powiadomię. Dobranoc! I jeszcze raz przepraszam.

Odłożyła słuchawkę i zaśmiała się jadownicie.

— Co pani mu naopowiadała?! — spytałem gniewnie. — Skończ wreszcie z tą „panią”! A że wsadziłam kij w mrowisko, to nie szkodzi. Będą mieli nauczkę. I nie miej do mnie pretensji. Raczej powinieneś być mi wdzięczny, że cię uwolniłam od tych nudziarzy. Ty nie masz się czym martwić. To oni teraz się martwią. No, przestań robić głupie miny. Zapytaj raczej, czego się dowiedziałam. Jesteś czysty jak łąza. Rawikowa też widziała, jak jakaś niewidzialna ręka zdrapała emulsję! Wyobrażam sobie, jaką głupią minę miał pan prezes!

— Może jednak powinienem tam wrócić.

— Też pomysł! — W oczach Chochołowskiej pojawiły się złe błyski. — Ja cię tam nie zawiozę, a taksówkę trudno o tej godzinie złapać. Czekasz zresztą na te Rokity.

— Telefonistka obiecała, że nie będę długo czekał. Czy daleko stąd do jakiegoś hotelu? — zapytałem chłodno.

— Hotel? O tej porze? Wykluczone. Przenocujesz u mnie. Mamy zresztą całą masę spraw do omówienia. Być może trzeba będzie przeprowadzić pewne próby. Z tego, co mi opowiedziałeś po drodze, wynika, że to nie może być myślak pana Józefa. Mówisz, że pojawił się po raz pierwszy zaraz po tej awarii w elektrowni?

— Tak. A potem w pociągu.

— Czy w czasie tego pożaru ktoś zginął?

— Nie było śmiertelnych ofiar. Jeden poparzony. Jest jeszcze w szpitalu, ale nic mu nie grozi. Dopiero dziś rano był poważniejszy wypadek. Ale i ten człowiek żyje. Mam nadzieję, że żyje... Chochołowska zastanawiała się dłuższą chwilę.

— Więc to chyba nie może być kamarupa... — stwierdziła dość stanowczo. — Może jednak myślak? Czy masz jakiegoś zacieklego, wroga? Może jakiś kolega w tej waszej elektrowni?

— Nie wiem... — powiedziałem z wahaniem i w tej chwili pomyślałem o Wotnym. — Mam kolegę, który z pewnością źle mi życzy. Ale on już osiągnął, co chciał. Po tej awarii zajął moje miejsce.

— Czy jesteś pewny, że nie próbuje ci dalej szkodzić? Czy tylko chodziło mu o twoje stanowisko? Może jeszcze jest w tym jakaś kobieta? Mówiłam ci, że siła myślaka może zależeć od

natężenia żądz i namiętności.

Popatrzyłem niepewnie na ezoteryczkę. Przypomniał mi się niedawny sen i halucynacja słuchowa.

— Rzeczywiście... Jest zazdrosny o pewną kobietę. Być może nawet próbuje się mścić nie tylko na mnie, ale i na niej.

— Wiedziała! — zawołała tryumfalnie Chochołowska. — To z pewnością jego myślak. Nie wiesz, czy nie zajmuje się okultyzmem, magią?...

— On? Jest członkiem partii!

— Może dobrze się maskować. Ale znajdziemy na niego sposób. Najlepiej gdybyś miał przy sobie jakiś przedmiot należący do niego. Choćby fotografię zbiorową, na której byłaby jego twarz.

— Niestety...

— Spróbujemy innego sposobu. Zdejmij marynarkę i usiądź przy mnie.

Gdy wykonywałem polecenie, z kieszeni marynarki wypadł mi pisak. Podniosłem go z dywanu.

— Ten ołówek jest jego.

— Wspaniale! — ucieszyła się ezoteryczka. — Jak się ten człowiek nazywa?

— Karol Wotny.

Chochołowska wstała i podeszła do regału. Wyjęta zza niego szeroką drewnianą tacę i położyła na stoliku. Następnie zdjęła z półki jakieś stare puzderko rzeźbione w tajemnicze znaki i postawiła na tacy. Dokonawszy nad nim jakichś magicznych zaklęć, ostrożnie je otworzyła i wyjęła z wnętrza trzy krótkie grube świece, wiązkę długich szpilek i nieforemną bryłę plasteliny.

— Daj ten pisak! — rozkazała, sadowiac się na pufie. Wzięła ołówek i zaczęła go oblepiać plasteliną, modelując kształt postaci ludzkiej. Gdy skończyła, ustawiła figurkę na środku tacy i zapaliła, świece, rozmieszczając je tak, aby tworzyły trójkąt wokół figurki.

— Zgaś światło — wskazała mi wyłącznik przy drzwiach. Jej twarz, oświetlona tylko płomykami świec, nabrała niepokojąco wiedźmowatych cech.

— Usiądź naprzeciw mnie i podaj lewą rękę!

Wzięła moją dłoń i ujęła mocno za serdeczny palec. Potem, zanim zdążyłem zorientować się, co chce zrobić, skaleczyła mnie w opuszek palca czymś ostrym. Mamrocząc jakieś zaklęcia, z których potrafiłem wyłowić tylko imię „Karol”, kreśliła teraz pospiesznie moją krwią jakieś magiczne znaki wokół figurki.

Muszę przyznać, że atmosfera niesamowitości czy wręcz obcowania z nieczystymi mocami zaczęła mi się udzielać. Z rosnącym napięciem śledziłem poczynania „czarownicy”, budzące zresztą we mnie coraz większe opory.

— Czy on umrze? — spytałem z niepokojem widząc, iż Chochołowska szykuje się do wbijania szpilek w plastelinową podobiznę Wotnego.

— A chcesz, żeby umarł? — zapytała grobowym głosem.

— Nie.

— Słusznie, bo zamiast myślaka mogłaby cié wówczas odwiedzać kamarupa...

— A więc, co z nim będzie?

— Pozbawimy go zdolności wysyłania myślaka. Nie będzie mógł ci zaszkodzić. A teraz sza... — nakazała milczenie. Uniosła w górę szpilkę.

— Karolu! — zawołała przejmująco. — Karolu! — powtórzyła. Gdziekolwiek jesteś! Niech twój myślak wróci do świata żądz Kamaloka! Niechaj utraci materię fizyczną i eteryczną! Po trzykroć ci to nakazuję, raniąc po trzykroć trzy razy twój astrosom!

Wbita szpilkę w plastelinę. Potem drugą i trzecią, aż do dziewiątej, powtarzając zaklęcia.

— Czy on to czuje? — spytałem szeptem.

Stojąca przede mną świeca zgasła. Czy zdmuchnęła ją „czarownica”, czy jakiś magiczny wiatr — nie byłem w stanie stwierdzić. Odczułem wyraźnie zimny powiew, i to wszystko.

Chochołowska znów wymówiła jakieś niezrozumiałe zaklęcie i zgasła druga świeca. Wydało mi się, że tuż przed jej wygaszeniem dostrzegłem jakby cień czyjejś ręki. Nachyliłem się nad stołem i cofnąłem gwałtownie. Zza brzegu tacy wyjrzała wyschnięta dłoń mumii i powędrowała, jakby się skradając, w kierunku ostatniej płonącej jeszcze świecy.

Trzecia świeca zgasła. W tej samej chwili za moimi plecami zadzwonił telefon.

Chochołowska wypowiedziała w ciemności jeszcze jakieś zaklęcie, potem wstała i zapaliła światło.

Telefon dzwonił nadal. Przechyliłem się do tyłu i sięgnąłem po słuchawkę. Dzwoniła międzymiastowa.

— Pan zamówił Rokity? — spytała telefonistka.

Potwierdziłem i po kilku sekundach usłyszałem sakramentalne: „proszę mówić”.

— Hallo! — usłyszałem głos Steni.

— Tu Szarek. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze, ale pan Stasiński powiedział mi, że mnie pani szukała...

— Skąd pan dzwoni, panie Adamie? Dokładne precyzowanie, od kogo telefonuję, nie miało sensu. Nie chciałem, aby podejrzewała nie wiem co.

— Jestem w Łodzi i będę musiał pozostać do jutra. Czy coś się stało?

— Kiedy pan przyjechał do Łodzi?

— Jestem tu od piątej.

— W Łodzi? — zapytała takim tonem, jakby wątpiła, czy mówię prawdę.

— Oczywiście. Byłem na seansie u docenta Rawika. Czy coś się stało? — ponowiłem pytanie.

— Nie wiem... — odpowiedziała z wahaniem, i to dopiero po dłuższej chwili. Nie uległo wątpliwości, że ma jakieś kłopoty i oczekuje ode mnie pomocy.

— Czy chodzi o Wotnego? — To pytanie powinno skłonić ją do szczerości.

Znów przez kilkanaście sekund panowała cisza, a potem Szycka zadała pytanie zupełnie zaskakujące:

— Czy Wotny jest z panem? .

— Ze mną? W ogóle dziś go nie widziałem. Szuka pani jego czy mnie? Proszę powiedzieć szczerze: ma pani jakieś kłopoty przez tego drania?

— Ja?

— Czego on chce od pani? Wotny panią szantażuje, prawda? — postawiłem sprawę otwarcie.

— Szantażuje? Co panu do głowy przychodzi. Więcej taktu, panie inżynierze... — usłyszałem te same słowa, które znałem już z rannej halucynacji u Kabackiego.

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, połączenie zostało przerwane.

Byłem pewny, że moje przeczucia i obawy są trafne. Postanowiłem, że zaraz, jak tylko jutro wrócę do Rokit, przeprowadzę z Wotnym decydującą rozmowę, która na pewno nie będzie dla niego przyjemna.

Odłożyłem słuchawkę i wstałem.

Wotny...

Na tacy, wśród wygaszonych świec, stała nadal plastelinowa figurka, najeżona teraz szpilkami. Zmumifikowanej ręki na stoliku nie było. Leżała jak poprzednio na środkowej półce regału. Czyżbym dał się nabrać na oklepany trik, skopiowany żywcem z filmów grozy? Postanowiłem nie sprawiać mistyfikatorce przyjemności i nie komentować pokazu czarnej magii.

„Czarownica” też nie kwapiła się z podjęciem rozmowy. W milczeniu złożyła świece do puzderka i odstawiła na poprzednie miejsce. Potem przyniosła stołek i uprzątnęła zagraconą górną półkę regału. Ustawiła tam tacę z figurką Wotnego, okrywając ją chustką, na której były wydrukowane czy wyszyte jakieś magiczne znaki.

— Niech pozostanie tak przez trzy dni — skomentowała z powagą swe manipulacje, przerywając wreszcie trwającą już kilka minut ciszę.

— Czy Wotny zachoruje? — spytałem „wiedźmę”.

Nie schodząc ze stołka, popatrzyła na mnie jakoś dziwnie. Znów poczułem się nieswojo.

— Z pewnością tak się stanie! — potwierdziła z dumą. Zwłaszcza jeśli będzie próbował ci szkodzić. Ale już to się mu nie uda. Ja to czuję! Nieprzypadkowo nasze drogi się spotkały. To było nam przeznaczone... Twoja zdolność widzenia przyszłości powinna teraz bez przeszkód rozwinąć się w pełni.

Trafiła kulą w płot.

— Wcale mnie to nie cieszy — powiedziałem już trochę zirytowany. — Jeśli ktoś tego nie przeżył, nie potrafi wyobrazić sobie, jakie to męczące. Dałbym wiele, żeby mnie te wizje nie nawiedzały. Próbowałem z tym walczyć. Ale to jeszcze gorzej. Tak, jakby coś mściło się za każdą próbę niedopuszczenia do spełnienia się zapowiedzi... — Bo też nie powinieneś przeciwdziałać przeznaczeniu. Musisz mu pomagać, nauczyć się odczuwać boską obojętność wobec nieuniknionego biegu zdarzeń. Nie hamować, lecz rozwijać swe zdolności wieszce. Uświadamiać sobie konieczność nieuniknionych decyzji. Gotowa jestem ci w tym pomóc!

Patrzyła tak, jakby chciała wzbudzić we mnie coś więcej niż świadomość więzi duchowej... Poczułem się nieswojo. Przymknąłem powieki i... już wiedziałem, co teraz nastąpi.

Z niebieskawej mgły wyłania się ponownie jej twarz, a potem cała postać. Stoi przede mną ta sama, a zarazem jakby inna, odmieniona, młodsza. Jej nagie ciało okrywa jakiś barwny płaszcz. Jest piękna, lecz zarazem bardzo demoniczna. Widzę ją gdzieś z dołu i wydaje się bardzo wysoka. Podaje mi szklaną czarę pełną rubinowego płynu i mówi rozkazującym tonem:

— Wypij to!

Majak ustąpił. Chochołowska stała nadal na stołku i patrzyła na mnie z kusicielskim uśmiechem.

— ...to jest moje i twoje przeznaczenie — skończyła rozpoczęte zdanie.

— Silna i samowolna... — powiedziałem, przypominając sobie słowa chińskiej wyroczni.

Chwyciła w lot, o czym myślę. Wyciągnęła spod sterty książek *I Ching* i zeskoczyła ze stołka.

— Ten stary osioł nie przeczytał interpretacji. — Skrzywiła się pogardliwie i zaczęła wertować tom. — Nie wolno brać wyroczni dosłownie. To są metafory, które trzeba umieć interpretować. Jeśli dobrze pamiętam, chodziło o heksagram czterdziesty czwarty...

Odnalazła właściwe miejsce bardzo szybko. Widać często posługiwała się wyrocznią. Zaczęła czytać po cichu, ale chyba interpretacja nie była po jej myśli, gdyż zauważyłem, że stara się ukryć rosnące zniecierpliwienie. Nie mogła się jednak już cofnąć. Przewróciła stronę i naraz twarz jej się rozjaśniła.

— Posłuchaj, co mówi *moksha* tego heksagramu! — zawołała tonem zwycięzcy.

— Co to jest ta *moksha*? — przyhamowałem ją.

— Interpretacje w *Księdze Przemian* podzielone są na trzy grupy: *artha*, *karna* i *moksha*. To pojęcia hinduskie. Chodzi o różne dziedziny życia. *Artha* dotyczy społeczności, związku z innymi ludźmi w sferze życia społecznego. *Karna* to sfera miłości, związku uczuciowego z kimś bliskim. Ale moim zdaniem najważniejsza jest *moksha*. Ona wskazuje ci drogę wyzwolenia duchowego. A o to ci przecież chodziło, prawda?

Nie czekając na me potwierdzenie, zaczęła zaraz czytać:

— „Brak pokory w stosunku do innych ludzi jest nierozważą i egoizmem, brak pokory wobec nieba jest po prostu obłądem. To, iż możesz chcieć swojego oświecenia, jest aroganckie i jawnie absurdalne. Nie możesz żądać, by czas przestał istnieć, możesz tylko się poddać i przyłączyć do gry, w której czas nie istnieje. Nie można pragnąć zatrzymania lub odwrócenia procesów tworzenia i rozkładu, *yin*. Można tylko poddać i zatracić się w pięknie procesu, gdzie w każdym przypadku rozkładu zawarta jest również odmowa. Nie możesz wymagać, by spłynął na ciebie spokój i szczęście, możesz tylko poddać się ciemności, a wtedy, całkowicie zatracony, zdasz sobie sprawę, że jesteś już szczęśliwy, spokojny i oświecony”*

— Tak brzmi interpretacja! — Chochołowska zamknęła z trzaskiem *Księgę Przemian* i wrzuciła na najwyższą półkę. — A więc to samo, co ci już mówiłam. Brak pokory wobec nieba jest obłądem... Odnowa poprzez zatracenie w pięknie... Osiągniesz pokój i szczęście poprzez poddanie się i odrodzenie. Ty tego chcesz, świadomie czy podświadomie. I ja ci to ułatwię!

Byłem oszołomiony zarówno potokiem słów Chochołowskiej, jak i niedawną wizją.

— Nie wiem... Nic z tego nie rozumiem...

— Chcieć oświecenia to arogancja i absurd. Zaufaj mi! Wzięła stołek i wyszła do przedpokoju. Usłyszałem, jak otwiera drzwi do łazienki, a po chwili szum wody ciekącej do wanny.

Pomyślałem, że warto byłoby sprawdzić, co zawierają *artha* i *karna*, ale książka leżała za wysoko, a stolik mógłby się załamać.

A zresztą, co tam znaczył *I Ching* wobec zapowiedzi zawartej w proroczej wizji? Wiedziałem, że muszę sam zdecydować: albo jeszcze raz podjąć próbę przeciwstawienia się przeznaczeniu, albo czekać biernie na dalszy bieg wydarzeń. Decyzję utrudniał mój ambiwalentny stosunek do Chochołowskiej. Coś mnie do niej ciągnęło, a jednocześnie odpychało. Przeżyta wizja wyzwoliła we mnie jakieś atawistyczne pożądanie, a zarazem spotęgowała strach przed despotyzmem „wiedźmy”. Przeważało w końcu chyba to ostatnie uczucie. Najprostsze rozwiązanie — uciec z tego zwariowanego domu.

Włożyłem pospiesznie marynarkę i wyszedłem na palcach do przedpokoju. Chochołowska krzątała się w łazience. Przez nie domknięte drzwi widziałem, jak przechyla się przez wyłożoną niebieskimi kafelkami ściankę o ponad metrowej wysokości.

Obite blachą drzwi wejściowe zaopatrzone były w skomplikowane zamki i zasuwy. Starłem się jak najciszej manipulować ryglami, lecz Chochołowska usłyszała. Właśnie sięgałem do ostatniego zatrzasku, gdy stanęła za mną i chwyciła mnie za rękę.

— Gdzie chcesz iść? Nigdzie nie pójdziesz! Przecież wiesz, że to, co mówi wyrocznia, musi się spełnić! — mówiła ciepłym, lecz stanowczym tonem. — Abyś był wolny od obaw i szczęśliwy, musisz się ponownie narodzić! Czy wiesz, co to jest *rebirthing*? To właśnie to, czego ci trzeba. Dar, jaki posiadłeś, nie mieści się w twojej dotychczasowej osobowości. Twój *buddhi manas* krępowany jest przez *karna manas*. Żyłeś dotąd w świecie fizycznym, którego wyziewy zatręły twoje wyższe Ja. Musisz się więc powtórnie narodzić, przynajmniej duchowo. *Rebirthing* to właśnie takie ponowne narodziny. Ścisłej: cofnięcie się duchowo do stanu płodowego. Twórca nowoczesnego *rebirthingu*, Leonard Orr, opracował metodę, wykorzystując zdobycze jogi oddechowej i psychologii głębi, a ja tę metodę jeszcze wzbogaciłam o magiczne zabiegi oczyszczające Taribów i ich napój „dwunastu duchów przyrody”. Chodź! — pociągnęła mnie do łazienki.

Stałem w progu. W łazience nie było wanny. W jej miejscu zbudowano miniaturowy prostokątny basen kąpielowy wyłożony, podobnie jak otaczające ściany, jasnoniebieskimi kafelkami. Na zewnątrz i wewnątrz basenu zainstalowano wąskie drabinki z poręczami.

Chochołowska wyjęła ze ściennej szafki dwie buteleczki z zielonkawą cieczą i wlała do basenu. Był on już do połowy wypełniony wodą lejącą się z kranów.

— *Rebirthing* można praktykować na sucho, na materacu, jednak spotęgowane oddziaływanie ćwiczeń oddechowych i odprężających, a więc najszybsze i najlepsze rezultaty daje ciepła woda — wyjaśniła „czarownica”, sprawdzając termometrem temperaturę kąpieli. — Nasze doznania są wówczas najbliższe doznaniom z okresu życia płodowego. To już zauważył sam Orr i stosował tę metodę. Ja nauczę cię oddychać. Już za pierwszym razem poczujesz, jakie to wspaniałe! Jak się wszystko w nas odradza, budzą się nie znane, a może raczej nie uświadamiane sobie dotąd siły. Będziesz widział, będziesz czuł, jak walczą o twoją duszę złe i dobre emanacje tych sił, a ty będziesz spokojny, obojętny, szczęśliwy... To jest właśnie to najwspanialsze!

Jeszcze raz sprawdziła temperaturę wody i zakręciła kurki.

— Gotowe! — stwierdziła i gestem zaprosiła mnie do środka. — Rozbierz się, wejdź do basenu, usiądź na dnie i staraj się odprężyć. To jest zabieg leczniczy, nic więcej — zaznaczyła, widząc moją głupią minę. — A mnie traktuj jak lekarkę, a jeszcze lepiej matkę, nie inaczej! Ja tu zaraz wrócę... — zaznaczyła z uśmiechem dobrej wróżki.

Zostałem sam. Stałem niezdecydowany, patrząc na drzwi, którymi wyszła „czarownica”, to znów na basen. Jeszcze ciągle niepewny co robić, zdjąłem marynarkę, krawat i położyłem je na taborecie. Zacząłem rozpinać koszulę, ale opadły mnie znów wątpliwości i po chwili wahania zapiąłem ją na powrót.

Gdy sięgałem po marynarkę, drzwi się otworzyły i weszła Chochołowska. Była w długim, barwnym płaszczu kąpielowym. W ręku trzymała czarę z rubinowym napojem, taką samą jak w niedawnej wizji.

— Uklęknij! — rozkazała tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. Wykonałem polecenie. Stała teraz nade mną władczą, demoniczna. Wyciągnęła ku mnie rękę z czarą i wtedy pod rozchylnym płaszczem zobaczyłem jej nagie ciało.

— Wypij to! — zbliżyła czarę do moich ust.

Napój był słodkawy, z ledwo wyczuwalną domieszką goryczy. Nie zawierał chyba alkoholu — z czary rozchodził się tylko intensywny zapach ziół i soków owocowych.

Myślałem, że od razu doznam skutków jego działania i czekałem na to, spodziewając się jakichś niezwykłych wrażeń, ale nic takiego nie nastąpiło. Nawet podniecenie spotęgowane widokiem odsłoniętych piersi „czarownicy” jakby osłabło.

W zachowaniu się Chochołowskiej nie było teraz zresztą niczego, co zapowiadałoby jakieś erotyczne ekscesy. Jej demonizm, jeszcze nie dawno tak mnie niepokojący, ustąpił miejsca rzeczywiście matczynej czy lekarskiej troskliwości. Spokojnie, bez apodyktycznych nakazów i ponagleń czekała, nie patrząc na mnie, aż się rozbiore i wejdę do basenu, tłumacząc zasady ćwiczeń oddechowych i osiągnięcia pełnego relaksu. Potem zgasiła światło, tak iż wewnątrz łazienki pograżyło się w mroku, rozpraszanym tylko jasną smugą padającą na posadzkę przez nie domknięte drzwi.

Zgodnie z poleceniem usiadłem na dnie i podkurczyłem nogi. Chochołowska powiedziała, abym przymknął oczy i wyobraził sobie, że cofam się w przeszłość, aż do czasów dzieciństwa i niemowlęstwa. Usłyszałem cichy plusk. Była tuż obok mnie i poczułem dotknięcie jej palców na mojej głowie. Pogłodziwszy mnie delikatnie po włosach, skorygowała bez pośpiechu układ mych rąk i nóg do „pozycji płodu”.

Nie mówiła już nic. Znajdowała się teraz za moimi plecami i słyszałem tuż nad głową jej oddech. Rytm jego był równy, spokojny i powolny, a wdech łączył się bezpośrednio z wydechem. Częstotliwość oddychania uległa jednak wkrótce zmianie. Było ono teraz przyspieszone, jak w czasie

dużego wysiłku fizycznego, choć nadal pozostawało płynne i rytmiczne.

Początkowo starałem się naśladować Chochołowską. Wydawało się to trudne i męczące, ale wkrótce nie tylko nabrałem wprawy, lecz moje oddychanie stało się jakby automatyczne. Co więcej, skupiając swą uwagę niemal całkowicie na tej czynności, odnalazłem szybko własny, najłatwiej utrzymywany przeze mnie rytm tych ćwiczeń.

Towarzyszyły temu doznania nie zawsze przyjemne: jakieś mrowienia, w mięśniach, fale ciepła i chłodu, a nawet nerwowe dreszcze.

Chochołowska musiała chyba wyczuć lub poznać po moim oddechu, że przechodzę jakiś kryzys, bo objęła mnie i przytuliła jak małe dziecko. Przykre doznania ustąpiły natychmiast, a zaraz potem stwierdziłem, że ciało moje przechodzi w jakiś inny, nie znany mi dotąd stan. Ogarnęło mnie kojące wrażenie ciepła, ciszy i spokoju. Czułem się bezpieczny, wolny od wszelkich trosk i kłopotów. Było mi dobrze, bardzo dobrze...

Nie wiem, jak długo trwał ten stan. Może kilka godzin, a może tylko parę minut. Nagle — jakbym zachłysnął się wodą czy też powietrzem, tego nie byłem pewny. Podejrzewam, że po prostu, siedząc po szyję w wodzie, mogłem na chwilę znurkować. Pewne jest, że wydałem okrzyk przestachu, który łatwo uznać za pierwszy krzyk dziecka. Jak mi później powiedziała Chochołowska, jej zdaniem był to właśnie moment ponownych narodzin.

Oczywiście w tamtym momencie w ogóle o tym nie myślałem. Po „narodzinach” bieg wydarzeń uległ nagłemu przyspieszeniu. Chyba stan mój, wywołany *rebirthingiem*, pozwalał sięgać do najodleglejszych warstw pamięci, bo ujrzałem się znów małym dzieckiem tulonym przez jakże młodą jeszcze moją matkę. Potem pojawiły się, bardzo realistycznie odtwarzane w wyobraźni, strzępy wspomnień z dzieciństwa i czasów szkolnych. Dotyczyły one wydarzeń ważnych dla mnie, lecz z reguły przyjemnych. Ale nim osiągnąłem „wiek dojrzały”, ten ciąg wspomnień nagle się urwał.

Znów zobaczyłem wyłożone niebieskimi kafelkami wnętrze łazienki, lecz tym razem jakby z góry. Moje ciało unosiło się w powietrzu, gdzieś wysoko, chyba pod sufitem. W dole widziałem prostokątny basen i nagiego mężczyznę w zielonkawej wodzie.

To byłem ja. Oczy miałem zamknięte i zdawało mi się, że nie żyję. Spostrzeżenie to nie wywołało jednak we mnie niepokoju. Wypełniała mnie jakaś pogoda ducha i bezbrzeżna radość. Czułem się wolny od wszystkiego, co zostało po mnie tam w dole. Moje nowe ciało przenikała jasność. Wspaniała, srebrzysta światłość, której źródła nie potrafiłem odnaleźć, choć rozglądałem się wokoło.

Unosiłem się teraz wysoko nad chmurami skąpanymi w słonecznym blasku. Potem nie widziałem już ani chmur, ani słońca, tylko wszystko wypełniła sama czysta jasność. I ja sam byłem tą jasnością. Znalazłem się poza przestrzenią i czasem. Tej wiedzy nie posiadałem ani zmysłami, ani rozumem. Uświadomiłem sobie, że w istocie zdobyłem wszechwiedzę, całkowitą, pełną, nieograniczoną. Sam zresztą byłem tą wiedzą i wiedziałem, że jestem w stanie przeniknąć myślą wszelkie tajemnice bytu. Stałem się wszechwładnym panem przeznaczeń...

Byłem pewny, że tak już pozostanie na zawsze i pragnąłem tego, gdy nagle znów coś się wokół mnie, a właściwie we mnie, zmieniło. Jakiś głos wewnętrzny wzywał do powrotu z tych wyżyn duchowej mocy na ziemię. A wraz z tym wezwaniem moja moc natychmiast przestała być wszechmocą i nie mogłem już przeciwstawić się nakazowi.

Wracałem, a wypełniająca mnie dotąd wszechwiedza gdzieś się po drodze gubiła i rozpraszała, tak że w końcu pozostało tylko mgliste wspomnienie, iż kiedyś ją posiadałem. Moje zmysły znów poczynają przekazywać mi zwykłe ludzkie wrażenia.

Odczułem zimny powiew i suchość w ustach. Stałem u podnóża wysokiej góry, której szczyt

zakrywały chmury. W stromym skalistym zboczku dostrzegłem kłamry. Zacząłem wspinać się po nich, lecz już po paru metrach droga się urwała. Ujrzałem przed sobą przepaść wypełnioną gęstymi oparami. Wstąpiłem w tę otchłań i mgła rozstała się przede mną.

Było letnie, słoneczne popołudnie. Łagodny, ciepły wiatr spowił niewidzialnym płaszczem moje zziębnięte ciało. W ustach pojawił się upajający smak nie znanego mi orzeźwiającego nektaru. Szedłem teraz przez barwną, kwiecistą łąkę. Na niedalekim pagórku siedziała moja matka, bardzo młoda i piękna.

— Usiądź tu przy mnie — powiedziała, biorąc mnie za rękę. — Musisz coś zjeść i to zaraz. Na ciebie, i do tego na czczo, może działać z podwójną siłą.

Oprzytomniałem. To nie była moja matka. Na przykrytym pledem materacu siedziała Chochołowska w swym kolorowym płaszczu. Zamiast wśród traw i kwiecica stałem na włochatym dywanie, a moje mokre jeszcze ciało okrywał wielki ręcznik kąpielowy. Przysunięty do materaca stolik zastawiony był talerzami z żółtym i białym serem, chlebem i owocami. Dzban ze złotawym napojem i dwie szklanki przypomniały mi usłyszane przed chwilą słowa.

— Co to było? — zapytałem z niepokojem.

— Myślę, że byłeś bliski Wielkiemu Zespoleniu z Najwyższą Świadomością. Niektórzy nazywają to objawieniem albo iluminacją. W każdym razie z tego, jak się zachowywałeś pod koniec drugiej fazy, wnioskuję, że była to typowa ekstaza.

— Nie o to mi chodzi. Pytam: co mi dałaś do picia?

— Jedz, a ja ci wszystko wytłumaczę. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Wyraźnie zwlekała z odpowiedzią.

— Nie będę jadł!

— Jak chcesz. Ale źle robisz. Mówiłam ci już...

— Co to za narkotyki?

— Żadne narkotyki. Chodzi ci o to, co ci dałam do picia za pierwszym czy za drugim razem?

— O jedno i drugie. A może dawałaś mi coś tam jeszcze w basenie?

— Nic nie dawałam. Pierwszy napój — to już ci mówiłam, tylko nie pamiętasz, taka mieszanka ziołowo — owocowa Taribów „dwanaście duchów przyrody”. Działa bardzo powoli, bez żadnych sensacji i ułatwia tylko „narodziny” i Wielkie Zespolenie, zwiększając siłę *buddhi manas*, czyli umysłu duchowego. Bo to, co przeżyłeś w ekstazie, należy do najważniejszych sfer świata duchowego.

— A to drugie, co to za święństwo? — zapytałem czując, że czas ucieka.

— Nie mów tak! — spojrzała na mnie gniewnie. — Istnieją trzy światy: duchowy, astralny i fizyczny. Żyjemy w tych trzech światach i w naszych warunkach musi być między nimi zachowana równowaga. Można, co prawda, zamknąć się niemal całkowicie w świecie duchowym, ale to dostępne jest tylko joginom wiodącym życie pustelnicze. W naszym, tak zwanym cywilizowanym świecie, stać nas tylko na zachowanie równowagi. To też coś znaczy, bo ogromna większość ludzi naszych czasów nie potrafi i nie chce poznania i poszerzenia swego świata duchowego.

— Powiesz wreszcie, co mi dałaś do picia przed chwilą?

— Właśnie chcę ci wytłumaczyć. Należysz do ludzi bardzo wrażliwych. Udało mi się otworzyć przed tobą bezmiar świata duchowego i Nieskończonego Istnienia, ale mogę się obawiać, że podziałał on na ciebie zbyt silnie. Konieczne jest zachowanie równowagi. Astral, świat uczuć i żądz, domaga się też swych praw. Czy chcesz, aby po tych wlotach duchowych gromadzące się i uwięzione w tobie siły astralne wyładowały się w agresji wobec Bogu ducha winnych ludzi i w zwierzęcych żądach, których nie będziesz w stanie zaspokoić? Widziałam, co się w tobie dzieje, i

moim obowiązkiem było zapobiec niebezpieczeństwu. To, co przed chwilą wypiliśmy, to po prostu lek o działaniu zapobiegawczym. Tak to można traktować.

— Mów konkretnie? Co to było?

— Indiańska mikstura. Otrzymałam ją od znajomego lekarza, a właściwie badacza południowoamerykańskich praktyk magicznych. To nie żadna trucizna ani narkotyki. Można by ją nazwać wyzwalaczem dobra, miłości i piękna. Przede wszystkim jednak hamuje agresję i ułatwia usuwanie napięć powstałych w ośrodkach popędów i emocji. Tak to przynajmniej tłumaczy ten lekarz. Moim zdaniem ułatwia po prostu łagodny przepływ sił astralnych. No jedz, bo nie trzeba, aby działała zbyt intensywnie.

Nie dowierzałem ezoteryczce, ale uświadamiałem sobie, że i tak nie dojdę prawdy, a wszelkie środki psychotropowe, podobnie jak alkohol, działają szczególnie silnie na czczo i pod tym względem Chochołowska mogła mieć rację. Właściwie powinienem się najpierw ubrać, lecz może rzeczywiście pozostało niewiele czasu. Usiadłem więc obok stolika na dywanie i zacząłem jeść.

Chochołowska wyszła do przedpokoju i przyniosła stamtąd, przechowywane w szafach ściennych, prześcieradła i koce. Dopiero teraz mogłem się jej dobrze przyjrzeć. Gdy ją poznałem u Rawików, wydała mi się znacznie starsza. Sądziłem, że jest po czterdziestce, obecnie jednak nie dałbym jej więcej jak trzydzieści parę lat. Wydała mi się też zgrabniejsza niż w sukience, a odsłaniane raz po raz przez niedyskretny płaszcz jej kobiece wdzięki zaczynały na mnie działać. Nigdy nie przepadałem za kobietami o bujnych kształtach, tym razem jednak jej obfite piersi, mocne uda i szerokie biodra nie budziły we mnie oporów. Nie zauważyłem zresztą u niej skłonności do tycia, była masywnie, lecz harmonijnie zbudowana i atrakcyjna przez swą dojrzałą kobiecość.

Z każdą minutą odkrywałem nowe, nie dostrzeżone dotąd, a pociągające mnie teraz walory jej urody i osobowości. Czułem, jak gwałtownie rozpala się we mnie miłość do „czarownicy”. Była w niej nie tylko rozbudzona namiętność i pożądanie, lecz także oddanie i uwielbienie. Nawet obawa, aby nie znaleźć się znów we władzy „wiedźmy”, przybladła, zdominowana jakąś perwersyjną pokusą szukania rozkoszy w poddaniu się woli demona.

Nie wiem, kiedy przestałem jeść i znalazłem się obok niej. Widziałem, jak klęcząc, poprawia przygotowane już posłanie, a potem odwraca głowę i mówi coś do mnie. Co powiedziała, nie pamiętam. Tej nocy było to bowiem ostatnie wspomnienie, które potrafię umieścić w chronologicznym ciągu zdarzeń, a przede wszystkim odróżnić od halucynacji. Moje dalsze przeżycia są rwącym się filmem, w którym, co prawda, byłem głównym aktorem, ale grającym w „pijanym widzie”.

Granica między tym, co było pragnieniem i tworem wyobraźni, a rzeczywistym przeżyciem zatarła się niemal zupełnie. Otaczająca mnie sceneria zmieniała się chyba nieustannie, gdyż pamiętam ściany, drzwi, różne przedmioty zarówno z pokoju Chochołowskiej, jak i własnego mieszkania w Rokitach. Przykryty prześcieradłem i pledem materac przeobraził się na chwilę w mój stary tapczan. Przypominam sobie sceny nacechowane fotograficznym realizmem, ale także jakieś fantasmagorie i majaczenia senne czy wręcz pokazy magicznej sztuki). Tańczące maski rytualne, fruujące kwiaty, lewitujący pisak rozsadzający przekłutą szpilkami figurkę Wotnego, a także wyschniętą rękę mumii, kiwającą na mnie czarnym palcem.

Ewa z czulej kochanki zmieniała się raz po raz w oszalałego namiętnością demona. Urzekła oddaniem i delikatnością, to znów rozbudzała zwierzęce żądze brutalnością i wyuzdaniem erotycznym. Korzyła się i pastwiła, biła i domagała ukarania. Rozkosz mieszała się z bólem, poczucie mocy ze słabością, bunt ze zniewoleniem. Chyba rzeczywiste przeżycia mieszały się tu z mglistymi wspomnieniami jakichś czytanych przed laty powieści Witkiewicza czy Grabińskiego...

Jestem pewny, że w tym czasie udało się „czarownicy” zawładnąć mną tak duchowo, jak i fizycznie. Musiały być jednak chwile, w których wyzwalałem się spod jej wpływu. Widziałem ją wówczas już nie jako wspaniałą boginię oszalamiającą mnie swą niebiańską czy diabelską pięknnością, lecz starzejącą się wiedźmę, budzącą odrazę i strach. Raz nawet, i to w kulminacyjnym momencie kolejnego miłosnego szaleństwa, przeżyłem coś, co może świadczyć, że podświadomie broniłem się przed urojeniami, próbując zastąpić widok „czarownicy” obrazem rzeczywistego mego pożądanego. Wyczułem i ujrzałem wówczas na moment przed sobą już nie niezmiernie obfite ciało Ewy, lecz posągowo piękne, młode, jędrne piersi Steni Szyckiej, których zresztą naprawdę nigdy jeszcze nie dotykałem, a tylko marzyłem o tym podczas wielu samotnych nocy.

10

Obudził mnie dzwonek telefonu brzęczący natarczywie nad uchem. Podniosłem słuchawkę i bez słowa podałem Ewie, która też się przebudziła i wyciągnęła spod pledu nagie ramię.

— Chochołowska... Kto? — rzuciła w słuchawkę zaspanym głosem. — Tak, jest tutaj. To do ciebie!

Odebrałem słuchawkę i powiedziałem do mikrofonu:

— Tu Szarek!

Usłyszałem głos Baśki Niewińskiej i poczułem się trochę niepewnie.

— Cześć, Adam! Szukam cię od wczoraj — oświadczyła chłodno. — Dzwoniłam po wszystkich hotelach i dopiero przed chwilą Kamasowa dała mi ten numer...

— Nie mogłem wczoraj dostać się do Kamasy i mam być dziś u niego o dziewiątej.

— Wiem. Ale chyba nie zdążysz.

— Musiałem zostać w Łodzi. W hotelach nigdzie nie było miejsca... Dlaczego mówisz, że nie zdążę? Która godzina?

— Piętnaście po ósmej. Nie masz zegarka?

— Chyba parę minut Kamasa poczeka. Zaraz do niego zadzwonię.

— Gdybyś natychmiast wyszedł, może byś zdążył.

— To dość daleko. Chyba, że udałoby mi się złapać taksówkę...

Spojrzałem na Ewę. Udawała, że drzemie, lecz gdy wspomniałem o taksówce, usiadła nagle i powiedziała tak głośno, iż Baśka z pewnością usłyszała:

— Zawiozę cię moim wozem, tylko wezmę jeszcze prysznic! Wstała, podniosła z podłogi płaszcz kąpielowy i przerzuciwszy go sobie przez ramię wyszła z pokoju, pozostawiając uchylone drzwi. Jej nagie ciało nie budziło we mnie żadnego podniecenia. Raczej niesmak i zażenowanie wywołane wspomnieniem nocnych szaleństw.

— Musiałem przenocować u znajomych — skłamałem, nie bardzo wiedząc dlaczego. — Wczoraj wieczorem byłem na bardzo ciekawym zebraniu. Przeciągnęło się do późnych godzin. Gdy ci opowiem, co przeżyłem...

— Uważaj, żebyś nie wyszedł na idiotę — przerwała mi Baśka cierpko. — Powiedziałam, że możesz nie zdążyć porozmawiać z Kamasą, bo o dwunastej musisz być w Piotrkowie u prokuratora, a pociąg z Łodzi Fabrycznej masz o dziewiątej pięćdziesiąt. Prokurator Makarczyk. Zapisz sobie.

— U prokuratora? O dwunastej! Czy myślisz, że będę aresztowany?

— Spokojna głowa. Prokurator chce z tobą porozmawiać w związku z jakimś protokołem z narady. Chodzi o twoje krytyczne wnioski. Chyba dogrzebał się czegoś... Kabackiego wezwano na dywanik do Warszawy. Dziś ma przyjechać jakaś komisja. Ale nie powiedziałam ci największej sensacji. Wotny zniknął!

— Zniknął? — zapytałem rzeczywiście zupełnie zaskoczony.

— Uciekł. Wszystko na to wskazuje. Znów doszło do wyładowania, tyle że na mniejszą skalę, bez poważniejszych skutków. Przy fullerze był wtedy Wotny, i to sam. Przyszedł wieczorem. Podobno

chciał coś sprawdzić. Dyżur miał Danecki. Wyszedł na chwilę, zostawiając Wotnego. I wtedy to się stało. Myślę, że Wotny popełnił jakiś błąd, przestraszył się i uciekł. To najwyższa głupota, ale widać wpadł w panikę. Rano nie przyszedł do pracy i w domu też go nie ma. Sądzę, że lada chwila się zjawi, ale nie wyobrażam sobie, żeby udało mu się wykręcić od odpowiedzialności.

— Danecki musi uważać. Będzie z pewnością próbował go zrobić.

— I ja tak myślę. Tak czy inaczej ty jesteś czysty i właściwie adwokat ci niepotrzebny. Dobrze byłoby jednak, abyś na wszelki wypadek poradził się Kamasy, bo od twoich zeznań zależy wiele, może nawet los starego.

— Rozumiem. Będę starał się wpaść do mecenasa, jadąc na dworzec. Mam jeszcze półtorej godziny.

— Trzymaj się. A z tą panią lepiej się nie zadawaj... — dorzuciła ostrzegawczo Baśka i widocznie położyła słuchawkę, bo połączenie zostało przerwane, zanim zdążyłem zapytać ją o Stenię Szycka.

Rozejrzałem się za ubraniami. Musiało zostać w łazience. Nie było też ręcznika, którym wczoraj po „narodzinach” owinęła mnie Chochołowska. Okryłem się więc prześcieradłem i wyszedłem do przedpokoju. Z łazienki dochodził szum prysznic, ale moje ubranie i bielizna leżały, ułożone równo, na stolku przed drzwiami.

Zanim zdążyłem się ubrać, szum wody ustał i w drzwiach pojawiła się Ewa. Była zupełnie naga i wyraźnie obserwowała, jakie to robi na mnie wrażenie. Chyba musiałem ją rozczarować, bo sięgnęła po swój kolorowy płaszcz i powiedziała niezbyt uprzejmie:

— Czego się gapisz? Lepiej idź i ogól się. Mam maszynkę po moim byłym mężu — wskazała kciukiem za siebie. — Nie lubię obrośniętych chłopów. I spiesz się. Słyszałam, że musisz wyjechać za półtorej godziny. Ja się zaraz ubiorę i podrzucę cię na dworzec — zmieniła ton na łagodniejszy. — A po drodze wstąpimy do Kamasy. Mało czasu, ale możesz umówić się na jutro.

— Nie wiem, czy jeszcze mi będzie potrzebny adwokat. W moich sprawach wszystko wzięło jakby inny obrót — wyjaśniłem, rozglądając się po oszklonych szafkach łazienki. — Gdzie jest ta maszynka do golenia?

— W pudełku nad lustrem. Więc mówisz, że wszystko odwróciło się na twoją korzyść? — zapytała z ożywieniem. — Wiedziałam, że tak będzie!

Włączyłem golarkę i powiedziałem, aby sprawić „czarownicy” przyjemność:

— Twoje wczorajsze praktyki magiczne odniosły skutek. Nie udało się zrobić ze mnie kozła ofiarnego. Teraz od mojej rozmowy z prokuratorem zależy, komu i za co dobiorą się do skóry. Żal mi trochę starego, to znaczy naczelnego dyrektora. To nie tylko jego wina...

Gwizd dochodzący z kuchenki przerwał naszą rozmowę. Widać idąc do łazienki, Chochołowska postawiła czajnik na gazie.

— Zrobię herbatę i zjemy chociaż po kawałku ciasta. Nie wiadomo, kiedy będziesz wolny. Dam ci też kanapkę do pociągu — oświadczyła, wyłączając gaz.

Gdy ogolony i odświeżony wróciłem do pokoju, na stoliku czekało śniadanie, a Ewa, już w sukience, wkładała rajstopy.

— A co z tym twoim wrogiem? — spytała, gdy tylko wszedłem.

— Wyobraź sobie, że spowodował nową awarię i uciekł. Sam się wykończył.

— Nie sam. Kiedy to było?

— Wczoraj wieczorem.

— No właśnie... — uśmiechnęła się z nie ukrywaną satysfakcją. Spojrzała na półkę, gdzie postawiła plastelinowego homunkulusa i przestała się uśmiechać.

Podążyłem za jej wzrokiem i uczułem nieprzyjemny skurecz w żołądku. Chusta z magicznymi znakami zwisała z półki, a stojąca na tacy figurka rozpadła się na dwoje, odsłaniając ołówek. Wyglądała teraz jak dziwaczny totem jakiegoś fallicznego kultu.

— Nie chciałbym, żeby to było coś poważnego — powiedziałem szczerze.

— Coś tu nie jest tak — stwierdziła „czarownica” jakby trochę zaniepokojona.

Spojrzałem jeszcze raz na pisak i w tym momencie, po raz pierwszy tego dnia, przeżyłem widzenie.

Teren jakiejś budowy. Długie wykopy pod fundamenty oszalowane deskami. Nieduża betoniarka pracuje. Widzę, jak tuż przede mną miękkie ciasto cementowe spływa w dół między szalunki.

Coś żółtawego błysnęło na dnie wykopu. To pisak Wotnego. Utkwił w świeżym betonie i teraz znika szybko pod zalewającą go nową warstwą szarego błota...

Ocknąłem się. Ewa stała przy półce na stołku. Widocznie przed chwilą przyniosła go z przedpokoju. Wzięła teraz zwisającą chustę i ostrożnie chwyciła przez nią ołówek, wydobywając go z rozszczepionej figurki.

— Trzymaj go mocno! — podała mi pisak owinięty w chustę. Wydal mi się ciepły, ale mogło to być złudzenie. Chochołowska zdjęła z niższej półki glinianą miskę o okopconym wnętrzu i zeskoczyła ze stołka.

— Trzeba spalić ten amulet — oświadczyła kategorycznym tonem. Odwinęła dywan, postawiła stołek przy oknie pod kaloryferem i umieściła na nim misę.

— To jest miska do *agnihotry*. Najlepiej się nadaje. Włóż do niej ten amulet razem z chustą. A potem otworzysz okno. Aby dym nie pozostał w mieszkaniu — dodała wyjaśniająco.

— Pisak jest chyba z plastiku, więc rzeczywiście można się zatruć — zauważyłem, obserwując podejrzliwie poczynania „czarownicy”.

— Powiedzmy...

— Czy naprawdę uważasz to za konieczne. Mam mało czasu...

— Zdasz na pociąg. To nie potrwa długo. Nigdy bym sobie nie darowała, gdyby ten diabeł znów ci zaczął szkodzić! Z Kamasą umówię cię na jutro wieczór.

— Może w ogóle ta wizyta nie będzie potrzebna.

— Mimo wszystko myślę, że powinieneś być z nim w kontakcie. Przyjedziesz jutro i zdasz mu relację z rozmowy w prokuraturze.

Wyszła z pokoju i za chwilę wróciła z benzynowym rozpuszczalnikiem i zapałkami. Zabawa w czary zaczynała być niebezpieczna, postanowiłem więc wziąć inicjatywę w swoje ręce.

— Daj, ja to zrobię! — wziąłem od niej butelkę. — Idź i przynieś jakąś dużą pokrywkę.

Gdy wyszła, położyłem w misce chustę z pisakiem i pokropiłem trochę rozpuszczalnikiem, raczej dla zapachu niż pirotechnicznego efektu. Odsunąłem też stołek jak najdalej od zasłony i otworzyłem oba skrzydła okna. Ryzyko pożaru ograniczyłem, jak mi się wydawało, do minimum.

Ewa wróciła i podała mi pokrywkę. Wyjęła z pudełka zapałkę i przez chwilę szeptała jakieś niezrozumiałe zaklęcia. Potem zapaliła zapałkę i rzuciła ją na zwiniętą chustę z okrzykiem:

— Zgiń, przepadnij!

Płomień strzelił wysoko, obejmując całe zawiniątko, ale zaraz potem jakby nieco przygasł.

— Za mało wlałeś rozpuszczalnika — stwierdziła „czarownica” i zrobiła ruch, jakby rozglądając się za butelką, którą przezornie ukryłem za drzwiami.

W tym momencie stało się coś nieoczekiwanego: płonąca chusta podskoczyła i zanim zdążyłem przykryć miskę pokrywką, wypadła na podłogę tuż pod nogi „wiedźmy”. Ewa z wrzaskiem odskoczyła, a zawiniątko w zawrotnych piruetach pomknęło w kierunku dywanu.

Dopałem go w krytycznym momencie, gdy płomień z dopalającej się tkaniny sięgnął już nitek włochacza. Przydusiłem ogień pokrywką i zerwanym z materaca kocem.

Dopiero po paru minutach odważyłem się podnieść pokrywkę. Ewa stała obok, z czajnikiem pełnym wody. Dalsza akcja była na szczęście już zbyteczna. Spora dziura wypalona w dywanie i resztki zwęglonej chusty świadczyły jednak o poważnej groźbie rozszerzenia się pożaru.

Sięgnąłem po leżący w sadzach żółty ołówek. Był jeszcze bardzo gorący, ale poza nieznacznym okopceniem nie dostrzegłem na nim żadnych śladów działania ognia.

— A nie mówiłam! To nie jest zwykły pisak, lecz amulet nabity *odem* — powiedziała z przejęciem „czarownica”. — Od podlega wpływowi ciepła. Reichenbach tego dowiódł. Miejmy nadzieję, że teraz, po wypaleniu śladów właściciela, jego siła uległa osłabieniu. Sam widziałeś, jak się bronił. Ale go schwytałeś i pokonałeś. Dzięki odrodzeniu i oczyszczeniu, które się w tobie dzisiejszej nocy dokonało. Nie zmarnuj tej siły!

Czułem chaos w głowie. To, co widziałem, kłóciło się z fizyką i zdrowym rozsądkiem. Być może uległem znów jakiejś halucynacji, lecz przecież Chochołowska też to samo widziała. A już zupełnie należało wykluczyć, aby dla marnej sztuczki poświęciła dywan.

— Co mam zrobić z tym amuletem? Oddać go Wotnemu? — zapytałem, dochodząc do wniosku, że nie pozostało mi właściwie nic innego, jak kierować się wskazaniem „czarownicy”.

— Wykluczone! — zaprzeczyła gwałtownie. — I ty też nie możesz go nosić. Musimy się go pozbyć. I to tak, żeby nikt go nie znalazł. Nie możemy ryzykować. Ten twój wróg wie, jak się posługiwać czarną magią. Teraz jest chwilowo obojętny, ale nic nie wiadomo... Mam pewien pomysł... — urwała, spoglądając na zegarek. — No, jedziemy! Zostało czterdzieści minut.

Prowadząc samochód, była tym razem milcząca i wyraźnie spięta. Jechaliśmy też znacznie wolniej niż wczoraj wieczorem, gdyż ciągle czegoś wypatrywała. Wreszcie gdzieś w połowie drogi do centrum zatrzymała niespodziewanie wóz przy jakimś placu budowy.

— To będzie nowy kościół. Nie ma lepszego miejsca! — oświadczyła, wysiadając z samochodu.

Otworzyłem drzwiczki i wysiadłem także. Ewa przeszła na drugą stronę jezdni. Kierując się ku otwartej bramie prowadzącej na teren budowy, dała mi ręką znak, abym szedł za nią.

Rozejrzałem się po ulicy. Jedyne przejście była młoda, może dwudziestoletnia dziewczyna, stojąca przed sklepem spożywczym niedaleko miejsca zaparkowania naszego trabanta. Była zgrabna i bardzo elegancko ubrana — w wysokie buty, czarne skórzane spodnie i także kurtkę ze złotym łańcuchem.

Ewa weszła już w bramę, więc poszedłem za nią. Tuż przed wejściem na plac obejrzałem się jeszcze raz za dziewczyną. Przechodziła właśnie jezdnię, i wydawało mi się, że patrzy na mnie. Była bardzo ładna, twarz raczej o urodzie wschodniej niż polskiej.

Prace budowlane były w stadium kładzenia fundamentów. Robotników dostrzegłem czterech: trzech przygotowywało szalunek przy wykopie, czwarty obsługiwał betoniarkę.

Ewa weszła śmiało na teren budowy i z miną kontrolera ruszyła wprost w kierunku betoniarki, wydając z torebki notes.

— Panie inżynierze, proszę pożyczyć mi pisak! — zawołała do mnie, a następnie, podchodząc do robotnika, spytała urzędowym tonem: — Czy jest ksiądz proboszcz?

— Nie ma — odpowiedział krótko robotnik.

— Był dziś?

Robotnik pokręcił przecząco głową.

— Ale będzie? — zapytała Chochołowska.

— Ma być o dwunastej.

— Jak idzie robota?

— Jak pani widzi...

Podchodząc z ołówkiem do Ewy, obejrzałem się odruchowo za siebie. Dziewczyna była już na terenie budowy i szła w naszą stronę.

— Uważaj — ostrzegłem Ewę szeptem, podając jej pisak. — Ta, co teraz tu idzie, obserwuje nas od chwili, gdyśmy wysiedli.

— Kto? — zaniepokoiła się Chochołowska.

— No ta dziewczyna w czarnej skórce.

— Jaka dziewczyna?

— Idzie do nas przez plac.

Spojrzała na mnie niepewnie.

— Nikogo nie widzę.

Weszła pospiesznie na kładkę przerzuconą nad wykopem i udając, że coś notuje, upuściła pisak do dołu. Szedłem tuż za nią i widziałem, jak ugrzązł w świeżym betonie i zniknął pod kolejną warstwą, zupełnie tak samo jak w niedawnej wizji.

Dziewczyna w czarnej skórce właśnie mijала robotnika stojącego przy betoniarce. Było niemożliwe, aby jej nie zauważył, a jednak nawet na nią nie spojrzał.

— Ona tu idzie — powiedziałem do Ewy.

Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w kierunku drugiej kładki — nad zabetonowanymi już fundamentami kościoła. Przy bramie obejrzałem się raz jeszcze. Dziewczyna stała w miejscu, gdzie wrzuciliśmy pisak i patrzyła w dół.

— Szybko do wozu — ponagliła mnie Ewa.

Dopadliśmy samochodu. Chochołowska otworzyła pospiesznie drzwi i nie czekając, aż wsiądę, włączyła rozrusznik. Silnik nie zapalił. Włączyła starter jeszcze raz, drugi i trzeci. Rozrusznik obracał się z trudem, coraz wolniej.

— Niech go cholera! — zaklęła Chochołowska. Nie wiem, czy było to adresowane do akumulatora, zabetonowanego amuletu, czy też może do Wotnego. — Chyba nic z tego nie będzie...

Do odjazdu pociągu brakowało dwudziestu minut.

— Spróbuję cię popchnąć! — zaproponowałem, wyskakując z samochodu.

Po kilkunastu metrach silnik zapalił bez oporów. Nie ulegało wątpliwości, że to tylko wyczerpany akumulator odmówił posłuszeństwa.

Gdy ruszyliśmy, zauważyłem stojącą w bramie dziewczynę. Patrzyła za nami, aż zniknęliśmy za zakrętem.

— Powiedz, kogo widziałeś? — zapytała Ewa.

— Dziewczynę. Młoda, ładna, bardzo elegancko ubrana, choć po młodzieżowemu. Zupełnie nie pasowała do tej budowy.

— Cholera! Jestem pewna, że to myślaczka jakiejś cioty tego drania.

— Wotnego? On chyba nie jest pedałem.

— Nie to miałam na myśli. „Ciota” to stara nazwa wiedzy uprawiającej czarną magię. Na pewno jest jego kochanką i utraciwszy władzę, usiłuje z jej pomocą odzyskać amulet.

— Myślisz, że ten akumulator to też ona?

— Jasne. Przecież po nocy zapalił bez trudu. *Od* działa także na elektryczność.

— A cóż to takiego?

— Fluid odkryty przez niemieckiego chemika Reichenbacha. Takie promieniowanie wychodzące z żywych ciał.

Zaczęta mi dosyć zawile tłumaczyć, skąd się ów fluid bierze, lecz niewiele z tego zrozumiałem, zwłaszcza że jej „naukowe” interpretacje były, jak sądzę, dość przypadkową mieszanką nowinek współczesnej fizyki i fizjologii z dziewiętnastowiecznymi teoriami okultystów.

Brakowało siedmiu minut do odjazdu pociągu, gdy przyjechaliśmy pod dworzec. Chochołowska własną metodą kupiła mi bilet bez kolejki i wyszliśmy na peron, gdzie pociąg już czekał.

— Nie miałam okazji cię pochwalić... — powiedziała, gdy mieliśmy się już żegnać. — Dobry byłeś dziś w nocy...

Nie wiedziałem, jak zareagować.

— Nie spodziewałam się, że będziesz aż tak dobry... — dorzuciła, widząc moje zmieszanie. — Tylko... — zawiesiła głos.

— Tylko co?

— Kto to jest... Stenia?

Zmieszałem się jeszcze bardziej.

— Koleżanka z pracy.

— Jeszcze jedna? Ile masz tych kochanek?

— Żadnej. Baśka, już ci mówiłem, że to kumpel. A Stenia?... Tylko mnie zwodzi — zdobyłem się na szczerłość. — Zwodzi zresztą wszystkich mężczyzn.

— Powtarzałeś w nocy jej imię. I to w dość znaczących sytuacjach.

— Nic między nami nie było.

— Wygląda na to, że może być właśnie tą ciotą.

— Czarownicą? To nonsens. Zdecydowana sceptyczka.

— Może się maskować. Jaki jest jej stosunek do tego drania?

— Nie wiem... Początkowo myślałem, że robi z niego balona... — zawahałem się. — Sam nie wiem... Może jestem przewrażliwiony, ale czuję, że ona się go boi. Czy ten myślak może być dla niej niebezpieczny?

— Jeśli to ciota, to z pewnością potrafi dać sobie z nim radę. Ten strach to może być tylko udawanie. Gra rolę ofiary, żeby tym łatwiej cię omotać. Robi to w porozumieniu z tamtym draniem. Przekonasz się, że jest jego kochanką!

— Nie, nie — zaprzeczyłem, jednak już mniej pewnie. — Nie zauważyłem, żeby w tych sprawach traktowała go inaczej niż innych mężczyzn. Myślę, że ją chyba bawi, że jest nie do zdobycia.

Chochołowska zmierzyła mnie wzrokiem.

— Bardzo ci zależy, aby się z nią przespać? — zapytała bez ogródek.

— Wiem, że nie mam szans.

Popatrzyła na mnie drwiąco.

— Mówisz, że jest nie do zdobycia? Hm... — zawahała się na moment. — No dobrze... Jeśli jutro przyjedziesz do mnie i potrafisz być wdzięczny, to dam ci trochę tej południowoamerykańskiej mikstury. Możesz jej wlać do wina, a nawet herbaty...

— Jest dobrą znajomą Stasińskiego — powiedziałem chyba po to, żeby dokuczyć „wiedźmie”. Ale skutek był odwrotny.

— Tym chętniej pomogę ci zdobyć tę twierdzę — zaśmiała się szatańsko. — Potrafię nie być zazdrosna...

Nie wiedziałem, jak zareagować. Lecz zanim coś sensownego przyszło mi do głowy, usłyszałem głos konduktora:

— Proszę wsiadać!

Ewa pocałowała mnie dość oficjalnie, w policzek, i pchnęła lekko w kierunku otwartych drzwi wagonu.

— Powodzenia! Do zobaczenia jutro, u Kamasy i u mnie... — pomachała mi ręką.

Podróż minęła tym razem bez żadnych przeszkód. Myślak ani myślaczka już się nie pojawili. Do Piotrkowa przyjechałem przed jedenastą trzydzieści i mogłem jeszcze coś zjeść na dworcu.

Muszę przyznać, iż mimo zapewnień Baški, że wszystko jest na dobrej drodze, wchodząc do gabinetu prokuratora, nie czułem się zbyt pewnie. Być może przyczynił się do tego fakt, że już od progu zauważyłem, iż umeblowanie i niektóre elementy wyposażenia gabinetu przypominają rzeczywiście to, co widziałem w transie hipnotycznym. Co więcej, nie tylko twarz prokuratora Makarczyka, ale i jego sekretarki wydała mi się znajoma.

Napięcie, którego wzrost odczułem w pierwszej chwili, zostało jednak szybko rozładowane. Prokurator nie wyglądał ani też nie zachowywał się jak surowy strażnik prawa, lecz od początku starał się budzić zaufanie, jeśli nie sympatię.

— No, wreszcie się pan odnalazł. Bardzo się cieszę! — powitał mnie szerokim, serdecznym uśmiechem. — Słyszałem, że miał pan wypadek samochodowy czy coś w tym rodzaju i czuł się pan nie najlepiej. Ale teraz już w porządku?

— Mniej więcej — odpowiedziałem dyplomatycznie.

— Jak z pewnością pan wie, prowadzę śledztwo w sprawie powtarzających się awarii w waszym zakładzie. Jest parę niejasnych kwestii. Technicznych i nie tylko technicznych. Myślę, że mi pan pomoże je wyjaśnić...

— Słucham pana...

Prokurator otworzył szufladę, wyjął kasetę z taśmą i wsunął do magnetofonu stojącego na biurku.

— Pracował pan w Rokitach od początku budowy elektrowni? — spytał, włączając magnetofon.

— Tak. Przyjechałem do Rokit, gdy rozpoczynał się montaż pierwszych elementów zespołu kotłowego pierwszego bloku.

— Był pan, zdaje się, szefem rozruchu wszystkich czterech bloków energetycznych? Czy to pierwsza pańska praca na tak odpowiedzialnym stanowisku?

— Pierwsza samodzielna. Przychodząc do Rokit, miałem już jednak sześćioletnią praktykę. Pracowałem przy uruchamianiu Lisienic pod kierownictwem inżyniera Nowaka.

— Prasa często pisze o Rokitach jako o jednym z najnowocześniejszych w świecie zakładów. Czy jako fachowiec podziela pan tę ocenę?

— Przesada. W pierwszych latach budowy w skali krajowej można było nas zaliczyć do najnowocześniejszych zakładów o kotłach opalanych węglem, a i dziś nasza pozycja w tym zakresie nie jest najgorsza. Ale to jeszcze nie decyduje o prawdziwej nowoczesności.

— A co?

— Automatyzacja, a właściwie już dziś komputeryzacja.

— W Rokitach macie komputerowy system automatyki... Czyżby nie odpowiadał on standardom światowym?

Zastanawiałem się, do czego zmierzał.

— Pulpit Fuller–Tansky może i odpowiada — powiedziałem ostrożnie.

Należało sądzić, że prokurator orientuje się dobrze w historii budowy Rokit i kłopotach, jakie mieliśmy z fullerem, a tylko próbuje ciągnąć mnie za język.

W czasach gdy projekt elektrowni był jeszcze na deskach, postanowiono, że sterowanie z nastawni cieplnych i elektrycznych będzie odbywać się ręcznie, komputery mera zaś miały tylko wspomagać operatorów poszczególnych nastawni blokowych, przekazując polecenia i ułatwiając rozwiązywanie bieżących problemów sterowania, a także przejmując protokołowanie danych ruchowych. Później, w czasie budowy elektrowni, unowocześniono w dość istotny sposób ten projekt przez zainstalowanie wejść umożliwiających automatyczne wprowadzanie do komputerów informacji o przebiegu procesów i ich dokumentację. Decyzje wypracowane przez mery były realizowane jak poprzednio przez operatorów.

Jednak w okresie uruchamiania pierwszych bloków energetycznych komuś gdzieś wysoko, po zwiedzeniu na Targach Poznańskich czy Targach Lipskich pawilonu z komputerową automatyką przemysłową, przyszło do głowy, aby dokonać kolejnego „kroku w nowoczesność”, i to między innymi w Rokitach. Zamiast centralnej nastawni z długimi schematami synoptycznymi, pulpitemi i tablicami sterowniczymi, wymagającej wielu operatorów, postanowiono zainstalować u nas pulpit sterowniczy firmy Fuller–Tansky, umożliwiający jednemu człowiekowi czuwanie nad prawidłowym przebiegiem wszystkich procesów i interwencje w sytuacjach niebezpiecznych. Niestety, chociaż ten komputer to znakomite urządzenie automatyki przemysłowej, ale nie jest ono specjalizowane energetycznie. To, co w nowo budowanych zakładach metalurgicznych w Antoniewie było rzeczywiście dobrym rozwiązaniem, w Rokitach stwarzało kłopotliwe problemy techniczne. Uruchomienie u nas fullera kosztowało wiele pracy i przeróbek, głównie softwareowych, w programach. Wcale nie małe były zresztą i w hardware. Nasze mery nie są kompatybilne z fullerem. Ich integracja systemowa wymaga znacznych zmian w niektórych elementach. System Fullera–Tansky’ego był, co prawda, znacznie tańszy od Taylora czy Honewella, a przy zakupie dwóch pulpitemów rabat też się liczył, ale zainstalowanie w naszych warunkach wymagało dodatkowych nakładów finansowych, i to znacznych.

— Był pan, jak można wnioskować z pańskiego wystąpienia na naradzie w listopadzie ubiegłego roku, przeciwny zakupowi tego urządzenia — zauważył prokurator.

— Nie byłem przeciwny modernizacji naszego systemu automatyki. Byłem przeciwny decyzjom podejmowanym bez naszego udziału. — Dyrektor Kabacki uczestniczył w pertraktacjach i podpisał umowę.

— Bardzo cenię dyrektora Kabackiego jako świetnego organizatora. Rozumiem też, że w pewnych sytuacjach musi on parafować nie swoje decyzje, i to wbrew własnemu przekonaniu. Czasem korzystne układy personalne są ważniejsze niż najlepiej umotywowane racje... Ale wówczas uważałem, że poszedł za daleko na ustępstwa. A zwłaszcza mógł bardziej stanowczo domagać się udziału naszych fachowców w tych rozmowach.

— Dwóch specjalistów od automatyzacji i komputeryzacji brało udział w rozmowach z firmą Fuller–Tansky.

— Z Antoniewa. Myślę zresztą, że udałoby się wytargować coś od tej firmy w związku z potrzebą adaptacji, gdyby nie zabrakło dewiz na wystanie od nas kogoś dobrze zorientowanego w naszych trudnościach technicznych.

— Kogoś? To znaczy kogo? Sprawy elektroniki i komputerów wchodziły w zakres kompetencji inżyniera Wotnego. Czyżbym się mylił?

— Jest on specjalistą w zakresie automatyki przemysłowej — stwierdziłem możliwie ogólnikowo.

Jeślibym powiedział, że Wotny tak naprawdę zapoznał się praktycznie z komputerami dopiero u nas, mogłoby to wyglądać na próbę sugerowania, iż jest on dość miernym fachowcem. W ciągu trzech lat pracy w Rokitach, muszę przyznać, podciągnął się bardzo i zupełnie nieźle dawał sobie radę z naszymi merami. Inna sprawa, że ostatnio jego wymądrzanie się zaczynało działać na nerwy nie tylko mnie.

— Do zakładów Fuller–Tansky miał wyjechać inżynier Wotny. Dlaczego ten wyjazd nie doszedł do skutku?

— Decyzja odgórna. Uznano, że wystarczy, jeśli zapozna się z fullerem w Antoniewie, gdzie wcześniej zaczęte instalować ten system, z udziałem zachodnich specjalistów.

— Jakie było pana stanowisko w tej sprawie?

A więc już do prokuratora musiały dotrzeć insynuacje Wotnego, że to ja utrudniłem mu wyjazd za granicę.

— Uważałem, że inżynier Wotny powinien był wyjechać nie tylko po zawarciu transakcji, ale przede wszystkim przed dokonaniem zakupu — powiedziałem zgodnie z prawdą.

— Czy pana zdaniem to dobry fachowiec? — padło kolejne dość kłopotliwe dla mnie pytanie.

— Inżynier Wotny jest szefem zespołu automatyków. Prawie wszyscy to młodzi, inteligentni, ó paroletnim stażu praktycznym specjaliści w zakresie automatyki przemysłowej, w tym kilku niezłych komputerowców: sprzętowców i programistów. Jeśli chodzi o inżyniera Wotnego, nie czuję się powołany do oceny jego wiedzy i umiejętności zawodowych. Nie jestem komputerowcem i proszę raczej zwrócić się z tym pytaniem do kogoś bardziej kompetentnego. Mogę tylko powiedzieć, że w instalowanie naszego systemu automatyki inżynier Wotny wniósł z pewnością duży wkład i sam przy tym wiele się nauczył...

— Miał pan jednak jakieś zastrzeżenia...

— Moim zdaniem niezbyt realistycznie oceniał czasochłonność niektórych robót, co powodowało konieczność nadmiernego przyspieszania tempa, zwłaszcza w ostatniej fazie, i niedostateczną kontrolę wykonawstwa.

— Przed miesiącem, na naradzie u dyrektora, ujął pan to nieco ostrzej. Słyszałem, że doszło między wami do niezbyt parlamentarnej wymiany zdań... Był pan podobno przeciwny decyzji dotrzymania terminu uruchomienia czwartego bloku, terminu przyjętego w zobowiązaniach załogi. Mówił pan coś o niebezpieczeństwie awarii...

— Chodziło o trafo. Były znaczne opóźnienia spowodowane przez kooperantów.

— A nie o fullera?

— O fullera również, ale tu inżynier Wotny zobowiązał się, że ukończy montaż na czas, więc nie było sensu się upierać.

— I dotrzymał terminu?

— W zasadzie tak.

— Ale sprawdziło się także pańskie proroctwo... A ja nie wierzę w przypadek ani iluminację. I o tym chciałbym przede wszystkim z panem porozmawiać. Ze wstępnych wniosków, do jakich doszła komisja badająca przyczyny pożaru, zdaje się wynikać, że spalona stacja transformatorów nie była w pełni sprawna i doszło tam do wyładowania łukowego, od którego zapalił się rozlany olej. Zbyt długie utrzymywanie się łuku to bezpośrednia przyczyna pożaru. Czy podziela pan zdanie komisji?

— Nie brałem w niej udziału ani nie znam sprawozdania. Ale odpowiada to moim przypuszczeniom.

— Z kolei zbyt długie utrzymywanie się łuku elektrycznego, zdaniem komisji, spowodowane było niesprawnością wyłączników i brakiem natychmiastowej interwencji ze strony łącza operatora, tak to

się chyba nazywa. A brak tej interwencji wynikał z niesprawności nowo zainstalowanego systemu komputerowego automatyki. Niesprawności krótkotrwałej, ale bardzo niebezpiecznej z uwagi na sytuację awaryjną. Czy wyładowanie nastąpiło również w nastawni?

— Tak to na pozór wyglądało, ale błyski, które widziano, były chyba tylko odbiciem w szybie. O ile mi wiadomo, żadnego śladu wyładowania w fullerze nie znaleziono.

— Tak... To znaczy w nastawni nie było ognia? Hmm... — popatrzył mi prosto w oczy. — Brał pan udział w gaszeniu pożaru transformatora?

— Nie. Gdy wychodziłem z „czwórki”, pożar już dogasał.

— I nie podchodził pan do transformatora? Choćby z ciekawości.

— Nie. Kierowca dyrektora otrzymał polecenie odwiezienia mnie do domu i bardzo mu się spieszyło.

— Rozumiem. Wróćmy więc do głównego tematu. Czy przewidując przed miesiącem, że może dojść do tak niebezpiecznej awarii, miał pan na myśli taki mniej więcej bieg zdarzeń?

Pytanie było podchwytliwe — to nie ulegało wątpliwości — w dalszym ciągu jednak nie domyślałem się, dokąd prokurator zmierza.

— W ogólnym ujęciu: tak — odpowiedziałem dość enigmatycznie.

— To znaczy? Proszę jaśniej — nacierał prokurator.

— Oczywiście, nie mogłem przewidzieć, konkretnie co i gdzie zawiedzie, a zwłaszcza że jednocześnie wysiadzie fuller. Ostrzegałem ogólnie...

— No tak... Ale czy jest pan przekonany, że przyczyny wyładowania i niesprawności wyłączników, a także jednoczesnej przerwy w działaniu systemu sterowania należy dopatrywać się wyłącznie w pośpiechu i niedbalstwie? Zarówno inżynier Wotny, jak i inżynier Niewińska zeznali, że jeśli chodzi o automatykę, przeprowadzali wielokrotnie kontrolę działania całej aparatury i uznali system za sprawny. Czy miał pan jakieś zastrzeżenia do wyników tej kontroli.

— Nie miałem.

— Zastanówmy się, co, czy może kto spowodował wyłączenie zapisu dokumentacyjnego. Czy rzeczywiście należy wykluczyć tu celowe, świadome działanie? To samo zresztą dotyczy wyładowania w transformatorze i niesprawności wyłączników. Podobno takie efekty można osiągnąć w dość prosty sposób...

Postanowiłem nie dać się złapać za słowa.

— Jeśli chodzi o mnie, to mogę powiedzieć tylko tyle, że testy przeprowadzone przeze mnie i inżynier Niewińską na godzinę przed rozruchem próbnym wykazały, że sterowanie było prawidłowe. Sprawdziliśmy też jeszcze raz działanie fullera przy czynnej łączności radiotelefonicznej. Mieliśmy z tym uprzednio trochę kłopotów i Wotny zainstalował dodatkowe ekranowanie. W czasie przedwczorajszej kontroli pulpit działał bez zarzutu, choć stale używałem radiotelefonu. Nie zauważyłem również żadnych niepokojących sygnałów w czasie rozruchu.

— Czy możliwe, aby wyładowanie iskrowe w trafo spowodowało zanik zapisu?

— Nie wiem. Wyładowanie iskrowe jest źródłem promieniowania elektromagnetycznego, i to na różnych długościach, a więc trudnego do zaekranowania. Czy jednak mogło ono spowodować aż tak poważne zakłócenia, na to pytanie mogą odpowiedzieć tylko fachowcy od zakłóceń i komputerów. Mnie się wydaje, że przeciw temu, aby tu szukać przyczyn awarii, przemawia fakt, że utrata stabilności widoczna na ekranach pojawiła się już na parę sekund przed wyładowaniem.

— No dobrze... A czy technicznie jest możliwe, aby ktoś spowodował jakieś uszkodzenie, powiedzmy zwarcie w komputerze, działające z opóźnieniem, a następnie je usunął?

— Możliwe, lecz mało prawdopodobne. — Nie bardzo sobie wyobrażam, kiedy można byłoby to

zrobić. A przede wszystkim po co?

— Niech się pan zastanowi. Czy nie opuszczał pan centralnej nastawni po przeprowadzeniu kontroli? Przecież był pan odznaczony i przez ministra...

— W rachubę wchodzi około dwudziestu minut... Ale w tym czasie w nastawni była inżynier Niewińska. Chyba jej pan nie posądza?

— Nikogo nie posądzam. Rozważamy tylko różne możliwości...

— Jeśli chodzi o inżynier Niewińską, nie widzę żadnych motywów — zastrzegłem z naciskiem. — Jest to córka dyrektora Niewińskiego...

— Wiem... a jeśli chodzi o inne osoby?

— Nie wiem, o kim pan myśli.

Prokurator patrzył na mnie chwilę.

— Czy koniecznie wchodzi w rachubę tylko te dwadzieścia minut? — zapytał, wracając do poprzedniej mojej uwagi. — Czy nie można było wcześniej umieścić gdzieś poza pulpitem, w nastawni albo w jakimś przyległym pomieszczeniu, jakiegoś urządzenia będącego źródłem fałszywych informacji, wprowadzających komputer w błąd. Powiedzmy sygnalizujących, że wszystko działa należycie, gdy w rzeczywistości pojawiły się zakłócenia?

Wyglądało na to, że musiał już coś wiedzieć o zadajnikach i próbował iść tym tropem. Gdyby zapytał wprost — nie byłoby sensu zaprzeczać. Jeśli jednak z jakichś powodów nie chciał otwarcie wychodzić z tą sprawą, i ja nie miałem powodów ujawniać tajemnic naszej technicznej „magii”. Musiałem jednak dać mu do zrozumienia, że trop jest mylny.

— Nawet gdyby fuller otrzymywał fałszywe współrzędne stanu, nie mogłyby one spowodować zakłóceń w jego pracy i braku dokumentacji. Z pewnością to nie to.

— A co?

— Nie wiem. Nie jestem komputerowcem.

— Wydaje mi się, że pan jednak nie chce mi pomóc.

— Ależ chcę!

— No dobrze... Wróćmy do możliwości zdalnych zakłóceń. Wspomniał pan o zakłóceniach powodowanych przez radiotelefony. Czy nie można przyjąć, że ktoś, komu zależało na tym, aby fuller zawiódł i nie mógł pan skutecznie przeciwdziałać awarii, umieścił w nastawni jakieś odpowiednio silne źródło zakłóceń? Działające automatycznie w określonym czasie. Lub, lepiej jeszcze, włączane zdalnie. Czy zaekranowanie jest niezawodne?

— Zależy od mocy emitera, jego odległości i częstotliwości, na jakiej pracuje. Zakłócenia powodowane przez przebiegi elektryczne o bardzo szerokim widmie nie dają się w pełni zaekranować.

— No właśnie. Ktoś znający się na rzeczy mógłby coś takiego skonstruować?

— Oczywiście. Ale po co? Gdyby ktoś chciał spowodować rzeczywiście poważną awarię, mógłby znaleźć wiele prostszych sposobów. Nie rozumiem motywów.

— Dojdziemy i do tego... Kto przebywał w centralnej nastawni w okresie kilku godzin poprzedzających rozruch?

— Ach! Dziesiątki ludzi. Przecież tam odbywało się uroczyste przecięcie wstęgi i symboliczna synchronizacja.

— No tak... A kto wchodził do nastawni zaraz po awarii?

— Była inżynier Niewińska, dyrektor Kabacki, inżynier Wotny... Był także kierowca dyrektora, Tadeusz Banach. Później już nie wiem. Pojechałem do domu. Nie z własnej woli. I nie byłem w nastawni do tej chwili.

— Hm... Pańskie funkcje przejął inżynier Wotny... Czy pan wie, że był on z Niewińska w nastawni w niespełną minutę po wyładowaniu i wybuchu pożaru? Widział go pan?

Potwierdziłem skinieniem głowy. Nie było sensu wyjaśniać, że właśnie w tym czasie na kilkadziesiąt sekund „urwał mi się film”.

— Czy pamięta pan, co Wotny i Niewińska robili w nastawni? Czy podchodzili do pulpitu? — padło kolejne pytanie.

— Chyba tak. Ale dobrze nie pamiętam.

— Co pan robił w tym czasie?

— Siedziałem przy pulpicie i patrzyłem na monitory...

— Czy pulpit zaraz zaczął działać po wyjściu inżyniera Wotnego?

— Nie pamiętam, kiedy wyszedł. Może lepiej zapamiętała Niewińska.

— Cały czas siedział pan przy pulpicie?

— Oczywiście!

— Pozostawmy na razie na boku sprawy techniczne. Niech mi pan powie, dlaczego pańscy koledzy próbowali sprowadzić całą sprawę do zaniedbania przez pana niezbędnych czynności kontrolnych i błędów popełnionych w czasie awarii. Próbowano nawet sugerować, że był pan pijany i opuścił stanowisko nie pozostawiwszy zastępstwa.

— To nieprawda! — zaoponowałem ostro. — Dyrektor Kabacki uwierzył kłamstwu Wotnego, który wymyślił tę bajeczkę, aby zrzucić na mnie odpowiedzialność za awarię i odwrócić uwagę od rzeczywistych jej przyczyn.

— Myśli pan o brakoróbstwie w czasie montażu czy świadomym uszkodzeniu?

— Świadomym? Nie, to chyba wykluczone. Raczej chodziło o ewentualne błędy i zaniedbania spowodowane pośpiechem. Gdy zobaczył, że pulpit nie działa, pomyślał, że coś naknocił i postanowił zwalić winę na mnie.

— Inżynier Wotny zeznał, że nie widział pana w nastawni, gdy znalazł się tam wraz z Niewińska.

— To kłamstwo! Nigdzie nie wychodziłem!

— Skłonny jestem dać wiarę zeznaniom inżynier Niewińskiej, która twierdzi, że nie opuszczał pan nastawni i próbował zapobiec skutkom wadliwego działania systemu automatyki. Zastanawiające jest bowiem, dlaczego inżynier Wotny, jeśliby rzeczywiście pana nie było, nie został przy pulpicie i nie podjął prób wyłączenia aparatury, lecz poszedł zawiadomić dyrektora Kabackiego o pańskiej rzekomej nieobecności. Są też zeznania dwóch pracowników waszego zakładu, którzy twierdzą, że byli świadkami, jak Wotny groził panu zrobieniem jakiegoś kawału na kilka minut przed awarią, w czasie przyjęcia.

— To były żarty — zaprzeczyłem, ale niezbyt pewnie.

— Czy Wotny w czasie pańskiej obecności na przyjęciu nie opuszczał sali? Niech pan sobie dobrze przypomni.

— Nie opuszczał. Chyba nie.

— Co znaczy: chyba?

— Nie pamiętam, aby gdzieś wychodził, ale pewności nie mam. Myśli pan, że to on?... W tym czasie przy pulpicie zastępowała mnie Niewińska. Gdyby wszedł do nastawni, na pewno by go zauważyła.

— Nie chodzi tylko o nastawnię... Czy może mi pan powiedzieć, gdzie był i z kim rozmawiał Wotny na przyjęciu w hali?

— W czasie dekoracji widziałem go przy drzwiach. Był tam też inżynier Zalewski i kilku innych kolegów z „dwójki”. Potem przy toastach zniknął mi z oczu i dopiero po jakichś dziesięciu czy

piętnastu minutach spotkałem go, jak niósł wino i tort dla doktor Szyckiej. Zamieniliśmy parę słów i poszedł. Następnie rozmawiał z dyrektorem Kabackim i znów podszedł do nas, to znaczy do doktor Szyckiej i do mnie, ale ja już wtedy musiałem iść do nastawni. Jeśli gdzieś wychodził, to chyba w ciągu tych dziesięciu, piętnastu minut.

— To znaczy, że doktor Szycka ostatnia rozmawiała z inżynierem Wotnym przed awarią?

Pociemniało mi w oczach. Poprzez pierzchającą niebieskawą mgłę ujrzałem Stenię Szycką.

Jesteśmy w moim mieszkaniu, siedzimy przy stole. Słyszę wyraźnie głos Steni. Mówi, że jej rozmowa z Wotnym była ostatnią przed jego ucieczką. A potem coś o prokuratorze... Że nie może mu powiedzieć prawdy, że nie może sypać Wotnego i jego kumpla...

Ocknąłem się. Prokurator siedział nadal przy biurku nie spuszczać ze mnie wzroku.

— Doktor Szycka to dobra znajoma inżyniera Wotnego? — dotarły jego słowa do mojej świadomości.

W żadnym przypadku nie chciałbym wkopywać Steni. Najlepiej udawać, że źle zrozumiałem pytanie.

— Nie sędzę — odpowiedziałem ostrożnie. — Poznali się dopiero w Rokitach. Wotny zabiega o jej względy, ale chyba nie ma szans.

Na szczęście prokuratorowi to wystarczyło.

— Czy orientuje się pan, z kim spośród załogi waszego zakładu inżynier Wotny utrzymuje bliższe stosunki, powiedzmy towarzyskie, koleżeńskie, przyjacielskie?

— To trudne pytanie. Widzi pan, Wotny to człowiek ambitny, a jednocześnie przekonany, że nikt go nie docenia. Jest bardzo podejrzliwy i skłonny do posądzeń, że koledzy starają się mu szkodzić. Ta podejrzliwość sprawia, że nawet ci, z którymi utrzymuje towarzyskie czy koleżeńskie stosunki, jeśli pozwolą sobie na trochę szczerości, zaraz traktowani są jak wrogowie... Właśnie tak między innymi było ze mną. Oczywiście z dyrektorem Kabackim, dyrektorem Millerem czy sekretarzem Palinką jego stosunki są poprawne i w zasadzie bezkonfliktowe, ale nie nazwałbym ich z pewnością bliskimi, nie mówiąc już o przyjaźni.

— A nie zauważył pan, czy spoza kręgu kierownictwa i kadry inżynierskiej nie ma kogoś, z kim utrzymywałby bliższe kontakty, już nie tylko czysto zawodowe? Jego funkcja kierownicza może z pewnością sprzyjać tworzeniu się takiej więzi z niektórymi podwładnymi. Chodzi mi o nazwiska pracowników, których uważa się u was za jego ludzi.

To już zaczynało załatywać namawianiem do donosicielstwa.

— Pan pozwoli, panie prokuratorze, że nie odpowiem na to pytanie — odparłem chłodno.

— To niedobrze, że nie chce pan mi pomóc — powiedział z wyrzutem. — Zauważył pan chyba, że nie próbuję pana zmuszać do ujawniania rzeczywistych przyczyn pańskiego konfliktu z Wotnym, choć być może byłoby to użyteczne dla wyjaśnienia pewnych kwestii... Jeśli pytam pana i innych pańskich kolegów o najbliższe otoczenie Wotnego, to dlatego, że go od wczoraj nie możemy odnaleźć. Jak pan chyba wie, doszło ponownie do awarii sieci i zakłóceń w systemie sterowania, na szczęście już bez poważniejszych skutków, gdyż tym razem wyłączniki były sprawne. Podobnie jednak jak czwartego września widziano w centralnej nastawni błyski przypominające silne wyładowania elektryczne. W tym czasie był tam inżynier Wotny i należy przypuszczać, że to on był sprawcą. Natychmiast bowiem po tej nowej awarii opuścił wasz zakład i więcej się nie pojawił. Istnieją dowody, że próbował dokonać jakichś zmian technicznych lub usuwał wprowadzone uprzednio zmiany w urządzeniach pulpitu. Nie domyśla się pan, o co mu chodziło?

Umilkł, wpatrując się we mnie badawczo. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Nie jestem komputerowcem — próbowałem, jak poprzednio, zasłonić się niekompetencją.

Okazało się jednak, że szło mu zupełnie o co innego.

— Nie ma dymu bez ognia — powiedział ni w pięć, ni w dziewięć. — A propos ognia: gdzie pan opalił brwi i rzęsy? To było w nastawni, prawda?

— Ależ nie. Znajoma nieostrożnie obchodziła się z rozpuszczalnikiem i pomagałem w gaszeniu dywanu.

— Kiedy i gdzie to było?

— Dziś rano w Łodzi.

Prokurator był wyraźnie rozczarowany.

— Więc nie wie pan, co robił Wotny przy pulpicie? — wrócił do poprzedniego tematu.

— Skąd mogę wiedzieć. Czy są zresztą jakieś dowody, że próbował coś zmieniać w aparaturze?

— Pozostawione narzędzia i zdjęte osłony. Wskazuje na to również wysłanie operatora Daneckiego do magazynu po jakieś elementy do wymiany. Te, które rzekomo miały być uszkodzone, okazały się zresztą zupełnie sprawne. Nie ulega wątpliwości, że chciał się pozbyć na pewien czas świadka tego, co zamierzał zrobić. Dziwne wydaje się też, jeśli przyjąć, że miał zamiar usunąć jakieś uszkodzenie, dlaczego nie wziął ze sobą żadnego ze swych inżynierów czy techników komputerowców i zabrał się własnoręcznie do naprawy.

— I został sam w nastawni...

— Niezupełnie... — prokurator jakby zawahał się. Potem patrząc mi przenikliwie w oczy, powiedział: — On nie był sam.

— To znaczy, że ktoś był jednak świadkiem tego, co robił?

Prokurator wydawał się zdziwiony moim pytaniem.

— Niestety... Nie to miałem na myśli — podjął z ociąganiem. — Chodzi o to, że w nastawni był z Wotnym pewien mężczyzna...

— Kto?

— Otóż to! Danecki wrócił wcześniej, bo magazyn był zamknięty, ale gdy jeszcze znajdował się na schodach, zobaczył błysk i światła przygasły. Drzwi do nastawni musiały być nie domknięte, bo otworzyły się od podmuchu towarzyszącego rozbłyskowi i zaraz zatrzasnęły. Ale wtedy, w tym krótkim momencie zobaczył dwóch mężczyzn. Jeden kuczał przy pulpicie, drugi siedział na krześle w głębi sali. W nastawni panował półmrok, lecz Danecki rozpoznał z całą pewnością jednego z mężczyzn. Ten, — który kuczał, to był Wotny...

— A drugiego nie rozpoznał?

Prokurator na moment się zawahał, po czym nie odpowiadając na pytanie, kontynuował relację:

— Nim Danecki zdążył dojść do drzwi, wszystkie światła zgasły. Przerwa w dopływie prądu była, co prawda, krótka, ale gdy zrobiło się jasno i wszedł do nastawni, nikogo już tam nie było. Wotny i ten drugi mężczyzna uciekli tylnym wyjściem przez galerię. Wotny musiał bardzo się spieszyć, gdyż zostawił nie tylko rozłożone narzędzia, ale także marynarkę z portfelem, dokumentami, pieniędzmi...

Czekałem z napięciem, co powie dalej, lecz urwał swą relację i patrzył na mnie wyczekująco.

— Czy są jakieś podejrzenia, kim był ten drugi mężczyzna? — zapytałem wstrząśnięty przypuszczeniem, które nasuwało mi się nieodparcie.

— Są! — potwierdził prokurator, nie spuszczając ze mnie wzroku.

— To znaczy, że ktoś go jednak poza Daneckim widział?

— Nikt... Ale pan wie, kto to był! — stwierdził z naciskiem.

— Myślak... — usłyszałem swój własny głos i poczułem — dreszcz.

Prokurator sięgnął po długopis.

— Myślak — powtórzył, notując skwapliwie na kartce. — Imię?

Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, jakie palnąłem głupstwo.

— Nie wiem... Nie znam... — próbowałem wykręcić się sianem, lecz czułem, że nie zda się to na nic.

— Powiedział pan, że człowiek ten ma nazwisko Myślak?

— Nie. Nie tak...

— A jak się nazywa?

— Nie wiem.

— A przecież wymienił pan to nazwisko lub bardzo podobne. Zaraz sprawdzimy:

Cofnął taśmę. Niestety, nagranie było wyraźne.

— No więc jak? Myślak, czy może inaczej?

Nie odpowiedziałem, zastanawiając się rozpaczliwie, czy ma jakikolwiek sens ujawnienie przed prokuratorem całej prawdy. Przecież w najlepszym przypadku weźmie mnie za wariata, najprawdopodobniej zaś uzna, że dla jakichś ukrytych powodów symuluję chorobę umysłową.

— Bardzo źle pan robi, że nie chce być ze mną szczery — podjął prokurator. — Ukrywanie prawdy to najgorsze z wszystkiego, co może pan zrobić. No więc jak? Kto to był? Myślak?

— Myślak — potwierdziłem z rezygnacją. Zdawałem sobie sprawę, że płacząc się w kłamstwach tylko pogorszę swą sytuację.

— Imienia pan nie zna?

— Nie.

— To pracownik umysłowy czy fizyczny?

— Nie wiem.

Prokurator sięgnął po kartonową teczkę. Miał tam listę pracowników naszego zakładu. Dłuższą chwilę wertował spisy nazwisk.

— Nie znalazłem takiego nazwiska. Może nie jest na etacie?

Pokręciłem przecząco głową.

— Może na pracach zleconych? W związku z montażem fullera? Jakiś monter specjalista od komputerów?

— Nie.

— Ale to człowiek Wotnego?

Milczałem nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Czy był na sali w czasie uroczystości?

— Nie wiem.

— Ale widział go pan w tym dniu na terenie elektrowni?

— Widziałem... — potwierdziłem z wahaniem.

— Kiedy i gdzie?

— Wieczorem na parkingu, w czasie pożaru trafo. Myślałem, że to ktoś z ochrony rządu.

— To znaczy, chce pan powiedzieć, że tego Myślaka widział pan wtedy po raz pierwszy?

— Tak. Podszedł do mnie i poprosił o ogień.

— A później już go pan nie widział?

— Widziałem. W pociągu Kraków–Łódź. A potem w Łodzi.

— Przed czy po awarii w Rokitach?

— Mówię przecież, że po.

— Był pan wczoraj w Łodzi? — prokurator wydawał się zdziwiony.

— Tak. Właśnie stamtąd przyjechałem.

— Proszę podać dokładnie godziny wyjazdu i przyjazdu.

— Wyjechałem z Rokit wczoraj o piętnastej osiem. W Łodzi byłem o siedemnastej. Wyjechałem dziś rano o dziewiątej pięćdziesiąt.

— Biletów pewno pan nie ma?

Sięgnąłem do kieszeni. Były. Prokurator przyjrzał im się z uwagą i schował do teczki.

— Po co pan jeździł do Łodzi? Mówiono mi, że był pan chory...

Pytanie było kłopotliwe.

— Poczuję się lepiej... I pojechałem... Zaproszono mnie na bardzo ciekawe zebranie — postanowiłem jednak trzymać się możliwie blisko prawdy.

— Gdzie było to zebranie?

— U docenta Rawika. W prywatnym mieszkaniu.

— Zebranie w prywatnym mieszkaniu? — zjeżył się prokurator. — Co to za zebranie?

— Towarzystwa Psychotronicznego. Eksperymenty z medium. Bardzo ciekawe. Telekineza.

— Interesuje się pan psychotroniką?

— Od pewnego czasu...

— Proszę podać adres tego docenta.

— Łódź, ulica Wspólna 9. Trzecie piętro. Docent Witold Maria Rawik.

Prokurator zanotował.

— Od której godziny był pan na tym zebraniu?

— Mniej więcej od szóstej po południu. Wyszedłem około wpół do dziesiątej.

— Uczestnicy mogą to potwierdzić?

— Oczywiście.

— A potem? Gdzie pan nocował?

— U pewnej... znajomej. Wolałbym nie wymieniać nazwiska...

— Rozumiem... Obawiam się jednak, że to będzie konieczne. Czy może pan określić dokładnie, gdzie pan był dwanaście minut po ósmej?

— Już mówiłem. Byłem u państwa Rawików.

— Jest pan pewny?

Prokurator uśmiechnął się jakoś dziwnie, jakby drwiąco.

— Więc upiera się pan, że był wtedy w Łodzi?

— Ależ naprawdę tam byłem.

— Hm... Wróćmy do sprawy Myślaka. Kiedy widział go pan po raz ostatni? O której godzinie?

— O dziewiątej z minutami.

— W Rokitach?

— Nie. W Łodzi. Przecież mówiłem, że byłem wtedy na zebraniu.

— A więc spotkał pan Myślaka na zebraniu? Proszę podać nazwiska uczestników tego zebrania, którzy mogą to potwierdzić.

Dalsze kluczenie w granicach prawdy było już niemożliwe, a kłamstwo wiodło nieuniknienie w ślepią uliczkę. Należało wyjaśnić nieporozumienie, ale tak, aby nie wyjść na głupca lub wariata.

— Z tym myślakiem nie jest tak, jak pan myśli, panie prokuratorze — podjąłem ostrożnie. — Może się to panu wyda dziwne, ale poza mną nikt tego mężczyzny nie widział...

Moje intencje nie zostały jednak zauważone.

— To znaczy, że nie było go u Rawika, lecz spotkaliście się gdzieś tak, aby nikt was nie zobaczył... Ciekawe. Więc jednak opuszczał pan zebranie. Gdzie się umówiliście?

— To nieporozumienie. Widziałem go u Rawików, ale nie licząc paru słów, jakie powiedział do

mnie na parkingu w Rokitach w czasie pożaru, w ogóle nigdy z nim nie rozmawiałem. I nie wiem kim, czy może czym on jest. Wyglądało tak, jakby mnie śledził. Pojawia się niespodziewanie i znika, nie zauważony przez nikogo... Gdyby nie ślady materialne jego obecności, skłonny byłbym podejrzewać, że to jakieś zwidy, halucynacje, autosugestia... żeby nie powiedzieć: produkty ducha...

— Bzdura! — nasrożył się prokurator. — Skończmy z tymi bajeczkami. Jak wygląda ten mężczyzna?

Mogłem pozwolić sobie na rzetelną relację.

— Wysoki, silnej budowy, trochę ode mnie młodszy. W typie sportowca lub inteligentnego oficera milicji. Włosy ciemne, oczy niebieskie, bardzo jasne. Trochę dziwny akcent...

— Obcy?

— Chyba tak.

— Wschodni czy zachodni?

— Raczej zachodni.

— A aparat fotograficzny? Jakiej marki?

— Aparat fotograficzny?

— No, jeśli ma to być agent pewnego zachodniego mocarstwa... Brakuje tylko aparatu do zdjęć szpiegowskich.

— Pan żartuje... Przecież nie powiedziałem, że to jakiś agent.

— Ale próbuje mi pan dać do zrozumienia...

— Ja?

— Myślak był obecny w czasie pierwszej awarii, był też z Wotnym w nastawni w czasie drugiej... Jednocześnie próbuje pan, i to bardzo nieudolnie, dać mu alibi, twierdząc, że widział go pan w Łodzi o dziewiątej. Wygląda na to, że pan coś wie, lecz boi się powiedzieć... Czy on pana szantażuje?

— Ależ nie! Ja nie mam z nim nic wspólnego. Ja go naprawdę nie znam.

Prokurator patrzył na mnie zimno.

— Panie Szarek! Jesteśmy obaj dorosłymi ludźmi. Skończmy z tą zabawą w ciuciubabkę. Powiedz pan, co tu jest grane?

— Żebym to ja wiedział — wyznałem szczerze.

— Niech pan nie robi ze mnie idioty — zdenerwował się prokurator. — Jeśli wplątał się pan w jakąś grubszą aferę szpiegowsko-dywersyjną i próbuje mnie pan naprowadzić na ślad jakiegoś podejrzanego osobnika, dlaczego nie chce pan powiedzieć wszystkiego, co pan wie?

— W nic się nie wplątałem. Rzeczywiście widziałem kilkakrotnie jakiegoś mężczyznę o wyglądzie, który panu podałem, w różnych, dla mnie samego zaskakujących okolicznościach. Mówię: widziałem, ale to wcale nie znaczy, że ten człowiek istnieje rzeczywiście. To mogą być omamy. Radziłem się psychologa. Twierdzi, że mogą to być skutki szoku, jaki przeżyłem w chwili awarii. Gdy siedziałem przy pulpicie, uległem na chwilę jakby zamroczeniu...

— Mówi pan o awarii czwartego czy piątego września?

— Czwartego. Piątego nie było mnie w Rokitach. Przecież mówiłem.

— Dlaczego pan znów kłamie? Operator Danecki widział pana piątego września w czasie awarii w nastawni, razem z Wotnym. A może ma pan brata sobowtóra?

— Nie mam w ogóle rodzeństwa. To nie mogłem być ja. Byłem w Łodzi!

— A więc kto był z Wotnym w nastawni?

— Skąd mogę wiedzieć?

— Więc dlaczego pan powiedział, że to Myślak?

— Nie wiem... To znaczy pan powiedział, że wiem, kto to mógł być. I wtedy przyszło mi do głowy, że to może być właśnie on.

— Czy jest do pana podobny?

— Nie. Chociaż... Jest podobnego wzrostu i ma ciemne włosy. Jeśli siedział przy pulpicie, zwrócony twarzą do monitorów, Danecki widział go z tyłu i mógł się pomylić.

— Siedział nie przy pulpicie, lecz w głębi sali i zwrócony był do Daneckiego twarzą. Założmy jednak, iż rzeczywiście Danecki pomylił pana z Myślakiem. Pytanie: skąd tak nagle Myślak znalazł się w Rokitach, jeśli był wieczorem w Łodzi?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Jeśli go sobie pan nie wymyślił, — to kim on jest?

Koło się zamknęło.

— Panie Szarek, dlaczego pan się go boi?

Byłem już pewny, że po raz drugi przeżywam tę scenę. Na biurku prokuratora, obok aktówki, leżała szara koperta, taka sama, jaką widziałem w transie hipnotycznym wywołanym przez Stasińskiego. Ogarnęło mnie zniechęcenie.

— Skąd jest ten człowiek? Gdzie mieszka? Jaki adres? — nacierał prokurator.

— Jego już nie ma... — zdobyłem się po raz pierwszy na szczerłość.

— Wyjechał? Dokąd? Za granicę?

Pokręciłem przecząco głową.

— To znaczy? Co z nim? Nie żyje?

Postanowiłem, że nie powiem już ani słowa. Przynajmniej do rozmowy z Kamasą.

Prokurator patrzył na mnie i zastanawiał się. O nic już nie pytał. Wyłączył magnetofon i wezwał przez telefon sekretarkę.

— W tej sytuacji, niestety, będę musiał pana zatrzymać — powiedział jakby z żalem.

Wyjął kasetę z magnetofonu i schował do koperty. Wiedziałem już, co dalej nastąpi. Gdy zaczął dyktować sekretarce, mogłem odgadnąć z wyprzedzeniem każde słowo:

— Wobec zaistnienia obawy, że podejrzany Szarek Adam będzie próbował ukrywać się, nakłaniać świadków do fałszywych zeznań lub w inny sposób utrudniać postępowanie dochodzeniowe, a także z uwagi na wagę przestępstwa, zarządzam tymczasowe aresztowanie podejrzanego...

Jestem uczciwym, lojalnym obywatelem. Nigdy dotąd nie byłem aresztowany, a wnętrza współczesnych więzień znałem tylko z filmów amerykańskich. Kiedy jednak strażnik prowadził mnie długim korytarzem do aresztu śledczego, raz po raz ogarniało mnie niejasne uczucie, jakbym już tu kiedyś był.

Również gdy przekroczyłem próg celi i w jej ciasnym wnętrzu zobaczyłem niewysokiego, łysego mężczyznę, twarz jego wydała mi się znajoma. Być może wrażenia te były, częściowo już zatartym, wspomnieniem jakichś proroczych wizji lub tylko złudzeniem, o którym mówiła mi Stenia Szycka. Napięcie nerwowe ostatnich dni, a przede wszystkim fakt aresztowania i coraz bardziej deprymująca bezradność wobec nieubłaganego fatum mogły sprzyjać pobudzeniu wyobraźni i powstawaniu takich złudzeń.

Gdy drzwi celi zamknęły się za mną, stojący niemal na baczność więzień przybrał naturalną postawę i podszedł do mnie. Był nieco młodszy od mego ojca, niskiego wzrostu, krępy, z lekka przygarbiony. Przypominał lekarza lub naukowca, a okulary w złocistej, zagranicznej oprawie i siwiejące resztki włosów dodawały mu pewnego dostojenia. Patrzył na mnie przyjaźnie i jakby z pewnym współczuciem, a ja stałem nadal pod drzwiami, z przewieszonym przez ramię kocem i prześcieradłem, nie wiedząc jak się zachować.

— Policz jestem! — przedstawił się więzień, podając mi rękę.

— Szarek.

— Bardzo mi miło — powiedział, uśmiechając się kurtuazyjnie. — Po raz pierwszy, jak można sądzić...

— Po raz pierwszy — potwierdziłem. — Pan również?

— Właściwie... tak. Ale siedzę już drugi miesiąc. I mogę służyć doświadczeniem. Przede wszystkim proponuję przejść od razu na „ty”, zgodnie z regułami towarzyskimi, jakie w tym środowisku obowiązują. Na imię mi Rafał.

— Adam.

— No, a teraz rozgość się. Dwa miejsca wolne. Z lewej strony na górze, po prawej na dole — wskazał piętrowe prycze po obu stronach celi. — Można wybierać. W pełni swobodny wybór. Aby jednak był to wybór w pełni świadomy, muszę cię ostrzec, że miejsca te mają swoje zalety i wady. Na górze niby nie ma się nikogo nad sobą, a siennik jakby lepiej wypchany, ale trzeba uważać, żeby nie spaść i nie skrócić karku, a poza tym zalatuje od kibla. Na dole łoże twardsze, można czasem przypadkowo dostać czymś po głowie, ale za to bliżej ziemi i jakoś przytulniej, a także, co nie jest bez znaczenia, łatwiej przysiąść się do kolegi i swobodniej pogadać. Wybór zależy od tego, jakie przyjmie się kryteria komfortu... Ja bym radził miejsce dolne...

Spojrzałem na wskazaną pryczę, potem na górną i przymknąłem oczy. Głos Policza dochodził teraz do mnie jakby ze studni, aby po chwili zmienić się w daleki szmer. Niebieskawe plamy pod powiekami nabrały wyrazistości...

Jest noc. Leżę na pryczy. Na lewo na górze ktoś bardzo głośno chrapie. Ktoś inny nade mną zrywa

się z postłania i próbuje obudzić chrapiącego młodym, trochę schrypniętym głosem. Widzę w mroku wysuwającą się spoza krawędzi pryczy jasną czuprynę, a jednocześnie z dołu odzywa się Policz, uciszając jakiegoś Jasia...

— Byłoby nietaktem, gdybym powiedział: możesz czuć się jak u siebie w domu. Ale... — usłyszałem teraz zupełnie wyraźnie. — Czy ci coś dolega?

Odzyskałem przytomność. Był dzień. Policz stał jak poprzednio przede mną i przyglądał mi się bacznie.

— Nie, nie. To nic takiego... — próbowałem zlekceważyć incydent, lecz musiałem wyglądać nieszczęśliwie, bo odebrał mi prześcieradło i koc.

— Usiądź i weź się w garść — powiedział ze współczuciem, wskazując stołek. — Pierwsze chwile są najtrudniejsze. Potem już łatwiej...

Usiadłem, a on wprawnymi ruchami rozłożył prześcieradło i posłał dolną pryczę.

— Trudna bywa też pierwsza noc — podjął po chwili temat. — Tak było ze mną. Do tego miałem pecha: facet nade mną chrapał... Mam nadzieję, że ty nie chrapiesz?

— Nie. I bardzo nie lubię, jak ktoś chrapie.

— Ergo: nikt z nas trzech nie chrapie. To świetnie!

— A ten przemytnik? — zapytałem, patrząc na ostatnią wolną pryczę.

— Jaki przemytnik?

— No, ten lotnik.

— Jaki lotnik? — zdziwił się Policz. — Myślisz o tym, którego zabrano na przesłuchanie? On też nie chrapie; Ale to nie lotnik. Zwykły kierowca ciężarówki. Dobry chłopak. Ideowiec. Nie mógł patrzeć, jak cement moknie na budowie... — usiadł obok mnie przy stoliku.

— Ten kierowca to taki okrągły na twarzy, blondynek? Na imię ma chyba Jasio. Głos schrypnięty, choć to młody chłopak...

— Ten sam. Znasz go? A może tobie też ten cement upłynął?

— Nie. Prawdę mówiąc... to go nie znam — spojrzałem na Policza niepewnie.

Popatrzył na mnie podejrzliwie.

— A ciebie, jeśli można wiedzieć, za co?

— Nie wiem... To znaczy wiem, że prokurator podejrzewa mnie o straszne rzeczy. Sabotaż, dywersję, kontakty z agentami obcego wywiadu... Sam już nie wiem o co.

— Jakaś grubsza sprawa? Wolisz nie mówić na ten temat, i słusznie.

— Nie mam nic do ukrywania. Była awaria w naszym zakładzie i szuka się winnych.

— Zdarza się. Nie wydaje mi się jednak, żeby to było coś bardzo poważnego... Nie posadziliby cię na trzeciego. Chyba że chwilowo. W każdym razie przy Jasiu nie mów za wiele. To dobry chłopak, ale bardzo mu się spieszy do narzeczonej...

— Ja naprawdę nie chciałbym niczego ukrywać. Rzecz w tym jednak, że nie jestem w stanie wyjaśnić niektórych faktów.

Policz patrzył na mnie badawczo.

— To znaczy: nie potrafisz, czy nie chcesz z jakichś powodów osobistych? Przepraszam, że pytam, ale sam powiedziałeś, że nie masz nic do ukrycia. Jeśli dobrze zrozumiałem, przynajmniej przede mną. A jeśli tak, to ci powiem, że być może dobrze się stało, że trafiłeś na mnie. Mam spore doświadczenie w sprawach karnych. Nie tylko zresztą w tych sprawach...

— Jest pan prawnikiem?

— Formalnie biorąc nie. Jestem, rzecz można, naukowcem. A prawo, i to nie tylko w teoretycznym, lecz i praktycznym zakresie było od lat i jest nadal jednym z przedmiotów moich

naukowych zainteresowań.

— Moją sprawę będzie prawdopodobnie prowadził mecenas Kamasa.

— To się świetnie składa, bo moją również — ucieszył się Policz. — Kamasa to dobry adwokat. Bardzo cenię jego zdanie. I nie chwając się, myślę, że on moje również. Możesz go zresztą przy okazji spytać o mnie. Ale wracając do tematu, nie odpowiedziałeś na moje pytanie: nie chcesz, czy nie możesz wyjaśnić niektórych kwestii?

— Jeślibym powiedział prokuratorowi, jak było naprawdę, wziąłby mnie za wariata.

— Lepiej być wariatem niż sabotażystą.

— Ależ ja jestem niewinny!

Policz uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Wszyscy jesteśmy winni i niewinni... Wina i niewinność to pojęcia względne. Ocena każdego faktu zależy od tego, z jakiej strony na niego patrzymy, a dotyczy to także ocen moralnych i prawnej kwalifikacji tak zwanych przestępstw. Traktujmy więc je tak, jak na to zasługują

— To znaczy? Odrzucić wszelkie zasady moralne?

— Ależ nie! Trzeba je jednak oprzeć na realnych, względnie trwałych podstawach. Przypisywanie moralności i prawu atrybutów uniwersalnego narzędzia zapewniającego wewnątrzustrojową równowagę jest nie tylko nieporozumieniem, lecz jakże często cynicznym zamazywaniem obrazu rzeczywistych schorzeń organizmu społecznego — wyrecytował profesorskim tonem. — Historia uczy, jak łatwo w majestacie prawa usprawiedliwić najohydniejszą zbrodnię, najwznioślejszy akt poświęcenia uznać za przestępstwo, altruizm za maskujący się egoizm, grabież za przywilej zwycięzcy lub akt sprawiedliwości. Nie chodzi mi zresztą tylko o celowe, świadome przeinaczanie faktów, o zastępowanie prawdy kłamstwem, o jawne lub ukryte pozbawianie sądownictwa niezawisłości czy celowe wprowadzanie chaosu w przepisach i kodeksach, umożliwiające rządzącej mniejszości dowolną ich interpretację. Często jest to po prostu krótkowzroczne wygodnictwo. Zamiast podejmować działania zmierzające do optymalizacji funkcjonowania systemu i sprawnego osiągnięcia celu, zajmujemy się jałowym rozpatrywaniem jednostkowych relacji między wektorami bardzo ograniczonego obszaru zaburzeń homeostazy, i to ex post. Rozważanie, czy ktoś jest winien, czy nie, odwraca tylko uwagę od rzeczywiście groźnych zaburzeń homeostazy, czyli w istocie nie ma nic wspólnego z dochodzeniem prawdy. W najlepszym razie stwarza się tylko złudzenie, że społeczeństwo jest chronione, bądź kierunkuje gniew ludu.

— Jeśli twierdzi pan... jeśli twierdzisz — poprawiłem się — że wina nie istnieje, sankcjonujesz wszelkie bezprawie.

— Wręcz przeciwnie: chcę uniemożliwić manipulowanie prawem.

— Nie rozumiem. Jeśli wszyscy są winni i niewinni...

— To proste: zamiast szukać winnych oraz usprawiedliwiać błędy i łamanie prawa ułomnością jednostek, należy skutecznie zapobiegać owym błędom i przestępstwom, nie stwarzając warunków do ich powstawania.

— Wcale to niełatwe...

— Wybacz, że się z tobą nie zgodzę. Jest to po prostu sprawa odpowiedniego systemu regulacji. Sprawnie działających ujemnych sprzężeń zwrotnych. A więc kontroli. Szybkiej, skutecznej, niezależnej.

— To tylko teoria.

— Nie. To praktyka. Dlatego właśnie tu jestem — stwierdził z melancholią.

— To znaczy?

— Szybka, skuteczna, a przede wszystkim niezależna, można rzec — czysto społeczna kontrola

nie cieszy się u nas uznaniem.

— To znaczy, że narobiłeś sobie wrogów.

— Niezupełnie. Właściwie... nie mam osobistych wrogów. Prokurator ma do mnie pretensje, że zastępowałem NIK. Nie chce przyjąć do wiadomości, że moja działalność przyniosła społeczeństwu i państwu poważne, wymierne korzyści. Traktuje mnie jak Chlestakowa.

— To znaczy przeprowadzałeś kontrole bez uprawnień?

— Uprawnienia... Kompetencje... — uśmiechnął się gorzko. — Czy jako urzędnik PIH-u lub NIK-u mógłbym osiągnąć tak szybkie i konkretne efekty? Sprawozdania, raporty, wielomiesięczne dochodzenia, dzielenie włosa na czworo, ewentualne wyroki skazujące... To wszystko kosztuje, a rezultaty ekonomiczne mizerne. Nie mówiąc już o tym, że szkodliwa, czy wręcz przestępcza działalność odbywa się nierzadko pod parasolem ochronnym „dobrych wujasków” z województwa i stolicy. Biedny kontroler, wyposażony tylko formalnie w skuteczny oręż uprawnień, może po prostu łatwo się narazić, komu nie powinien... Po co ci zresztą mam tłumaczyć? Moje sukcesy wynikały z niezależności i samodzielności. Z konsekwentnie realizowanej teorii naukowej, opartej na zdobyczach socjologii, psychologii i cybernetyki. Pracowałem nad nią przez lata. A szanowny pan prokurator wyjeżdża z tym Chlestakowem... Chociaż skądinąd to człowiek inteligentny, dostrzegający, że zbyt wiele się u nas „wujków” namnożyło. Ale on też, musi udawać, że wszystko „idzie ku lepszemu”. Nawet go rozumiem...

— Nie czerpałeś żadnych korzyści osobistych z tych kontroli?

Policz zapatrzył się w pas nieba widoczny przez zablindowane okno.

— Pytasz jak prokurator... — podjął po dłuższej chwili z wyrzutem. — Czerpałem korzyści przede wszystkim moralne. Wiedziałem, że moja działalność jest skuteczna, a teoria zdaje praktyczny egzamin. To było najważniejsze. Byłem surowy, nieustępliwy, ale i wyrozumiały. Nie szukałem winnych, lecz nakazywałem usunięcie szkód, nieprawidłowości czy błędów organizacyjnych. I to wyznaczając realny termin. I muszę stwierdzić z satysfakcją, że w ogromnej większości przypadków dotrzymano terminu.

— I żadnych materialnych korzyści z tego nie miałeś?

— Prawie żadnych. Można powiedzieć: niemal w granicach ponoszonych kosztów. Nie liczę obiadów, kolacji czy opłat za hotel. Czasem zresztą odmawiałem. To też skuteczna metoda. Od nikogo „pożyczek” ani prezentów nie brałem. A jeśli czasem znalazła się w mojej teczce koperta... Trudno odsyłać, bo komu? Pięć czy sześć razy zdarzyło się, że szukałem jakiegoś trudno dostępnego towaru i prosiłem o ułatwienie zakupu. I to właściwie wszystko. Niemal w granicach kosztów utrzymania.

— Jak wpadłeś?

— Otóż właśnie... Można by rzec: przez nadmierne poczucie obowiązku społecznego. Pewien dość duży zakład nie dotrzymał terminu. Chodziło o rozpadnięcie złodziejskiej grupy. Mieli dość mocnych opiekunów i zwlekali. Monitowałem telefonicznie. Dwa razy. W końcu przesłałem materiały do Najwyższej Izby Kontroli do Warszawy. Anonimowo. W śledztwie wyszło, że był kontroler, którego nie znano w NIK-u. Sprawą zajęła się milicja. Może zresztą już wcześniej były jakieś sygnały. Albo „wujkowie” próbowali interweniować prywatnie... Ale ja tu o sobie, a mieliśmy porozmawiać o twojej sprawie.

Przerwał opowieść i powiedział, że jeśli chcę skorzystać z jego wiedzy i doświadczenia, a nie życzę sobie zbytniego poszerzania kręgu ludzi wtajemniczonych w moje kłopoty, to najlepiej będzie porozmawiać o tym teraz, zanim wróci Jasio.

Są ludzie, którzy od pierwszej chwili znajomości budzą sympatię i zaufanie. Policz niewątpliwie

do nich należał. Nie miałem zresztą nic do stracenia. Przedstawiłem mu więc w skrócie przebieg wydarzeń w Rokitach oraz przesłuchanie przez prokuratora, wspominając o nieporozumieniu dotyczącym myślaka. Ciekaw byłem jego zdania na ten temat, zwłaszcza że — jak się okazało — i okultystyczna wiedza nie była mu zupełnie obca. Niestety, rozmowa nasza została dość nagle przerwana. Usłyszeliśmy zgrzyt otwieranego zamka i na znak Policza wstałem ze stołka. Drzwi otwały się i strażnik wpuścił do celi młodego jasnowłosego mężczyznę, chyba tego samego, którego widziałem w proroczej wizji. Blondyn trzymał pod pachą duże kartonowe pudełko.

— Cześć, „Profesor”! Dostałem paczkę! Od mojej Zosi! — oświadczył z dumą. Jego schrypnięty głos potwierdził, iż rzeczywiście jest to ten sam młody człowiek. — Będzie nam słodziej, bo jest i ciasto. Zosia sama piekła. Taka narzeczona to skarb!

— Mamy nowego lokatora. — Policz wskazał gestem na mnie.

— Widzę.

Blondynek podszedł do mnie i podał mi kordialnie rękę.

— Graba! Kamyłło jestem.

— Szarek.

— Jak tam poszło, Jasiu? — spytał Policz, z uwagą obserwując moje zachowanie wobec przybyłego.

— Obłeci — stwierdził Kamyłło, stawiając pudełko na stole. — Śpiewałem, jakżeś „Profesor” radził, i chyba chwyciło. Bałagan był? Był! Dach przeciekał? Przeciekał. Miało się zmarnować?

— Inżynier ciebie zna, Jasiu... — przerwał mu Policz, zawieszając znacząco głos.

— Zna?...

Kamyłło spojrział niepewnie na Policza, potem na mnie. „Profesor” zmienił jednak szybko temat.

— Inżynier opowiadał mi właśnie bardzo dziwną historię... O duchach. Mówiłeś, Jasiu, że lubisz filmy grozy. To coś z tego gatunku. Tyle że ponoć to prawdziwa historia związana z kłopotami inżyniera. Duch zawinił, a inżyniera aresztowali...

— Pan kpi — powiedziałem z żalem. — Zresztą trudno się dziwić. Ja również bym nie uwierzył, gdyby mi ktoś trzy dni temu mówił, co przeżyję.

— Więc pierwszy raz widziałeś tego „ducha” w czasie pożaru? — nawiązał Policz do tego, co już ode mnie usłyszał, wyraźnie próbując skłonić mnie do dalszych zwierzeń.

— W czasie pożaru... — powtórzył z przejęciem Kamyłło. — A to kino!

Nawet jeśli któryś z nich kapował, już za wiele powiedziałem, aby wykręcić się od rzetelnych relacji. Nie widziałem zresztą potrzeby ukrywania czegoś przed tymi ludźmi, bo jeśli nawet dotrze to do prokuratora, być może przyczyni się do wyjaśnienia nieporozumienia. Liczyłem też trochę, że „Profesor”, oblatany w różnych kwestiach prawnych, może mi coś doradzić, a co najmniej spojrzy obiektywnym okiem na moje niesamowite przygody.

Opowiadając o spotkaniach z myślakiem i wydarzeniach na seansie, nie wspominałem jednak na razie o swych zdolnościach wieszczych, aby nadmiarem dziwów, których doświadczyłem w ostatnich dniach, nie budzić nieufności słuchaczy i podejrzeń, że jestem blagierem lub wariatem. Widocznie jednak moje nieopatrzone przyznanie się do rzekomej znajomości z Jasiem nie dawało Policzowi spokoju, bo po wysłuchaniu relacji, zamiast spodziewanych dalszych pytań dotyczących myślaka i Wotnego, wrócił zaraz do tej właśnie kwestii:

— A Jasia skąd znasz?

Spodziewałem się oczywiście takiego pytania, niemniej w pierwszej chwili poczułem się nieswojo.

— Jeśli powiem prawdę... — zacząłem się jąkać, jak szczeniak schwytyany na gorącym uczynku

— ...to... to obawiam się, że w ogóle przestaniecie mi wierzyć.

— Wal, chłopie, śmiało! — zachęcał mnie Kamyłło. — Ja ci wierzę!

— Miałem widzenie... — rozpocząłem niepewnie.

— W rozmównicy? Tutaj? — wtrącił blondynek domyślnie.

— Nie. Chodzi o wizje. Jasnowidzenie przyszłych zdarzeń. To trudne do uwierzenia, a jednak tak jest...

— To ty może jesteś ten inżynier, co o nim pisali w „Przekroju”?

— Ossowiecki? Nie. On już dawno nie żyje. Mnie się to zresztą zaczęło niedawno. Właśnie po tej pierwszej awarii, o której wam opowiadałem. Od czasu do czasu widzę to, co ma się zdarzyć...

Na tych wstępnych wyjaśnieniach relacja o moich zdolnościach proroczych chwilowo się skończyła. Znowu rozległ się zgrzyt klucza i do celi wszedł wysoki, barczysty mężczyzna o siwiejących skroniach.

— Jeszcze jeden do kompletu — stwierdził strażnik i zamknął drzwi.

Przybyły obejrzał się za siebie, potem powiódł wzrokiem po pryczach. Wyraźnie nadrabiał miną, zachowując się ze sztuczną wyższością, co miało chyba w jego mniemaniu dodawać mu godności, a stwarzało wrażenie bufonady.

— Wolna? — spytał bezosobowo, podchodząc do nie zastanej pryczy.

— Jak widać — odpowiedział Policz.

Mężczyzna zaczął rozkładać prześcieradło, stale zwrócony do nas plecami. Kamyłło zrobił krok w jego kierunku, patrząc pytająco na „Profesora”. Ten mrugnął przyzwalająco i Jasio stanął za plecami przybyłego.

— Kamyłło jestem! — przedstawił się gniewnym tonem.

— ...ski — mruknął mężczyzna, nie racząc nawet spojrzeć na Jasia.

— Ludzie grzeczni to mówią „dobry wieczór” — stwierdził Kamyłło, ale przybyły zignorował przytyk.

— W każdej społeczności — odezwał się Policz — a wspólny pobyt w celi, choćby nawet bardzo krótki, tworzy taką społeczność, obowiązują pewne zasady współżycia, pewne obyczaje. Nie należy mieć za złe naszemu młodszemu koledze, że tych zasad przestrzega. Uznałbym raczej za godną pochwały jego troskę o dobre wychowanie. Zasady te dotyczą również wzajemnej prezentacji, i to nie tylko poprzez wyraźne i grzeczne wymienienie nazwiska. I tak na przykład każdy z nas z jakiegoś powodu tu się znalazł. Ja, można rzec, z powodu zbyt gorliwego przestrzegania obowiązku społecznego, kolega Kamyłło nie mógł patrzeć, jak się marnuje mienie narodowe, inżynier Szarek jest chyba raczej ofiarą prawdomówności i... duchów. A pan, panie „ski”?

Mężczyzna odwrócił się i spojrzął ze złością na Policzą.

— Odczepcie się! Nic mnie nie obchodzi, kim panowie jesteście!

— A powinno obchodzić... — zauważył z przekorą Kamyłło. — I z szacunkiem do „Profesora”. Wiedz, że to starszy celi...

— A ja mógłbym się założyć — włączyłem się do konfliktu — że zgadnę, kim pan jest. Lotnikiem, prawda? A chodzi o przemyt...

W oczach mężczyzny pojawiło się zaskoczenie i lęk.

— Pan jest?... — spytał podejrzliwie, nie kończąc zdania.

— Inżynier jest jasnowidzem! — zaśmiał się Policz. — A twoja, lotniku, sprawa, to chyba coś grubszego. Za zwykły, obywatelski przemyt od razu nie sadzają. Złoto? Dzieła sztuki? A może narkotyki?

Mężczyzna już się nie buntował.

— Panowie, nie męczcie mnie — spuścił z tonu. — Ja bardzo przepraszam, ale dziś nie mam głowy do rozmowy. Jestem bardzo zmęczony.

— A chrapiasz? — zapytał Policz tonem inkwizytora. Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

— Daj mu spokój — powiedziałem do Policza. — Jak będzie chrapał, to Jasio go obudzi.

Noc, tak jak to zapowiedział Policz, nie przyniosła ulgi skołatany nerwom. Moje myśli krążyły nieustannie wokół wydarzeń ostatnich dni, a zwłaszcza fatalnego finału rozmowy z prokuratorem i bezsensownego zaplątania się w zeznaniach dotyczących myślaka. Decyzja aresztowania mogła świadczyć, że sprawa jest rzeczywiście poważna. Czyżby prokurator dysponował dowodami, że Wotnego szantażują jakieś podejrzane indywidua? To przydawałoby realności przypuszczeniu, że poddano mnie działaniu gazu odurzającego. Dotąd nie traktowałem tego serio. Szpiedzy i dywersanci działający w naszych zakładach pracy to raczej temat do dydaktycznych powieści kryminalnych i sensacyjnych filmów. Teraz jednak, gdy mogło chodzić o moją skórę, nie wolno mi było lekceważyć i tej możliwości.

Tak czy inaczej Policz miał rację, mówiąc, że lepiej być wariatem niż sabotażystą. Tylko czy nie było już za późno na szczere wyjaśnienie prokuratorowi sprawy myślaka? Z pewnością uzna, że udaję chorego umysłowo, aby wymigać się od odpowiedzialności. Zresztą wcale bym mu się nie dziwił.

W tych rozważaniach wracałem raz po raz myślą do Steni. Z pewnością wiedziała już, że zostałem aresztowany i nie będzie chciała znać kryminalisty. Z kolei, jeśli uda mi się uniknąć procesu, z pewnością uznany zostanę za wariata i w najlepszym razie zainteresuje się mną z obowiązku lekarskiego.

Inna sprawa, że wizja, którą miałem w czasie przesłuchania, mogła świadczyć o powiązaniu Steni z aferą Wotnego i myślaka. Co prawda byłem przekonany, że lekarka jest ofiarą szantażystów i nie ma nic wspólnego z ucieczką czy śmiercią Wotnego, lecz, niestety, w dalszym toku śledztwa może znaleźć się, podobnie jak ja już teraz, w kręgu podejrzanych. Oczywiście, nigdy bym tego jej nie życzył, jednak możliwość takiego obrotu sprawy egoistycznie budziła we mnie nadzieję, że w tej sytuacji nie mogę być całkowicie pogrzebany w jej oczach. Czas płynął, a o tym, abym mógł zasnąć, nie było co marzyć. Przemysł, zajmujący pryczę nad „Profesorem”, też długo przewracał się na swym poślaniu. Gdy wreszcie zmorzył go sen, przez kilkadziesiąt minut spał dość spokojnie i cicho, tak iż nawet odczułem pewnego rodzaju rozczarowanie, choć jednocześnie pragnąłem wyzwolenia z zakłętego kręgu przeznaczeń. Niestety, tak jak poprzednie, wizja prorocza sprawdziła się w stu procentach. Miarowy oddech ścichł raptownie. Mężczyzna poruszył się i zmienił pozycję. Potem powiedział coś bełkotliwie, jakby odzyskując przytomność, ale zaraz zapadł znów w sen. Jego oddech nie był już jednak tak równy i spokojny jak przed chwilą. Towarzyszyły mu teraz świsty i pomruki, coraz głośniejsze i przechodzące w charkot połączone z piskiem nie naoliwionej maszyny. Wkrótce też usłyszałem rozgniewany głos Kamyłły:

— Hej, panie lotnik!

Chrapanie nie ustawało, przechodząc w rozpaczliwe rżenie.

— Hej, tam! Lotnik!

Prycza nade mną zatrzeszczała i ujrzałem w mroku, jak Kamyłło próbuje dosięgnąć ręką śpiącego.

— Panie przemytnik! Co jest, do cholery! Jasio zeskokczył z pryczy i potrząsnął śpiącym.

— Co, co? — Mężczyzna przestał chrapać i posłusznie przewrócił się na bok.

— A to cholera! — Kamyłło nie przestawał się denerwować, wracając na swoje miejsce.

— Ciszej, Jasiu — usłyszałem szept Policza. — Obudzisz inżyniera. Niech się wyśpi.

— Ja nie śpię. W ogóle nie mogę zasnąć...

Policz wstał i usiadł na brzegu mojej pryczy.

— Jeśli nie śpisz; to cię o coś spytam — powiedział ściszym głosem. — Co właściwie widzisz w takich chwilach jasnowidzenia?

— Dokładnie to samo, co się później wydarzy, to znaczy już w rzeczywistości, na jawie. Tyle że jest to jakby niewielki, krótkotrwały wycinek tego zdarzenia.

— No dobrze. Ale wobec tego skąd się wzięła w twoim mózgu informacja, że ten facet jest lotnikiem, przemytnikiem i do tego chrapie?

— Miałem wizję sceny, która wydarzyła się tu przed chwilą. I słyszałem, co mówił Jasio, gdy budził tego człowieka. Stąd też znałem Jasia, jego wygląd, głos...

— Rozumiem. A czy poza tym, co powiedziałeś, nie zauważyłeś jeszcze jakiejś innej prawidłowości, jakiejś wspólnej cechy tych wieszczych wizji?

— Chyba nie. Nie ma żadnej reguły, kiedy i dlaczego się pojawiają te obrazy.

Policz zastanawiał się dłużej chwilę.

— Z tego, co mówisz, wynikałoby — powiedział z wahaniem — że jest to zjawisko spontaniczne, niezależnie od twojej woli. Nie byłbym jednak tak bardzo pewny, czy rzeczywiście nie występują tu żadne uchwytnie prawidłowości, jakieś przyczynowe zależności...

— To pojawia się zupełnie niespodziewanie. Taką wizję mogę przeżyć za chwilę lub mieć spokój przez parę godzin. Nic jej nie zapowiada. Odwrotnie, pojawia się w najmniej oczekiwanym momencie. Jest z reguły zaskoczeniem. Rządzi tym chyba przypadek.

— Nie ma zjawisk przypadkowych — stwierdził Policz profesorskim tonem. — Modele probabilistyczne stosujemy z konieczności. To nieuniknione następstwo ograniczoności naszej wiedzy. Nieuniknionej ograniczoności. Nawet ciąg liczb losowych, najlepsze ich tablice, nie są tworem przypadku. Choćby źródłem losowości było promieniowanie kosmiczne, w istocie przebieg procesu zdeterminowany został określonymi czynnikami. Traktujemy go probabilistycznie tylko z konieczności, gdyż nie potrafimy opisać konkretnych relacji między wektorami, które decydują o takim, a nie innym przebiegu tego procesu. To znaczy: dlaczego te a nie inne liczby, w takiej a nie innej kolejności się pojawiły.

— Jesteś wyznawcą determinizmu?

— Tylko w najogólniejszym, ontologicznym sensie. W praktyce życiowej stosuję teorię gier i rachunek prawdopodobieństwa. Ale wiem, że jest to tylko uproszczony opis rzeczywistości tak niezmiernie skomplikowanej, że deterministyczne zależności, stanowiące jej istotę materialną, przekraczają zdolności pojmowania ludzkiego, a chyba i boskiego umysłu. Wcale to jednak nie znaczy, abym przyjmował, choćby tylko modelowo, że naszym życiem rządzi przypadek. Wszędzie występują prawidłowości i należy starać się je wykryć. Wracając do twoich zdolności jasnowidczych: nie sądzę, aby nie można było odkryć tu jakichś ogólnych reguł. Nawet twoje twierdzenie, że zdolności te pojawiają się zupełnie nieoczekiwanie, można uznać za wątpliwe. Nie wolno zapominać o podświadomości. O nieświadomych, lecz celowych odruchach, pragnieniach, dążeniach...

Opowiedziałem mu o wizji, wskazującej adres Rawików w Łodzi.

— To było rzeczywiście Jak na zamówienie, ale zdarzyło się tylko raz — podsumowałem swą

relację. — Inne wizje żadnych korzyści mi nie przyniosły. To mógł być przypadkowy zbieg okoliczności.

— Nie przypadkowy! — zaproponował stanowczym tonem. — Może uda nam się do czegoś dojść... Powiedz mi, do jakich doznań znanych w psychologii są te twoje prorocze wizje podobne? Do przeżyć narkomanów, halucynacji w stanie delirycznym? Tego możesz z autopsji nie znać, ale chyba czytałeś, jak to jest. A może to przypomina trans hipnotyczny lub majaki przedsenne?

— Nic z tego. To nie to. Może jeszcze te majaki, ale to nie to samo. Majaczenia przed zaśnięciem to już prawie sen. A to nie sen. We śnie często się wszystko płacze, różne wątki przeżyć. A to jest wyraziste, jedno, krótkie zdarzenie, a właściwie jego wycinek. To jest jakby przypomnienie sobie czegoś, tyle że tworzące w wyobraźni obraz graniczący z halucynacją.

— Mówisz: przypomnienie... — zastanawiał się Policz. — Oczywiście to nie może być przypomnienie, bo dotyczy przyszłości. Ale przyjmijmy na próbę, że mechanizm psychologiczny jest tu podobny. Przypomnienie to ciąg asocjacji zaktywizowany jakimś bodźcem uprzednio skojarzonym z tym ciągiem. Może być to bodziec zewnętrzny, odebrany kanałami zmysłowymi, albo też pobudzenie wewnętrzne przez inny ciąg asocjacji, czyli myśl. Spróbuj przypomnieć sobie, co widziałeś, słyszałeś lub o czym myślałeś tuż przed wizją wieszczą. Na przykład tu u nas w celi.

Zamyśliłem się. Co się działo w mojej głowie w tamtych pierwszych chwilach po zamknięciu się za mną drzwi celi? Byłem wstrząśnięty swoją sytuacją, czułem się zagubiony i bezradny, ale żadnych konkretnych myśli nie pamiętałem. Tuż przed wizją spojrzałem na prycze...

— A wiesz, że chyba masz rację — powiedziałem do Policza, czując ogarniające mnie podekscytowanie. — Patrzyłem na wolną pryczę, tu na górze, a potem zobaczyłem śpiącego człowieka. To był ten facet. I słyszałem jak chrapie... A to ciekawe...

— No właśnie... — wtrącił zachęcająco „Profesor”.

— Jak się tak zastanawiam, to jestem niemal pewny, że każdą z wizji poprzedził widok czegoś, choćby jakiegoś niewiele znaczącego elementu występującego później w wizji.

— Bardzo ciekawe...

— Tylko co z tego wynika? — zreflektowałem się. — Skąd się wzięły te obrazy w moim mózgu? Obawiam się, że to niczego nie wyjaśnia.

— Nie wiem. Sądzę, że określa co najmniej kierunek poszukiwań. A to też nie jest bez znaczenia. Na razie jednak zostawmy na boku sprawę źródła informacji i spróbujmy zastanowić się, czy odkrycie nasze nie wskazuje sposobu osiągnięcia powtarzalności fenomenu. Ściślej, wywoływania wizji na żądanie.

— To chyba niemożliwe.

W tym momencie wydało mi się, że jakiś cień przeszedł obok pryczy Policza w kierunku okna i rozpląnął się w mroku. Czyżby Kamyło albo lotnik zeszli z pryczy? Ale przecież powinienem był to zauważyć, zwłaszcza że człowiek w białym z pewnością lepiej byłby widoczny w ciemnościach. Pomyślałem, że znów uległem halucynacji, podobnej do tych, jakich doznawałem w czasie magicznych praktyk Chochołowskiej.

— Zastanówmy się — ciągnął dalej swe rozważania Policz. — Wizję wyzwala jakiś element rzeczywistości z tą wizją skojarzony. Można więc taką wizję traktować jako quasi — przypomnienie. Jeśli staramy się sobie przypomnieć coś, o czym zapomnieliśmy, wówczas błądzimy myślami wokół sprawy, które wydają nam się z tym czymś związane. Jeśli schowaliśmy gdzieś jakiś przedmiot i nie możemy go znaleźć, próbujemy sobie przypomnieć, chodząc po terenie, gdzie go prawdopodobnie ukryliśmy. Nie starajmy się przy tym myśleć zbyt intensywnie. Znacznie skuteczniejsze jest apelowanie do podświadomości, na przykład przez modlitwę do świętego Antoniego... Wynika stąd,

że i wizje wieszczą można by wywołać u ciebie poprzez stworzenie warunków przypominających wydarzenia, które dopiero mają nastąpić. Oczywiście można tu działać tylko metodą prób i błędów, a wyboru dokonywać raczej podświadomie niż świadomie...

— „Profesorku” kochany — dobiegł nas z góry głos Jasia. — Skończcie tę gadkę. Wy tak możecie do rana, a ja mam jutro dalszy ciąg „spowiedzi”. Muszę być na medal.

— Masz rację, Jasiu — zgodził się Policz i zwracając się do mnie, powiedział szeptem: — Jutro porozmawiamy. Przemyśl to, co powiedziałem.

Wrócił na swoje miejsce i już po paru minutach usłyszałem jego równy, spokojny oddech. Ja, niestety, nadal nie mogłem zasnąć. Co prawda, wspomnienie niefortunnej rozmowy z prokuratorem jakby nieco przybladło i starałem się już nie myśleć o czekających mnie przesłuchaniach, ale napięcie nerwowe utrzymywało się jeszcze, mimo rosnącego znużenia i coraz większej pustki w głowie. Patrzyłem na refleksy światła zewnętrznych przenikające przez blindaż i próbowałem przypomnieć sobie kolejno wszystkie sytuacje poprzedzające prorocze wizje.

Pod oknem, w pobliżu stolika, coś jakby się poruszyło. Nowa halucynacja? Nie. Dostrzegłem teraz wyraźnie cień ludzki, przesuwany się wolno na tle okna. Ktoś skradał się w kierunku półki. Stało tam pudełko przyniesione przez Kamyłkę i pomyślałem, że prawdopodobnie ów człowiek chciałby dobrać się do żywności. Kto to mógł być? Z pewnością nie Policz — słyszałem jego oddech, a zarys głowy śpiącego majaczył w mroku. Przemytnik? A może sam Jasio poczuł głód?

Uniosłem się ostrożnie na posłaniu. Cień sięgnął już do wnętrza pudełka. Spuściłem cicho nogi i stanąłem na podłodze. To nie był Jasio ani też przemytnik — obie górne prycze były zajęte. Ktoś obcy wszedł do celi i próbował ukraść żywność przyniesioną przez narzeczoną Kamyłkę.

Kucnąłem i wolno, jak najciszej, począłem skradać się na czworakach z zamiarem schwywania intruza za nogi. Już gotowałem się do skoku, gdy nieznajomy, wykładając ostrożnie na stół zawartość pudła, upuścił jabłko, które potoczyło się w moim kierunku. Intruz spojrzął za siebie. Poznałem jego twarz.

To był myślak...

Widmo odwróciło się gwałtownie, zrzucając z półki pudełko. Wydałem rozpaczliwy okrzyk w przekonaniu, że myślak rzuca się na mnie, ale on tylko przebiegł tuż obok w kierunku drzwi i zniknął, zanim zdołałem zerwać się z podłogi.

— Co? Co? — usłyszałem zaspany głos Jasia, a potem szept Policza:

— Co się dzieje? Masz jakieś kłopoty?

— To znów on — odpowiedziałem z rezygnacją.

— Jaki „on”?

— Myślak. Był tu przed chwilą.

— Nie przejmuj się. To się zdarza... — stwierdził Policz ze współczuciem.

— A jednak bierzesz mnie za wariata.

— Ależ nie. W zamknięciu łatwo o koszmary. A pierwsza noc bywa najgorsza.

— Ależ ja naprawdę widziałem go tu, w celi...

— Połóż się i śpij. Jutro pogadamy.

Nie było sensu się upierać. Zresztą teraz, w nocy, żadnych śladów poza rozrzuconą żywnością z pewnością bym nie znalazł i należało poczekać do świtu. Postanowiłem sprawdzić wszystko, zanim współlokatorzy celi wstaną.

Z tym doczekaniem świtu też mi jednak nie wyszło. Zmęczenie ze zdwojoną siłą dało teraz znać o sobie i nie wiem, kiedy zapadłem w głęboki, tak potrzebny mi sen.

Obudziłem się ostatni. A właściwie obudził mnie Policz, zaraz po sygnale pobudki. Od razu też wybuchła awantura między Jasiem a przemytnikiem o rozrzuconą żywność. Krewki kierowca posądził bowiem z miejsca lotnika o złośliwe odegranie się za wczorajsze docinki. Ten z kolei nie tylko kategorycznie zaprzeczył (co było dla mnie oczywiste), ale uznał zarzuty Kamyłły za prowokację. Wyglądało na to, że lada chwila może dojść do rękoczynów. Jakkolwiek otwarcie drzwi, raport Policza i wydanie ubrań przerwało na parę minut awanturę, wybuchła ona natychmiast ze zdwojoną siłą, gdy tylko zostaliśmy sami.

Nie było sensu przedłużać nieporozumienia i przystąpiłem do wyjaśnienia sprawy:

— Jasiu, posłuchaj! To nie on! Ja wiem, kto ci porozrzucał jedzenie. Widziałem. I domyślam się, czego szukał... Kamyłło spojrzał na mnie zdziwiony.

— „Profesor”?

— Nie „Profesor”. Myślak znów się pojawił. Był tu dziś w nocy.

— Tu? — Jasio popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Niestety, tak!

— A to heca... — powiedział z odcieniem niepokoju.

— To ktoś z personelu więziennego? — włączył się do rozmowy lotnik.

— Nie, kolego. To nie klawisz. Chodzi o ducha, który prześladowuje inżyniera — wyjaśnił Policz.

— Stary błazen! — parsknął ze złością lotnik i odwrócił się plecami do „Profesora”.

Kamyłło zjeżył się i zrobił ruch, jakby chciał go uderzyć.

— Co jest? — warknął groźnie.

Policz jednak dał mu gestem znak, aby się uspokoił.

— Inżynier mówił mi o tym już w nocy. Myślałem, że mu się przyśniło...

— Jestem pewny, że to był on — stwierdziłem stanowczo. — To nie był sen ani halucynacja. Są materialne dowody. Tam w Łodzi negatyw, tu pudełko z jedzeniem...

— Mówiłeś, że się domyślasz, czego on chciał? — spytał Policz.

— Myślę, że szukał pisaka. A właściwie amuletu w formie ozdobnego ołówka. Opowiadałem wam wczoraj, jak próbował go ukraść w czasie seansu...

— Został w depozycie?

— Nie. I już go nie odzyska. Został zabetonowany w fundamentach kościoła.

— A to heca... Ale jak ten myślak tu wlaź? — dziwił się Jasio.

— Dla wolnego ducha nie ma zamków ni krat — odpowiedział sentencjonalnie Policz. — Tak, panie kolego — zwrócił się do lotnika.

— Panowie żartujecie ze mnie — powiedział przemytnik z wyrzutem, lecz już znacznie pokorniejszym tonem. — A ja naprawdę... Przepraszam, ale jestem tak zdenerwowany...

— Rozumiem i wybaczam — oświadczył Policz z miną księcia. — Panowie, bierzemy się za sprzątanie, bo niedługo śniadanie. A tobie, Adasiu, proponuję mały eksperyment — zwrócił się do mnie. — Sprzątając, rzuć raz po raz okiem na drzwi. Tak od niechcienia, bez żadnego napięcia uwagi

czy woli... Może uda ci się dostrzec, jak wygląda kalifaktor.

Pomysł wydał mi się zbyt prymitywny, aby coś z tego mogło wyjść, nie chciałem jednak robić przykrości „Profesorowi” i z góry go odrzucać. Zastosowałem się więc do jego wskazań i co pewien czas spoglądałem ku drzwiom, zza których poczynały już dochodzić dalekie odgłosy krzątania na korytarzach.

Kamyłło zebrał już z podłogi i stołu swoje sprofanowane wiktuały i postawił pudło na powrót na półce, kiedy na pytające spojrzenie Policza jeszcze raz spojrzałem na drzwi.

— Nic z tego — powiedziałem z rezygnacją. I w tej właśnie chwili w niebieskawej, mglistej poświacie ujrzałem otwarte drzwi celi.

Widzę, że stoi w nich oficer służby więziennej. Trzyma przed sobą otwartą aktówkę.

— Szarek Adam! — słyszę jego głos. — Zabierajcie rzeczy. Koc, prześcieradło...

— Pamiętaj: toto–lotek — dobiega mnie szept Policza i zaraz potem mgła gęstnieje.

Stałem na środku celi, z twarzą zwróconą do drzwi. Były zamknięte. Z korytarza dochodziły dźwięki otwieranych gdzieś blisko drzwi i brzęk blaszanych naczyń.

Spojrzałem na Policza.

— Udało się? — spytał, patrząc na mnie z napięciem.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

— Co widziałeś?

— Oficer, chyba porucznik. Dość tęgi, średniego wzrostu, ciemne włosy. Na czole chyba blizna...

— Majewski? — podsunął Jasio.

— Przy rozwożeniu śniadania? — zdziwił się Policz.

— Miał aktówkę. I powiedział, że mam zabrać wszystkie rzeczy...

— Ciekawe...

Kroki kilku ludzi i stuk stawianego kotła słysząc już było za naszymi drzwiami. Staliśmy wszyscy czterej, czekając w napięciu.

Zgrzytnął klucz i drzwi otworzyły się szeroko. Ani kalifaktorzy, ani towarzyszący im strażnik nie przypominali w niczym opisanego przeze mnie oficera.

— Jasnowidz... — zaśmiał się ironicznie lotnik.

Wkrótce po śniadaniu zabrano Kamyłłę i przemytnika na przesłuchanie, a Policza „poprosił na rozmowę” oficer wychowawczy. „Profesor” wrócił po godzinie wielce zadowolony z siebie, gdyż, jak twierdził, udało mu się namówić wychowawcę, aby zdobył dla niego trzy książki niezbędne mu do „naukowej obrony”.

— Mamy trochę czasu — powiedział, patrząc na słoneczny refleks na ścianie celi. — Nie wrócą chyba wcześniej niż w południe. Możemy więc porozmawiać spokojnie, bez świadków. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Jego realizacja wymaga jednak całkowitej dyskrecji...

— Słucham cię. O co chodzi?

— Muszę ci się przyznać, że przez długi czas nie mogłem cię rozgryźć... — podjął, nie odpowiadając na moje pytanie. — Właściwie to jeszcze teraz nie mam pewności, kim jesteś. Myślałem początkowo: kapuś. Ale dlaczego gra wariata? I to tak głupio? A może rzeczywiście wariat, mitoman? Mógł gdzieś wcześniej poznać Jasia... Albo raczej kpiarz, magik — kawalarz, próbujący zrobić ze mnie idiotę. Ale po co? Próbuje mnie sprawdzić? Ma jakiś interes? Nie wyglądasz na takiego od interesów. Nie chwając się, ja mam nosa. A więc o co tu chodzi?... Potem wyszła ta sprawa z lotnikiem. Skąd mogłeś wiedzieć, kto to, i że chrapie? To, co opowiadałeś wczoraj wieczorem, wyglądało na bajkę. Ale była w tym logika. Myślę sobie: jakby przyjął, że w

tym, o czym mówi, jest jakieś ziarno prawdy? Może tylko interpretacja zjawisk jest błędna, jak to przeważnie bywa w parapsychologii. Trzeba sprawdzić empirycznie. Ale rano znów pojawiły się wątpliwości...

— Że nie było tego porucznika? Jeszcze nic nie wiadomo.

— Nie o tym myślę. Będziemy dalej próbować — zobaczymy. Chodziło o te nocne odwiedziny. Łatwo samemu rozrzucić jedzenie. Świadomie lub może nieświadomie, jeśli to schizofrenia. Ale to chwyt zbyt naiwny, nawet jak na wariata. Nie ma więc co sobie łamać głowy. Liczą się tylko fakty. A jeśli rzeczywiście widziałeś tego Majewskiego i gdzieś cię przeniosą? Szkoda zmarnować okazję... Jeśli udało ci się osiągnąć ten stan na żądanie, chociaż nawet pierwszy raz nie poszło jak należy, to i tak sukces. Nie tylko z punktu widzenia naukowego. Dla mnie postęp naukowy i techniczny nie jest celem samym w sobie. To, co mam wspólnego z Jasiem, to zmysł praktyczny. A Jasio, idąc na przesłuchanie, szepnął mi do ucha: „Sprawdź, czy się nie nada do toto–lotka”. On ma głowę!

— A wiesz, że w czasie tej sceny z porucznikiem powiedziałeś coś podobnego. Nie bardzo pamiętam już co.

— Coś ważnego?

— Chyba nie...

— Gdyby ci się udało zobaczyć i zapamiętać numery toto–lotka, które dopiero mają być wylosowane... Czy wizje zawsze dotyczą zdarzeń, których w przyszłości będziesz naocznym świadkiem? — Jak dotąd zawsze. Taki eksperyment byłby więc możliwy dopiero wtedy, gdy stąd wyjdę na wolność.

— Niekoniecznie. Istnieje kilka możliwości rozwiązania problemu. Numery możesz zobaczyć na ekranie telewizyjnym lub w gazecie, nawet usłyszeć od kogoś w czasie widzenia, a choćby od strażnika lub oficera wychowawczego. W pierwszym przypadku wizja wskazywałaby, że albo wyjdiesz na wolność, albo jakoś zorganizujemy ci dojście do telewizora tu w więzieniu. Podobnie ma się sprawa z gazetą i przekazem ustnym. Nie tu leży główna trudność. Chodzi o przekazanie numerów na zewnątrz, ale tak, aby władze więzienne się nie dowiedziały.

Coś wymyślę. Najtrudniej znaleźć kogoś zaufanego i uczciwego. Żeby nas nie okradł. Nie ufałbym nawet własnej żonie, gdybym ją miał... — A nie pomyślałeś, że z punktu widzenia moralnego...

— Pomyślałem — przerwał mi z lekką urazą. — Za kogo mnie bierzesz? Można i należy działać tu w interesie społecznym. Powiedzmy: pięćdziesiąt procent na Centrum Zdrowia Dziecka. To można z góry ustalić. Najważniejsze jednak jest opracowanie metody wywoływania określonych wizji. Nie ma co zresztą tracić czasu.

Policz zdjął z półki pudełko Kamyły i postawił przede mną na stole.

— Niech to będzie telewizor. Wyobraź sobie, że właśnie podawany jest komunikat o wynikach gier liczbowych... Nie zwracaj specjalnie na mnie ani na nasz „telewizor” uwagi. Myśl sobie swobodnie o czymś innym...

„Profesor” zademonstrował teraz swoje talenty imitatorskie, naśladowując spikera telewizyjnego, a potem dźwięki towarzyszące losowaniu i głos kobiety podającej wyniki. Gdy powtarzał komunikat, jego głos cichł stopniowo aż do niezrozumiałego szeptu. Monotonny rytm wypowiedzianych słów działał usypiająco...

Przymknąłem powieki i z niebieskawej mgły wyłonił się stół, ale już bez ustawionego przez Policza pudełka.

Siedzę na stołku, a przede mną Policz, na tym samym miejscu co teraz. Obok Kamyło i przemytnik.

— ...naprawdę nie wiedziałem — kończy lotnik jakąś opowieść. — Skąd mogłem wiedzieć? To miały być lekarstwa. Chodziło o życie dziecka. Tej kobiety nie znałem. Miała przyjść na dworzec i odebrać...

— Kobieta o nazwisku Teo Życzkowski — wtrąca Policz i mruga porozumiewawczo do przemytnika, który patrzy na niego osłupiały.

Otworzyłem oczy. Policz przy „telewizorze” patrzył na mnie roziskrzonym wzrokiem.

— Udało się! Masz liczby?

— Niestety... To było zupełnie co innego.

— To znaczy co? — zdenerwował się chyba pierwszy raz od chwili, gdy go poznałem.

— Widziałem tu, przy stole, ciebie, Jasia i tego faceta. Opowiadał coś o jakiejś kobiecie i lekarstwach, które chyba przywiózł z zagranicy. Rzekomo dla jej dziecka.

— To znaczy, że powinien wreszcie puścić farbę.

— Widocznie jednak wiedziałeś, że wciska kit, bo powiedziałaś, że to nie kobieta, lecz mężczyzna miał te leki odebrać. I że ten mężczyzna nazywa się Teo Życzkowski...

— Teo Życzkowski? Nie znam. I to wszystko?

— Wszystko. Widać nie potrafię wywołać wizji na zadany temat — powiedziałem z rezygnacją.

— A w ogóle nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Te zapowiedzi przyszłych zdarzeń... Ten myślak... Może ja naprawdę zwariowałem?

Policz wstał, klepnął mnie przyjacielsko po ramieniu i stawiając pudełko na półce, rzekł:

— Bez paniki. Nie wyglądasz na wariata. A ja się znam na ludziach i potrafię poznać na kilometr, jakie kto ma wariactwa. Spróbujmy spokojnie przeanalizować fakty. Z tego, co mówiłeś, wynika, że między awarią w waszej elektrowni, pojawieniem się myślaka i ujawnieniem się u ciebie zdolności wieszczych istnieje tylko zbieżność w czasie. Żadnych uchwytnych związków przyczynowych nie udało się stwierdzić. Rozpatrzmy więc na razie każde z tych zjawisk oddzielnie. Najpierw przyczyny awarii: zaniedbanie czy sabotaż? Załóżmy na próbę, że zaniedbanie. Czy między awarią transformatora i komputera może być związek przyczynowy?

Odpowiedziałem, że w rachubę wchodzi co najwyżej zakłócające działanie wyładowania iskrowego na obwody fullera, ale nie wydaje się to zbyt prawdopodobne. Odwrotna zależność odpada. Fuller nie steruje bowiem całym rozruchem i pracą wszystkich agregatów bloku, czuwa jedynie nad prawidłowym przebiegiem procesów, sygnalizuje stany niebezpieczne i awaryjne oraz dostarcza informacji na żądanie operatora.

Pulpit fullera nie zastępuje automatyki, tylko ją kontroluje. Wprowadzenie zmian w wartościach zadanych czy zmiana granic alarmu jest co prawda możliwa, ale wymaga odblokowania niektórych przycisków pulpitu. To zaś oznacza świadome działanie kogoś z uprawnionego personelu inżynierskiego. Do tego kręgu uprawnionych należałem ja, a także Wotny...

— To znaczy zbieżność tych dwóch awarii przemawia za sabotażem? — przerwał moje zbyt fachowe wywody.

— Chyba tak.

— I ja tak sędzę. Innymi słowy: przyczyną obu awarii jest czynnik trzeci.. Czy można przyjąć, że to czynnik wytworzony przez przyrodę w sposób naturalny, a nie celowo stworzony przez człowieka?

— Nie wiem, chyba nie.

— Czy możesz podać przykładowo, jaki czynnik mógłby spowodować jednocześnie awarię trafo i komputera?

— Nic mi do głowy nie przychodzi... Poza tym ucieczka Wotnego...

— Tego bym nie powiedział. Nie znam się na sprawach technicznych, ale jeśli chodzi o

psychologię działań przestępczych, to nie jestem laikiem. Zastanówmy się, jakie mogły być motywy ucieczki. I to ucieczki panicznej, z pozostawieniem dokumentów i pieniędzy. Zakładając, że ten człowiek dokonał sabotażu, powinien raczej próbować zatrzeć ślady, stwarzać pozory, że nie on jest winien. Widzę tu dwie możliwości: albo jest to człowiek chory psychicznie, albo znalazł się w sytuacji tak niebezpiecznej, że na wszelkie przemyślane działania nie miał czasu. Kluczowe znaczenie w rozwiązaniu zagadki ma chyba obecność w nastawni drugiego mężczyzny, o którym wiemy tylko tyle, że prawdopodobnie trochę ciebie przypomina. Nie dziwię się więc prokuratorowi, że do tej kwestii przywiązuje szczególną wagę. Nie można bowiem wykluczyć, że ten Wotny nie jest przestępcą, lecz ofiarą albo też jednym i drugim. — Nie rozumiem.

— Mógł być szantażowany przez tego tajemniczego mężczyznę i do pewnego momentu działać zgodnie z jego poleceniami, a potem: się zbuntować. Mógł gonić swego prześladowcę ‘i zabić go lub zostać przez niego zamordowany. Są to oczywiście niczym nie poparte hipotezy, lecz chcę ci tylko uświadomić, że istnieje i taka możliwość.

— A myślak?

— Otóż właśnie! Kim jest tajemniczy myślak? Czy istnieje rzeczywiście jakiś konkretny dowód jego związku z awariami, a zwłaszcza z inżynierem Wotnym? Czy był on tym człowiekiem, z którym Wotny spotkał się w nastawni? Zasugerowałeś to prokuratorowi, ale sam nie jesteś pewien, bo przecież nie byłeś świadkiem tego spotkania.

— Jestem pewny, że myślak szuka amuletu. Widziałem, jak wyciągnął go z kieszeni prezesa Stasińskiego, a teraz chyba szukał w pudle Jasia.

— Sam powiedziałeś chyba... Pewne jest tylko, że istnieje jakaś relacja między myślakiem a tobą. Wiadomo, że poza jednym niepewnym przypadkiem spotkania w nastawni, którego świadkiem był operator, myślaka widzisz tylko ty.

— Są materialne ślady.

— Są, ale to jeszcze nie dowód jego istnienia. Będę tu brutalnie szczery. Moim zdaniem wchodzi w rachubę dwie możliwości: albo jest to wytwór twojej chorej wyobraźni, a materialne dowody produkujesz sam nieświadomie, albo — co zabrzmi jak science fiction — jest to gość z innego wymiaru, jakiś przybysz w pojeździe UFO czy coś w tym rodzaju. Muszę zastrzec, że nie jestem entuzjastą ufologii i wysuwam to przypuszczenie wyłącznie jako hipotezę roboczą.

— Obawiam się, że dla sądu czy ekspertów naukowych wiarygodna może być tylko pierwsza z tych możliwości.

— Niestety, i ja tak sądzę. Przejdźmy jednak do trzeciej kwestii: twoich zdolności wieszczych. I tu znów można postawić dwie hipotezy. Obie zresztą kłócą się z moim naukowym światopoglądem, ale nie widzę trzeciej możliwości. Przynajmniej na razie. Pierwsza hipoteza zakłada, że ujawniły się u ciebie jakieś nadzwyczajne zdolności nie tylko odbioru, ale i narzucania myśli oraz programowania działań z nimi związanych. Nawet ów pies, który pojawił się na drodze, powodując krakę, byłby w tym ujęciu sterowany podświadomie przez ciebie, podobnie jak robotnik spadający z rusztowania. Druga możliwość to znów ufologia: jesteśmy przedmiotem manipulacji przybyszów z innego świata, a ty, nie wiadomo dlaczego, uzyskujesz chwilami zdolność dostępu do programu tych manipulacji. Ta ostatnia hipoteza mogłaby zresztą przerzucić przyczynowy pomost między wydarzeniami w waszym zakładzie, pojawieniem się tajemniczego fantoma i twoimi proroczymi wizjami. Ale to już niemal naukowa fantazja i nie radzę wspominać o niej prokuratorowi.

— Co więc mam robić?

— Wykorzystywać umiejętnie swe zdolności, a myślaka poddawać próbom. A nuż się okaże, że to nie wytwór twojej wyobraźni...

— Ba... Przeciwstawiać się czy nie przeciwstawiać prorocत्वom?

Policz zastanawiał się dłuższą chwilę.

— Proponuję stosować zasady teorii gier. Jeśli twój przeciwnik w tej grze dąży do tego, aby rzeczywistość zgodna była z zapowiedzią, chcesz oczywiście pokrzyżować jego plany, i słusznie. Tym przeciwnikiem może być albo twoja podświadomość, albo przybysze z kosmosu. W jednym i drugim przypadku nasze najwymyślniejsze strategie szybko zostaną odkryte. Jedyne sposoby to do wyboru strategii stosować mechanizm losowy. Wtedy masz pięćdziesiąt procent szans pokrzyżowania jego planów, a to coś znaczy. Jak już ci mówiłem, pełne poznanie deterministycznych zależności nie jest dostępne nawet bogom. Ergo: kiedy stajesz przed alternatywą — losuj! Najlepiej metodą wrocławską. Chodzi o idealnie równe szansę. O ograniczenie do minimum czynników determinujących wynik losowania. Można użyć zwykłej monety. Orzeł czy reszka. Rzuci się dwukrotnie. Jeśli dwa razy pod rząd wyjdzie orzeł lub dwa razy reszka, to się nie liczy. Trzeba wówczas jeszcze raz losować. Jeśli wyjdzie najpierw orzeł, a potem reszka, to odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Jeśli wyjdzie reszka, a potem orzeł, znaczy: nie. Rozumiesz?

— Rozumiem. Kiedyś czytałem coś o tym, chyba u Steinhausa. Czy jednak mój przeciwnik nie może wpłynąć na przebieg losowania?

— Może, ale musimy to uznać za mało prawdopodobne. Twój przeciwnik — podświadomość — musiałby być wyposażony albo w możliwość bardzo precyzyjnego, wręcz fantastycznie dokładnego sterowania ruchami ręki rzucającej monetę, albo we właściwości oddziaływania telekinetycznego, co na jedno wychodzi, z tym że rozszerza oddziaływanie również na wszelkie techniczne urządzenia losujące. Jeśli nawet parapsychologia zna takie przypadki, nie ma tu jednak mowy o niezawodności. Przeciwnik kosmita musiałby z kolei mieć zdolność nie tylko czytania twoich myśli, ale i wpływania na ich bieg, i to w sposób bardzo doskonały, ale wówczas zachodzi pytanie: czemu miałyby służyć takie skomplikowane zabiegi, nie wiadomo zresztą czy w ogóle możliwe. Oczywiście można przyjąć, że podświadomość lub kosmici wywołują halucynacje, ale wtedy trudno mówić również o realności całego obrazu świata i zmierzamy prostą drogą do Berkeleyowskiego immaterializmu, a nawet solipsyzmu. Oczywiście z praktycznego punktu widzenia rzecz jest nie do przyjęcia i nie będziemy sobie tym głowy zaprzętać.

Drzwi otwarty się i nasza rozmowa została przerwana. Do celi wrócili Kamyłło i lotnik. Tym razem Jasio nie miał zbyt zadowolonej miny, za to przemytnik nie był już tak zdenerwowany i spięty.

— Chcieliście, panowie, wiedzieć, co mi się przytrafiło — powiedział przyjaznym, choć nieco protekcjonalnym tonem, siadając przy stole. — Pracuję w „Locie” już od przeszło dwudziestu lat. Od dwunastu na liniach międzynarodowych. Zarabiam dobrze, gdzieżby mi w głowie jakiś przemyt? I do tego jeszcze narkotyki? Niestety, jestem łatwowierny. Trudno nie pomóc rodakowi na obczyźnie. Tuż przed odlotem z Wiednia zwrócił się do mnie jakiś Polak z Piotrkowa. Emigrant, którego żona z dzieckiem pozostała w kraju. Powiedział, że z trudem udało mu się zdobyć jakiś bardzo potrzebny lek. Że liczą się godziny i nie zdąży go przesłać normalną drogą ani też załatwić formalności przed naszym odlotem. Uwierzyłem. Budził zaufanie. Krajan! Przyniósł lekarstwa i parę puszek z koncentratami owocowymi. Takie napisy widziałem na puszkach i pudełkach. Ale w Warszawie była mgła i musieliśmy lądować w Krakowie. Do tego kłopoty z silnikiem. Na szczęście, czy raczej moje nieszczęście, ta kobieta zadzwoniła na lotnisko i błagała, aby paczkę dostarczyć na dworzec w Piotrkowie. Dałem się uprosić i pojechałem sam, koleją. Mam krewnych na wsi pod Piotrkowem, więc pomyślałem, że ich przy okazji odwiedzę. Mogłem obrócić, zanim mechanicy skończą naprawę. A na dworcu w Piotrkowie już czekała na mnie milicja. Zatrzymano mnie z tą paczką. Okazało się, że to jakieś świństwo. Narkotyk. Jaki, nie wiem. Ja się na tym nie znam. Naprawdę nie wiedziałem.

Skąd mogłem wiedzieć? To miały być lekarstwa i koncentraty. Chodziło o życie dziecka. Tej kobiety nie znałem. Miała przyjść na dworzec i odebrać...

— Kobieta o nazwisku Teo Życzkowski — Policz zrobił oko do przemytnika. Ten, jakby rażony gromem, patrzył ze strachem na „Profesora” zupełnie zbaraniały, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Pełną napięcia ciszę przerwał zgrzyt zasuw. W otwartych drzwiach stał ten sam oficer, który ukazał mi się rano w proroczej wizji.

— Szarek Adam! Zabierajcie rzeczy. Koc, prześcieradło...

— Pamiętaj: toto–lotek — usłyszałem szept Policza.

Stało się to, na co zupełnie nie liczyłem. Po niespełna dwudziestu czterech godzinach od chwili aresztowania zostałem wypuszczony na wolność. Co zaważyło na decyzji zwolnienia mnie z aresztu: czy znalazł się Wotny i jego zeznania oczyściły mnie z podejrzeń, czy też może interweniował ktoś z wpływowych przyjaciół Kabackiego i Palinki? A może po prostu prokurator, po sprawdzeniu mego alibi, doszedł do wniosku, że nie ma potrzeby przetrzymywać mnie w areszcie? Wszystkie moje domysły okazały się jednak błędne.

Gdy wyszedłem z bramy więzienia, z zaparkowanego w głębi ulicy malucha wyskoczyła Baśka. Podbiegła do mnie i ucałowała bardzo serdecznie, a fakt, iż czekała, sprawił mi ogromną radość.

Od razu zacząłem ją wypytywać, jak to się stało, że tak szybko zostałem zwolniony.

— O wszystkim porozmawiamy w drodze — odpowiedziała, ciągnąc mnie do samochodu. — Musimy zaraz jechać!

— Dokąd? — Odczułem kolejny przyływ niepokoju.

— Do Rokit!

Wsiedliśmy do malucha i Baśka natychmiast ruszyła.

— Powiedz wreszcie, co się dzieje! Nic z tego nie rozumiem. Wczoraj mnie zamknęli, dziś wypuszczają... — wróciłem niezwłocznie do zasadniczego pytania.

— Sprawa awarii wzięta nowy obrót. Śledztwo zostanie chyba umorzone. Co najwyżej Kabacki otrzyma pismo z centrali z wytknięciem uchybień. Przede wszystkim niedostatecznej kontroli wykonawstwa. Ale to już normalka. Niewiele znaczące drobiazgi.

— Więc stary się utrzymał? A mówiłaś przez telefon, że z nim krucho. Przynajmniej tak zrozumiiałem...

— Rzeczywiście było krucho. Ale wrócił i myślę, że nic mu nie grozi. — Musi mieć kogoś mocnego w ministerstwie...

— To nie tylko to. Nie wiem, czy temu „mocnemu” opłaciłoby się o niego walczyć, gdyby nie ta anomalia.

— Co za anomalia?

— Ach, prawda, ty nic o tym nie wiesz. Czwartego września wieczorem, chyba w tym samym czasie, w którym u nas wybuchł pożar i wysiadł fuller, jakiś amerykański satelita geofizyczny zarejestrował lokalny wzrost natężenia pola geomagnetycznego, krótkotrwały, ale bardzo silny. I to właśnie w naszym rejonie. Również w Obserwatorium Geofizycznym w Świdrze zaobserwowano w tym czasie bardzo gwałtowną, choć krótkotrwałą burzę magnetyczną. Przypuszcza się, że mogło to spowodować poważne zakłócenia w funkcjonowaniu urządzeń elektrycznych. Zwłaszcza elektroniki. Powstają podobno w takich momentach również warunki sprzyjające wyładowaniom łukowym i tworzeniu się piorunów kulistych. To mogłoby wyjaśnić przyczynę pożaru trafo i szmat w przewodzie wentylacyjnym. Piorun kulisty mógł też przejść przez sterownię i stąd światło. Jeśli zaś tak było rzeczywiście, to winna jest przyroda, a nie człowiek... Właśnie przyjechała do nas cała kupa specjalistów z PAN-u i Politechniki Warszawskiej. Od rana prowadzą badania i rozmowy. Teraz

odbywa się narada. Kabacki chce koniecznie, żebyś był na niej. Zresztą jest to życzenie tej komisji z Warszawy.

— Więc dlatego przyjechałaś po mnie?

— Ależ... Zaproponowałam staremu, że pojedę sama, bo chciałam cię wcześniej zobaczyć... I porozmawiać — zawiesiła znacząco głos. — Są pewne sprawy, które musimy omówić.

— Znowu jakieś kombinacje starego?

— Ależ nie! To ja uznałam, że nasza rozmowa bez świadków jest konieczna. Chodzi o Wotnego...

— Wrócił i znów próbuje rozrabiać? Jeszcze mu mało?

— Nie wrócił. W ogóle nie wiadomo, co się z nim stało. Nikt go od piątego września wieczorem nie widział. To już blisko dwa dni... Jak dotąd milicja nie natrafiła na żaden ślad. Prokurator zdaje się podejrzewać coś, co pozostaje w sprzeczności z tezą komisji o naturalnej przyczynie awarii. Chyba myśli, że Wotnego zamordowano lub uprowadzono. Wotny zostawił marynarkę, wszystkie dokumenty, pieniądze, swój wóz, nawet klucze od samochodu i mieszkania.

— Wiem. Mówił mi o tym prokurator.

— Jeśli w najbliższym czasie nie znajdą Wotnego lub, co gorsza, znajdą go nieżywego... Obawiam się, że możesz być znów przesłuchiwany.

— O co mnie posądżają?

— Z tego, o co pytał mnie prokurator, zdaje się wynikać, że podejrzewa ciebie o ukrywanie kontaktów z człowiekiem, który może mieć coś wspólnego z tym zniknięciem...

— Myślak...

— Właśnie. Pytał mnie o człowieka o tym nazwisku.

— I kazał ci pociągnąć mnie za język — uśmiechnąłem się gorzko.

Potraktowała to jako oskarżenie.

— Ależ co ty pleciesz? Widać jeszcze mało mnie znasz... — powiedziała z zalem. — Zresztą... Ja nic nie chcę wiedzieć o tym człowieku. Chciałam cię tylko ostrzec. No i naradzić się z tobą, co mam mówić.

— Mów prawdę: że nic nie wiesz. Tak będzie najlepiej. Pociesz się, że ja nic z tego nie rozumiem. Tego myślaka nie ja wynalazłem. To pomysł pewnej okultystki.

— Chochołowskiej? — spytała podejrzliwie Baśka. Udałem, że nie słyszałem pytania. Silnik malucha pracował głośno — właśnie wyprzedzaliśmy jakiegoś TIR-a.

— Jeśli Wotnemu rzeczywiście coś się stało... To byłoby straszne... — westchnąłem, przypominając sobie magiczne zabiegi Chochołowskiej. Czas mógł się zgadzać.

Baśka nie wiedziała oczywiście, o czym myślę, lecz potraktowała moje słowa jako wstęp do podzielenia się kłopotami.

— W coś ty się wplątał?

— Żebym, to ja wiedział... — powtórzyłem, już nie wiem który raz. — Jedno mogę przysiąc: nigdy nie chciałem i nie chcę śmierci Wotnego. Chociaż to on rozrobił całą sprawę przed starym, a może nawet bezpośrednio przed prokuratorem. Chociaż rył pode mną, nastawiał przeciw mnie każdego, kogo tylko mógł... Próbował nawet ciebie zrobić, że mnie kryjesz, że złożyłaś fałszywe zeznanie. Ale nie jestem mściwy.

— Jeśli chcesz znać prawdę, po wczorajszym rannym telefonie zaczynam się zastanawiać, czy zrobiłam słusznie... — przerwała mi chłodno.

— O co ci chodzi? Co zrobiłaś?

— No wiesz! — odparła z oburzeniem. — Chodzi o to, co powiedziałam Kabackiemu i

prokuratorowi.

— To znaczy co?

— Że nigdzie nie wychodziłeś w czasie awarii... A co więcej, zaczynam rozumieć Wotnego. To znaczy jego stosunek do ciebie...

— Nie wiem, do czego zmierzasz.

— Do niczego nie zmierzam — przeszła na ton bardziej pojednawczy. — Zastanawiam się tylko, czy to było potrzebne? Prawda, że byłeś wówczas w trudnej sytuacji. Wotny chciał się odegrać, a ja uznałam, że muszę cię ratować. Ale teraz?...

— Co teraz?

— Trzeba wyjaśnić jakoś tę sprawę. Jest okazja. Ta anomalia mogła również spowodować utratę świadomości.

— A jednak do czegoś zmierzasz. Czyżbyś uwierzyła Wotnemu? Jeśli uda mu się wyłgać, że to była halucynacja spowodowana anomalią, to jego sprawa i psychiatrów. Ty się w to nie mieszaj. A jeśli chodzi o prawdę, to przecież w tym samym czasie tyś mnie widziała.

— Nie widziałam.

— Co?

— Nie było cię w nastawni. Jeśli wspomniałam o utracie świadomości, to myślałam o tobie. Jeśli nie pamiętasz, gdzie i dlaczego wyszedłeś...

— Nigdzie nie wychodziłem.

— To nieprawda. Wychodziłeś. A potem, gdy już wróciłeś, byłeś półprzytomny. I fotel był odsunięty. A poza tym nie miałeś róży, którą ci dałam. Musiałeś gdzieś zgubić.

— Po cholere od razu nie powiedziałaś?! — zdenerwowałam się zaskoczony wyznaniem.

Nie wyglądało na to, że kłamie, a po przygodach z myślakiem gotów byłem we wszystko uwierzyć. Ale czułem się zarówno oszukany, jak i oszustem.

Baśka milczała. To ona wydawała się zaskoczona i obrażona, że mam do niej pretensje. Widać był to z jej strony akt samozaparcia i czuła żal do niewdzięcznika.

— Nie gniewaj się — powiedziałem przeproszająco. — Już nie panuję nad nerwami. Wszystko obraca się przeciwko mnie. Byłem pewny, że Wotny kłamie. Odgrażał się, że zrobi mi jakiś świński kawał, że na całe życie zapamiętam. Szycka była świadkiem.

— Szycka... — powtórzyła Baśka z ironią.

— Czego chcesz od niej?

— Niczego. A właściwie chcę. Żeby przestała bawić się w intrygi. I tobie dobrze radzę: strzeż się Szyckiej!

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedziałem oschle. — Rzucasz oskarżenia, bądź więc łaskawa podać fakty.

— Bardzo proszę. Myślisz, że możesz jej zaufać, a ona robi cię w konia. Dała ci lipne zwolnienie chorobowe z polecenia starego. Powiedzmy, że było to i w twoim interesie, aby odwlec rozmowę z prokuratorem. Ale jak tylko prokurator odjechał, stary wezwał do siebie Wotnego, Millera i Palinkę. Naradzali się ponad dwie godziny, pod koniec zaś tej narady Kabacki posłał Tadka po Szycka. Ciebie w ogóle nie szukali i to mówi samo za siebie. Myślę, że stary nie był cię pewny i obawiając się, że powiesz prokuratorowi za wiele, postanowił się zabezpieczyć. Najwygodniej było zrobić z ciebie faceta cierpiącego na zaburzenia psychiczne. Zaburzenia te nagle się ujawniły i to w czasie rozruchu, co ma tłumaczyć rzekome spowodowanie przez ciebie niebezpiecznych zakłóceń w pracy fullera i w rezultacie pożar trafo. To nie są tylko moje domysły. Stary pokazywał mi orzeczenie lekarskie, w którym Szycka pisze, że stwierdziła u ciebie halucynacje wzrokowe i słuchowe.

Wyobrażam sobie, co by jeszcze wymyśliła, gdyby nie ta druga awaria i ucieczka Wotnego. Cały ich plan wziął w łeb. Wczoraj z rana, gdy Kabackiego wezwano do Warszawy, widocznie już wiedziała, że robi się gorąco. Przyszła do mnie i próbowała wywąchać, czy wiem, gdzie jesteś. Dawała mi też do zrozumienia, że jeśli będziesz składał zeznania, nie powinieneś nic mówić o tym, coście robili w przychodni. To mi wystarczyło. Powiedziałam, co myślę o niej i jej orzeczeniu lekarskim, a gdy chciała mi wmawiać, że jest po twojej, a nie Kabackiego stronie, wyrzuciłam ją za drzwi.

— Chyba upadłaś na głowę! Szycka napisała w orzeczeniu prawdę: ja mam halucynacje. Od tamtej pierwszej awarii. Sama zresztą mówiłaś, że wyszedłem z nastawni, a przecież zupełnie tego nie pamiętam. Oskarżasz ją bezpodstawnie. Na pewno nie chciała źle. To robota Wotnego...

— Jesteś naiwny. Słyszałeś chyba o tej historii z docentem Golde. Jeszcze z jej czasów studenckich? Niewiniątko!

— Powtarzasz złośliwe plotki.

— Też myślałam, że to plotki. Ale teraz zaczynam wierzyć. Jeśli nawet nie ona wykończyła faceta, to odegrała w tej aferze bardzo paskudną rolę.

— Nie wierzę. Dlaczego jej tak nienawidzisz?

Nie odpowiedziała. Patrzyła na drogę z obrażoną miną. Postanowiłem przerwać coraz bardziej kłopotliwe milczenie.

— Chciałbym cię o coś zapytać — podjąłem ostrożnie. — Czy jesteś pewna, że ten pisak należał do Wotnego?

— Jaki pisak? — spytała szorstko.

— No ten ołówek, którym wpisywał się minister do książki pamiątkowej. Pisak pozostał w nastawni i ja zabrałem go do domu. Pamiętasz?

— Nie pamiętam — przerwała opryskliwie. A przecież to właśnie ona twierdziła tamtego ranka, że to pisak Wotnego.

— Powiedz mi — zmieniłem temat — czy w ostatnich dniach nie było jakiegoś doniesienia o... UFO? Nie czytałem prasy...

— Co ty pleciesz? Jakie UFO?

— Może ktoś coś widział. W pobliżu zakładów. Ktoś z pracowników.

— Co to znów za bzdury?

Spojrzała na mnie z politowaniem. Uśmiechnąłem się smętnie.

— Oto dowód, że Szycka ma rację. Nawet ty myślisz, że jestem wariatem. A ja spytałem poważnie. Ty nic nie wiesz...

— Wiem. Szycka mi mówiła, że robiliście jakieś zwariowane eksperymenty... I wiem, że spędziłeś noc u tej wariatki Chochołowskiej. Ta baba wydzwania od wczoraj do mnie, do Kamasy, do sekretariatu starego. Mówicie sobie po imieniu...

— Wszystko ci wytłumaczę. To nie jest tak, jak myślisz.

— Nic mnie nie obchodzi, co robiłeś z Szyką i Chochołowską!

Sięgnęła do tablicy rozdzielczej i włączyła radio tak głośno, że nie było mowy o dalszej rozmowie. Oczywiście obrażanie się nie miało żadnego sensu. Bytem wściekły na Baškę, ale także na siebie, że dałem się omotać Chochołowskiej, która teraz opowiada o mnie, komu się da, jakieś niestworzone brednie. Po raz pierwszy też zdałem sobie sprawę, że uczucia, jakie żywi do mnie Niewińska, nie są tylko koleżeńskie czy siostrzane. Była to sytuacja arcygłupia; Na przyjaźni Baški bardzo mi zależało — szczerze lubię tę dziewczynę i nie chciałem, aby przeze mnie cierpiała. Ale przecież nie miało to nic wspólnego z miłością, a zwłaszcza z seksem.

Ta dwuznaczna sytuacja wymagała uczciwego wyjaśnienia, jednak w tej chwili okoliczności nie

sprzyjały takim wyznaniom. Należało przede wszystkim usunąć podstawowe źródło fatalnych nieporozumień — a więc rzetelnie zrelacjonować to, co przeżyłem w ostatnich dniach. Czułem jednocześnie, że muszę trochę odczekać, aż Baškę przestanie ponosić i będzie zdolna do uważnego wysłuchania mojej opowieści.

Nie mogłem zwlekać zbyt długo, jeśli miałem wykorzystać okazję, jaką stwarzało kilkadziesiąt minut podróży. Chociaż więc Niewińska milczała, naburmuszona, po kwadransie ściszyłem muzykę nadawaną przez radio i zacząłem bez zbędnych wstępów opowiadać, kolejno, co mi się przydarzyło, koncentrując się, rzecz jasna, na sprawie myślaka i proroczych wizji.

Przez całą drogę Baška nie odezwała się, ale z wyrazu jej twarzy łatwo było wywnioskować, że tylko niezłomny zamiar dania mi nauki wstrzymuje ją od zadawania pytań i komentarzy. Nie spojrzała też ani razu na mnie, z wyjątkiem krótkiego, ironicznego zmierzenia mnie wzrokiem w chwili, gdy zacząłem mówić o nocy spędzonej u Chochołowskiej, rzecz jasna unikając w miarę możliwości drastyczniejszych szczegółów. Relacja moja była oczywiście bardzo skrótowa, ale i tak nie zdążyłem zrelacjonować swych więziennych przygód.

Baška zawiozła mnie przed wejście do dyrekcji i powiedziała lakonicznie:

— Narada w sali konferencyjnej.

— Chciałbym z tobą koniecznie porozmawiać zaraz po naradzie — oświadczyłem, jak gdyby nic nie zaszło. — Muszę ci opowiedzieć o jeszcze jednym spotkaniu myślaka, tym razem w więzieniu. I o pewnym bardzo ciekawym człowieku, z którym siedziałem w celi... Czy będziesz na naradzie?

— Raczej nie. Wsiadaj! Stałem przy maluchu i chciałem zapytać, gdzie mam jej szukać, lecz już uruchomiła silnik.

— A ten długopis, którym wpisywał się minister, leży u Kabackiego w gabinecie przy księdze pamiątkowej — rzuciła w moją stronę, odjeżdżając na parking.

W sali konferencyjnej było dwadzieścia parę osób, z których ponad połowy nie znałem. Z naszego kierownictwa — Kabacki, Miller, Wesołowski i Palinka, a także trzech inżynierów z wydziałów ruchu i kontroli eksploatacji. Ku memu miłemu zaskoczeniu zauważyłem także Stenię Szycka, siedzącą obok jakiegoś faceta w okularach.

W chwili gdy wchodziłem, przy rozwieszonych na tablicy planszach z odręcznymi wykresami stał tyczkowaty mężczyzna o wyglądzie urzędnika skarbowego. Podobno znany geofizyk, jak się później dowiedziałem, spec od magnetyzmu ziemskiego.

Usiadłem skromnie przy końcu, stołu i chyba nikt nie zwrócił na mnie uwagi, tak wszyscy byli zajęci tym, co mówił geofizyk. Nietrudno było zorientować się, że referował on wnioski wpływające z danych cyfrowych przekazanych przez amerykańskie i radzieckie służby teledetekcyjne, dotyczące nie tylko anomalii z czwartego września, o czym wiedziałem już od Baški, ale również z dnia następnego, podczas której zaginał Wotny. Okazało się, że w ciągu tych dwóch dni nastąpiły aż cztery krótkotrwałe, lecz bardzo silne zaburzenia pola magnetycznego, a szczególnie intensywny przebieg miały w pobliżu, czy może nawet na terenie Rokit. Stwierdzono także pełną ich zbieżność w czasie z nie — sprawnością naszego systemu komputerowego.

Pierwsza seria zaburzeń wystąpiła czwartego września między dwudziestą dwie a dwudziestą pięć. Natężenie pola wzrosło wówczas trzy — krotnie, osiągając wartość tysiąca dwustu, trzystu i stu pięciu erstedów, przy czym odstęp czasu między pierwszym a drugim skokiem wartości wyniósł 2 minuty i 7,4 sekundy, między drugim a trzecim zaś tylko 11,6 sekundy. Pożar trafo wybuchł o dwudziestej trzy.

Niemal dokładnie o tej samej godzinie, w przeliczeniu na czas gwiazdowy, piątego września nastąpił ponowny, czwarty z kolei wzrost natężenia pola magnetycznego. Podobnie jak za pierwszym

razem maksymalne natężenie pola było równe tysiącu dwustu erstedom. Mimo to nie doszło do pożaru trafo, prawdopodobnie dzięki sprawnemu działaniu wyłączników. Fuller zawiódł i nie sporządził dokumentacji zarówno czwartego, jak i piątego września. Tak silne pole mogło — zdaniem geofizyka — spowodować nie tylko wyładowania łukowe w sieci elektrycznej i kłopoty z komputerami. Zaobserwowane zjawiska świetlne towarzyszące awariom zdają się wskazywać na pojawienie się piorunów kulistych w pobliżu instalacji elektrycznych wysokiego napięcia, chociaż nie ma pewności, czy one były przyczyną pożaru.

— Nie należy też chyba wykluczyć — zaznaczył geofizyk — że wzrost natężenia pola do tysiąca dwustu erstedów nie był biologicznie obojętny i w pewnych niekorzystnych warunkach mógł powodować również zaburzenia w funkcjonowaniu układu nerwowego, a w szczególności mózgu. Myślę, że dobrze byłoby zbadać, czy urządzenia zainstalowane w nastawni nie mogą potęgować w jakiś sposób tych negatywnych wpływów. Mogłoby to rzucić pewne światło na zachowanie się inżyniera Wotnego. Co pan o tym sądzi, kolego profesorze? — zwrócił się do faceta siedzącego obok Steni.

— Jeśli idzie o wpływy biologiczne, to byłbym raczej ostrożny — odrzekł zapytany. — Wrażliwość na pole magnetyczne nie rośnie proporcjonalnie do natężenia. Pewne fakty wskazują, że organizmy żywe są szczególnie uczulone na pola słabe, zbliżone wartością do naturalnego pola ziemskiego, a nie reagują lub reagują w niewielkim stopniu na pola silniejsze lub słabsze od ziemskiego.

— To znaczy, wyklucza kolega możliwość zaburzeń świadomości?

— Nie wykluczam, lecz uważam za mało prawdopodobne.

— Poddaję się — geofizyk skłonił się w kierunku rozmówcy. — Nie jestem tu fachowcem. Wracając do zasadniczego tematu, muszę niestety stwierdzić, że brak danych uniemożliwia mi przedstawienie przypuszczalnego kształtu pola tworzącego omawianą anomalię, a także przyczyn jej powstania. Mam nadzieję, że dokładniejsze pomiary magnetyzmu szczątkowego pozwolą określić ten kształt. Jeśli zaś idzie o przyczyny zjawiska, nie wydaje się, aby wchodziły w rachubę czynniki geofizyczne. Raczej trzeba ich szukać na Słońcu lub w dalekim kosmosie. Sugeruje to odstęp dwudziestoczwierogodzinny między zaburzeniami czwartego i piątego września. Mogę się jednak mylić — zastrzegł geofizyk. — To dziedzina kolegi Życkiego.

Siedzący obok Millera łysawy brodacz podniósł się z miejsca i podszedł do tablicy.

— Hipoteza jest pociągająca, ale, niestety, budzi wiele poważnych wątpliwości — powiedział, biorąc do ręki kredę. — Rozważmy najpierw, czy źródłem tak wielkiego, gwałtownego i krótkotrwałego wzrostu natężenia lokalnego pola magnetycznego może być Słońce. Wiemy, że w wyniku rozbłysku słonecznego odrywa się obłok plazmy, w który są „wmrożone” linie sił pola magnetycznego, i to czasem o dużym natężeniu. Taki obłok może w ciągu kilkudziesięciu godzin dotrzeć w pobliże Ziemi i w wyniku zetknięcia się z magnetosferą spowodować nagle, impulsowe jej zaburzenie. Mamy wtedy tak zwaną burzę magnetyczną, której towarzyszą takie spektakularne zjawiska, jak występujące na dużych szerokościach geomagnetycznych zorze polarne i zaniki łączności radiowej.

Uczony narysował na tablicy schematyczny obraz globu ziemskiego i otaczającej go magnetosfery, przedstawiając skrótowo przebieg zjawisk charakterystycznych dla burz magnetycznych, po czym oświadczył:

— Muszę państwa rozczarować, ale z doniesień, jakimi dysponujemy, nie wynika, aby takie zjawiska wystąpiły czwartego i piątego września. Zaburzenia były bardzo silne, ale ściśle lokalne, z nieznacznym tylko oddziaływaniem na magnetosferę. Co więcej, w ostatnich dniach nie było żadnych

doniesień o rozbłyskach na Słońcu, które mogłyby być przyczyną tych zaburzeń. Przede wszystkim jednak dzielący je odstęp jednej doby gwiazdowej wymagałby przyjęcia, że zaszedł wręcz nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

— A gdyby obłoki plazmy pochodziły spoza Układu Słonecznego? — wtrącił geofizyk. — Z tego samego punktu nieba.

— Niewiele nam to daje. Pomijając nawet kwestie, jak takie obłoki przeniknęły przez magnetosferę, nie powodując rozległej burzy magnetycznej, nie potrafię wytłumaczyć precyzyjnego trafienia takich pocisków w ten sam obszar obracającego się globu. Byłby to bardzo dziwny przypadek. Wydaje mi się, że źródła zaburzeń należy szukać na Ziemi i to gdzieś w tym rejonie, a zegar kosmiczny mógł pełnić co najwyżej rolę czynnika wyzwalającego.

Zapowiadała się długa i ożywiona dyskusja, przede wszystkim między gośćmi, którzy czuli się w swoim żywiole. Niestety, większość uczestników narady, a wśród nich również ja sam, nie bardzo mogła się połapać w tych specjalistycznych sporach, orientując się tylko, że jeśli chodzi o przyczyny anomalii, to w dalszym ciągu pozostają one zagadką.

W czasie dyskusji Kabacki zauważył mnie wreszcie i dał mi znak, abym usiadł na wolnym krześle obok niego. Byłem ciekaw, czego chce ode mnie.

— Jest tu jakiś znany profesor medycyny. Radiofizjolog czy neurofizjolog — powiedział do mnie szeptem. — Siedzi tam, koło Szyckiej. Ten w okularach. Chce z tobą porozmawiać. Dobrze by też było, gdybyś zabrał głos w dyskusji. Może masz jakieś pytania?

— Na razie nie. Może trochę później. Jeszcze nie jestem w pełni zoriento... — urwałem w pół słowa. Zatkano mnie.

Na drugim końcu stołu, między Stenią i jakimś młodym naukowcem z brodą, siedział myślak, z uwagą przysłuchując się dyskusji.

Opanowałem się i zapytałem Kabackiego:

— Czy widzisz tego, co siedzi przy Szyckiej?

— No to właśnie ten fizjolog.

— Nie. Chodzi mi o tego po drugiej stronie. Między Szycką a tym młodym z brodą.

Stary popatrzył na mnie podejrzliwie.

— Tam nikt nie siedzi.

Wstałem i poszedłem wolno w kierunku myślaka. Zauważył mnie i uśmiechnął się przyjaźnie, jak stary znajomy. Potem nieznacznym gestem wskazał na drzwi i wstał również z miejsca.

Wszystko to dobiło mnie zupełnie. Stałem sparaliżowany patrząc, jak idzie do wyjścia. W tej samej chwili podniosła się z krzesła Stenia i podeszła do mnie. Musiał ją zaniepokoić wyraz mojej twarzy, gdyż wzięła mnie pod ramię i zapytała z troską:

— Niedobrze panu? Wyjdźmy. Dam panu coś na serce. W sali pałą, jest duszno.

Patrzyłem na nią i widziałem, jak jej twarz otacza niebieskawa mgła.

Zapada mrok, ale widzę twarz Steni tuż przed sobą. Patrzy na mnie roziskrzonym wzrokiem. Jej głowa na poduszce. Rozrzucone włosy... Szyja, ramiona... Piersi... Jest naga. Leży na tapczanie w moim mieszkaniu, a ja nachylam się nad nią... Mój cień przesłania jej twarz... Nie. To znów pojawia się mgła.

— Co panu? — usłyszałem głos Steni.

Staliśmy nadal w sali konferencyjnej.

— Nic, nic. To znów te halucynacje.

Wyszliśmy na korytarz. W głębi, przy drzwiach do hallu, stał myślak i zachowywał się tak, jakby czekał na nas. Poprowadziłem Szycka w jego kierunku, ale ona zdawała się go nie dostrzegać.

— Znów pan zobaczył coś, co ma nastąpić? — chciała się upewnić.

— Chyba tak... — odrzekłem krótko, nie spuszczać oka z myślaka.

Byliśmy nie dalej jak dziesięć metrów od niego, gdy dał mi gestem znak, abym się nie spieszył, i znikł za drzwiami.

— Czego dotyczyło proroctwo? — zapytała Stenia.

Spojrzałem na nią niepewnie. Widać zauważyła moje zmieszanie i to spotęgowało jej ciekawość.

— Nie chce mi pan powiedzieć?

— Nie wiem, czy mogę... — zawahałem się. — Tym razem było to coś, co chciałbym, aby się spełniło. Ale gdy powiem, może się nie spełnić.

— Interesujące.... — popatrzyła na mnie przenikliwie.

Spuściłem oczy.

— Czy ma to jakiś związek ze mną? — spytała domyślnie.

— Być może...

— Nie będę próbowała przeszkodzić.

— Tego nie jestem pewien...

— Przymierzam!

Przypomniała mi się rada Policza.

— Jest wyjście z takiej sytuacji. Spotkałem w więzieniu ciekawego człowieka. Trochę filozof-samouk, trochę oszust. Powiedział mi, że jeśli nawet jakieś nieznane a potężne siły sprzysięgły się, aby kierować mym losem, mogę od czasu do czasu pokrzyżować ich zamiary. Metoda jest prosta: decyzję uzależnić od wyników losowania. W tej chwili stoję wobec alternatywy: powiedzieć pani, czy nie powiedzieć. Oto jest pytanie!

Wyjaśniłem skrótowo zasady losowania, wyjąłem z portmonetki monetę i podałem Szyckiej.

— Niech przez panią przemówi los. A więc: czy mam pani powiedzieć, co widziałem? Proszę rzucać! Dwa razy. Rozejrzała się wokół.

— Gdzie mam rzucać? Chodźmy do hallu. Tam jest stolik.

Spojrzałem na drzwi. Czy losowanie w obecności myślaka miało sens? A jeśli schwyci monetę i położy ją tak, jak uzna za właściwe? Czy potrafię się zorientować? Przecież nie zawsze go widzę, a wiem, że działa. Jak u Chochołowskiej, gdy próbowała spalić pisak. A może i tu jest gdzieś w pobliżu i będzie ingerował w losowanie? System Policza też nie jest niezawodny. Błędne koło...

W hallu myślaka nie było, a przynajmniej tak mi się zdawało. Stenia podeszła do stolika i rzuciła monetę. Wyszła reszka. Za drugim razem był orzeł.

— A więc nie! — obwieściłem z pewną ulgą.

— Szkoda... Ja też miałam wizję. Dziś w nocy. Co prawda był to tylko sen. Śnił mi się pan, panie Adamie. A teraz pomyślałam sobie, że być może jest jakiś związek mego snu z pańską proroczą wizją. To mogłoby być ciekawe...

Wyraźnie próbowała mnie zaintrygować i skłonić do ujawnienia treści widzenia.

— Czy sen był przyjemny? — zapytałem ostrożnie.

Zaśmiała się.

— Trudno powiedzieć. Śnił mi się pan w roli obrońcy. Jakiś facet próbował mnie napastować w łóżku, a pan wyrzucił go przez okno.

— I co?

— Nic. Obudziłam się. Jest jakiś związek?

— Niestety nie.

— Szkoda.

Widać uznała sprawę za zamkniętą, gdyż zapytała:

— Idziemy do ambulatorium, czy wraca pan na salę?

— Nic mi nie jest. Jestem tylko zmęczony. Mało spałem.

— Może zawieźć pana do domu?

— Nie wiem... Kabacki mówił, że jakiś fizjolog chce ze mną rozmawiać.

— Profesor Malicki. Siedział koło mnie. Chce pana wziąć na badania do Warszawy.

— Szczerze mówiąc, mam już dość wszelkich eksperymentów i badań.

— Z tego się chyba pan nie wykręci. Ale mogę powiedzieć, że pan się źle poczuł i umówić was na inny dzień.

Zastanowiłem się, czy nie powiedzieć Szyckiej o myślaku. Jego obecność mogła zapowiadać dla mnie kłopoty. Jak jednak przyjmie ona moją relację? Pamiętałem jej sceptycyzm w czasie eksperymentów ze Stasińskim. Może nabierze przekonania, że cierpię na urojenia przeladowcze, co zresztą mogłoby odpowiadać diagnozie, o której mówiła mi Baśka. Jeśli nawet rzeczywiście napisała coś w tym rodzaju, nie miałem do niej żalu. Sam gotów byłem w to uwierzyć. Dotychczasowe przykre doświadczenia nauczyły mnie jednak ostrożności w zwierzeniach.

Nie byłem w stanie stwierdzić, czy myślakowi zależało na moim spotkaniu z fizjologiem jeszcze tego dnia, czy raczej na powrocie do domu i niedopuszczeniu do tej rozmowy. Argumentów za i przeciw było aż nadto. Pozostawało losowanie.

Rzuciłem na stolik monetę, pytając „wyroczni”, czy mam jechać do domu. Wyszła reszka. Za drugim rzutem jeszcze raz reszka, a potem pod rząd dwa orły i znów dwie reszki. Dopiero w czwartej serii wynik był znaczący: orzeł i reszka.

— Niech mnie pani odwiezie do domu — ogłosiłem werdykt losu. — Gdyby stary naprawdę mnie potrzebował, niech przyśle Tadka. Stenia przyjęta to z pełną aprobatą i zaraz przejęła inicjatywę:

— Niech pan, panie Adamie, poczeka tu, w hallu. Powiem Kabackiemu, żeby nas nie szukał, i jedziemy.

Zostałem sam. Jeśli znaki, jakie dawał mi myślak, miały oznaczać, że chce się ze mną spotkać i porozmawiać, tak aby nie zwróciło to niczyjej uwagi, powinien był zjawić się teraz. Taka perspektywa nie budziła we mnie niepokoju. Byłem spięty i czujny, pełen raczej nerwowego oczekiwania i nadziei na rozwiązanie tak męczącej zagadki niż obaw przed tajemniczym gościem z innego świata.

Nadzieje te okazały się jednak przedwczesne. Po paru minutach wróciła Szycka oświadczając, że wszystko załatwiła pomyślnie.

— Problemy biomedyczne mają być omawiane jutro po południu. Rano ma pan być u profesora Malickiego w Warszawie, na Pasteura. Zwlekają z wnioskami, ciągle jeszcze liczą, że Wotny się odnajdzie. Ma pan więc czas, aby dobrze wypocząć, a przy okazji porozmawiamy o tym i owym...

Nie wiedziałem, co ma na myśli, więc powiedziałem tylko:

— Bardzo mi to odpowiada.

— Warto uporządkować pewne fakty przed jutrzejszą rozmową z Malickim. Pojadę zresztą z panem do Warszawy.

— To wspaniale — ucieszyłem się szczerze. — Trochę się boję tych badań. Nie chcę, żeby zrobiono ze mnie wariata.

— Jest pan, panie Adamie, przypadkiem zupełnie nietypowym.

Na szczęście Malicki to facet z otwartą głową. Będzie też docent Arczyńska. Znam ją dobrze. Prowadziła u nas zajęcia z psychologii doświadczalnej. Myślę, że potrafię się z nimi dogadać.

Chodźmy, panie Adamie! — uśmiechnęła się do mnie w sposób, który sprawiał zawsze, że traciłem głowę.

Tym razem jednak w zachowaniu się Steni wyczuwałem coś więcej niż kokieteryę. Jej stosunek do mnie uległ dość wyraźniej zmianie. Wiązało się to chyba z moimi zdolnościami proroczymi, których była świadkiem w ambulatorium. Jej sceptycyzm został zachwiany i z pewnością dla niej jako lekarza stanowiłem pasjonujący fenomen. Ale w tym jej zainteresowaniu moją osobą była nie tylko ciekawość niedoszłego naukowca i lekarza z powołania. Przypuszczam, że jako mężczyzna nigdy nie byłem jej całkowicie obojętny, choć nie dopuściła ani razu, by nasze wzajemne przejawy sympatii przekroczyły granicę towarzyskiego flirtu. Teraz nie próbowała już prowadzić ze mną tak niegdyś denerwującej mnie gry w kotka i myszkę. Nie byłem już tylko jednym z wielu kolegów, wdzięczących się do niej przy lada okazji. Być może wydarzenia ‘ostatnich dni sprawiły, że wzbudziłem w niej nie tylko zainteresowanie, lecz także pewnego rodzaju podziw. Czy wiązało się z nim pragnienie przeżycia jakiejś niezwyklej, podniecającej przygody? Czy może chęć znalezienia we mnie oparcia i pomocy, jeśli moje przeczucia i wizje, dotyczące jej kłopotów z Wotnym, nie są tylko wytworem mojej chorej wyobraźni?

Znamienne było, że o naszej nocnej rozmowie telefonicznej nie wspomniała ani jednym słowem i wyraźnie starała się „nie słyszeć” uwag o Wotnym. W tej sytuacji zrezygnowałem z zamiaru zapytania jej o to, czy widziała się z nim tuż przed jego ucieczką, oczekując, że prędzej lub później sama mi to wyzna. Starałem się zresztą unikać wszystkiego, co mogłoby wzbudzić w niej nieufność i pozbawić szczególnych względów, którymi zaczęła mnie darzyć, już teraz zupełnie otwarcie.

Miałem co prawda jeszcze dość rozsądku, żeby tę sytuację, tak bardzo odpowiadającą moim pragnieniom, przyjmować z poprawką, że sugeruję się niedawną halucynacją. Treść i sposób formułowania pytań, jakimi zasypywała mnie Stenia w drodze, a potem u mnie w domu, zdawały się jednak potwierdzać zmianę, którą zauważyłem zaraz po powrocie do Rokit.

Pytania dotyczyły głównie mego pobytu w Łodzi i dalszych przejawów moich zdolności jasnowidczych. Okazało się jednak, że krył się za tym przede wszystkim, zamiar wybadania, kim jest Chochołowska i co mnie z nią łączy. Widocznie gadatliwe babsko swymi telefonami musiało zdrowo namącić. Moja sytuacja była tym kłopotliwsza, że nie mogłem przecież zapytać Szyckiej, jakie do niej dotarły wieści o nocy spędzonej z „czarownicą”. Zarówno kłamstwo, jak i prawda mogły pogрузić mnie w oczach Steni. Po paru nieudanych próbach ograniczenia się do ogólników i podjęcia „ciekawszego” tematu, postanowiłem więc zrelacjonować obszernie magiczne praktyki wiedzmy, nocne zaś szaleństwa zamknąć stwierdzeniem, że po wypiciu jakiegoś odurzającego napoju przeżywałem stany ekstatyczne i niewiele pamiętam z tego, co się ze mną działo.

Stenia zdawała się nie wątpić w prawdziwość moich opowieści chyba uznała, że zasługuję raczej na współczucie niż potępienie. Powiedziała nawet, że czuje się w pewnym stopniu winna wydania mnie na łup hipnotyzerów, magików i psychopatek.

— Ani pani, ani Stasiński nie jesteście tu niczemu winni. Wszystko, co mi się przydarzyło, musiało się wydarzyć — stwierdziłem melancholijnie. — Nie wiem, jaka siła mną kieruje, ale że działa w sposób planowy i konsekwentny, są na to niezbite dowody. Choćby wskazanie mi drogi na zebranie parapsychologów. Adresu Rawika nie znałem. Redaktor Malinowska próbowała to tłumaczyć telepatią, lecz później, w więzieniu, wydarzyło się coś podobnego, czego telepatią wyjaśnić chyba nie można.

Opowiedziałem Szyckiej, w jaki sposób odkryłem nazwisko odbiorcy przemytu, wspominając przy okazji o pomysle Policza z toto — lotkiem. Możliwości praktycznego wykorzystania moich talentów wieszczych zainteresowały zresztą Stenię chyba jeszcze bardziej niż moje łódzkie przygody,

gdyż wracała do tej sprawy parokrotnie, chociaż w sposób bardzo oględny i pełen taktu.

Muszę przyznać, że unikała zarówno okazywania sceptycyzmu, jak i egzaltacji, traktując każdą moją relację z powagą. Rozmawialiśmy chyba ze dwie godziny, ale ciągle jeszcze nie zdecydowałem się powiedzieć jej o myślaku. Zbyt dobrze czułem się w roli niezwyklego, lecz normalnego człowieka, aby budzić w niej podejrzenia, iż cierpię na jakąś chorobę psychiczną. Poprosiłem jednak, aby stwierdziła, czy nie występują u mnie jakieś zaburzenia w odbiorze wrażeń zmysłowych.

— Niczego niepokojącego nie zauważyłam — oświadczyła po badaniu. — Moim zdaniem jest pan zupełnie zdrowy, tylko trochę przemęczony. Radzę wziąć prysznic i trochę się przespać, a ja pojedę i przywiozę coś do zjedzenia. Ja też już jestem głodna, więc proponuję, żebyśmy zjedli razem kolację i zastanowili się, co pan jutro ma powiedzieć Malickiemu i Arczyńskiej.

Byłem, rzecz jasna, zachwycona propozycją i ściśle zastosowałem się do „wskazań lekarskich”. Gdy wyszedłem z łazienki, mój tapczan był przygotowany do spania, a Steni już nie było. Włączyłem radio i nastawiwszy na cichą muzykę, położyłem się na tapczanie. Musiałem być rzeczywiście bardzo zmęczony, gdyż natychmiast zasnąłem.

Miałem dziwny sen. Początku zupełnie nie pamiętam. Co najwyżej jakieś mgliste, rwące się, pozbawione logicznego związku zbitki obrazów, zacierające się w pamięci natychmiast po przebudzeniu. Potem jakby się coś zmieniło lub może pamięć moja lepiej utrwaliła treść sennego majaka. Zapamiętałem nie wszystko, a nawet można by powiedzieć, że niezbyt wiele szczegółów, ale wiem z całą pewnością, iż pierwszy epizod był dość wierną reminiscencją chwil poprzedzających bezpośrednio awarię fullera czwartego września.

Drugi epizod, który pojawił się zaraz po pierwszym, zapamiętałem nieco lepiej. Był on po części powtórzeniem wizji przeżytej w transie hipnotycznym wywołanym przez Stasińskiego, po części zaś jak gdyby rozwinięcie tego, co zeznał Danecki. Wnętrze centralnej nastawni widziałem jakby zza oszklonej ściany lub drzwi prowadzących na galerię, biegnącą półkolem za sterownią. Drzwi ani ściany jednak nie było, a ja siedziałem w swym fotelu obrotowym w jakimś pustym, białym pomieszczeniu.

W nastawni przy pulpicie, obok podobnego jak mój fotela, kuczał Wotny i podnosił z podłogi coś białego. Wokół niego, w promieniu około dwóch metrów, jarzył się świetlisty krąg. Wotny dostrzegł także to niezwykle zjawisko, podskoczył jak oparzony i rzucił się w moim kierunku. Wyglądał przedziwnie: włosy stały mu dęba, całą postać otaczała niebieskawa aureola. Kiedy się zorientował, że jest nie za drzwiami, lecz w jakimś nie znanym mu pomieszczeniu i zobaczył mnie — wpadł w panikę. Chyba chciał wrócić do nastawni, gdyż cofnął się gwałtownie, ale w tej właśnie chwili ogarnęły nas nieprzeniknione ciemności.

Jak długo trwały — nie wiem. Gdy znów wróciło światło — nastawni już nie było. Zamiast niej ujrzałem secesyjny salonik, ten sam, który widziałem w transie hipnotycznym. Wotny leżał nieruchomo na podłodze, a nad nim pochylał się mężczyzna w zielonym smokingu.

Wstałem z fotela i poczułem nagły zawrót głowy. Ściany pokoju obracały się jak karuzela. Wotny gdzieś zniknął, tam zaś, gdzie leżał przed chwilą, zobaczyłem białą kopertę. Nachyliłem się, aby ją podnieść, i znów wszystko zawirowało mi przed oczami. Chyba opadłem na podsunięty mi fotel. Ktoś mi coś wcisnął do ręki... Potem nastąpił oślepiający błysk i ogarnęła mnie ciemność.

Trzeci i ostatni epizod był najdłuższy, a mimo to najlepiej go zapamiętałem. Przeżywane wydarzenia odczuwałem tak realistycznie i tak dokładnie zapisały się w mojej pamięci, że chyba nie mógł to być tylko majak senny. Gdyby nie przebudzenie na własnym tapczanie, gotów byłbym przysiąc, że wszystko to w tym czasie działo się naprawdę.

Zaczęło się jakby od kontynuacji epizodu drugiego. Wotny leżał na podłodze, tyle że już nie w secesyjnym saloniku, lecz w naszej centralnej nastawni, tuż obok pulpitu fullera. Widok nieruchomo leżącego ciała nie budził jednak we mnie niepokoju ani nawet większego zainteresowania. Nie byłem z pewnością w pełni przytomny i chyba odczuwałem zawroty głowy, gdyż chwilami miałem wrażenie, że podłoga sterowni kołysze się jak pokład jachtu.

Wstałem z fotela i chwiejąc się na nogach, podszedłem do fullera.

Stał tam drugi fotel obrotowy i to mnie uderzyło, ale nie chciało mi się nad tym łamać głowy.

Spojrzałem na ekrany monitorów. Zastanowiła mnie ich martwota. Nie była to, jak i poprzednio, w pełni świadoma konstatacja, lecz tylko niemal instynktowne stwierdzenie braku jakiegoś elementu w dobrze znanym obrazie. Zdawałem sobie sprawę, że coś się wydarzyło, ale nie byłem zdolny do najprostszego rozumowania logicznego. Myślenie przychodziło mi z trudem, jak w stanie odurzenia alkoholowego. Czułem w głowie pustkę i nie potrafiłem jej wypełnić żadnym konkretnym wspomnieniem zdarzeń bezpośrednio poprzedzających ten stan.

— Dobrze, że jesteś — usłyszałem za sobą znajomy głos.

W drzwiach na galeriowe przejście zobaczyłem Baškę. Szła szybko w moją stronę, mówiąc coś o jakimś wylądowaniu i fullercie, że wysiadł... I że „znów to samo”, ale na szczęście nic poważnego, choć „wyglądało groźnie”.

Zatrzymała się przede mną i wciąż jeszcze mówiła, to o telefonie przy pulpicie, że ogłuchł i musiała dzwonić od Mariańskiego, to znów coś o „czwórce” i wyłącznikach, że sprawne... Była wyraźnie czymś bardzo podniecona, a ja, chociaż niby rozumiałem każde słowo, ciągle nie wiedziałem, o co chodzi.

Wszystko było jakieś dziwne. Widziałem, jak Baška wyciąga do mnie rękę i wyjmuję z mojej dłoni czerwoną różyczkę, która nie wiem, skąd się tam wzięła. Uśmiechnęła się do mnie, powąchała różę i patrząc mi w oczy, powiedziała cicho:

— Już się nie gniewam. Miałaś rację... A ja jestem głupia.

Ujrzałem twarz Baški tuż przy mojej i uczułem muśnięcie jej warg na policzku. Było w tym coś tak nieoczekiwane miłego, że zapragnąłem natychmiast odwzajemnić się dziewczynie. Objąłem ją i przytuliłem mocno. Usta nasze spotkały się, lecz niemal w tym samym momencie odezwał się bucsek.

— Fuller działa! — zawołała Baška, wyzwalając się z moich objęć.

Skoczyła do pulpitu, przebiegła palcami po klawiaturze i nagle znieruchomiała.

— O, rany, Wotny? — usłyszałem jej okrzyk.

Podeszła do leżącego i klękawszy przyłożyła ucho do jego piersi.

— Żyje! Jest tylko nieprzytomny — stwierdziła z ulgą. — Przynieś wody! — zwróciła się do mnie. — Albo lepiej ja pójdę, a ty pilnuj pulpitu.

Wybiegła z nastawni, a ja stałem i patrzyłem na Wotnego, na próżno starając się zrozumieć, co się dzieje. Mój umysł zaczynał już chyba działać nieco sprawniej, gdyż po chwili przypominałem sobie polecenie Baški i zająłem się fullercem. Nie było z nim zresztą większych kłopotów i wyświetlana na monitorach informacja wskazywała, że wszystkie bloki pracują normalnie. Nadchodziły też współrzędne stanu z „czwórki”, której rozruch pozostawał jednak nadal białą plamą w mojej pamięci.

Na pulpicie leżała różyczka, którą darowałem Bašce. Dlaczego ją przyniosłem, gdzie kupiłem, czy zerwałem, tego nie mogłem sobie przypomnieć. Odczuwałem tylko niejasne wrażenie, iż zanim dostrzegłem kwiat w swojej dłoni, gdzieś już go musiałem widzieć.

Wotny poruszył się i jęknął. Podeszedłem do niego. Uniósł głowę i wodził błędnym wzrokiem wokoło. Zrobił ruch, jakby chciał się podnieść, więc nachyliłem się nad nim, aby mu pomóc. I chyba dopiero wtedy mnie zobaczył. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, a potem strach. Wyciągnąłem do niego rękę, lecz cofnął się gwałtownie i w panicznym lęku próbował zerwać się z podłogi. Nie był jednak w stanie utrzymać się na nogach i gdybym go nie osłonił, na pewno rozbiłby sobie głowę o krawędź pulpitu. Ale to moja interwencja spotęgowała jeszcze przerażenie Wotnego. Z rozpaczliwym, nieludzkim krzykiem odepchnął mnie i upadł na podłogę, chyba znów tracąc przytomność.

W tym właśnie momencie musiała wrócić do nastawni Baška, gdyż nagle pojawiła się między

mną a Wotnym.

— Coś ty mu zrobił?

Patrzyłem na nią zaskoczony.

— Ja? Nic mu nie zrobiłem.

Baśka nachyliła się nad Wotnym i przyniesioną, w kubku wodą próbowała go ocucić.

— Co tu zaszło między wami?

— Nie wiem... — odpowiedziałem, szukając bezskutecznie w pamięci jakiegoś wyjaśnienia. —

On się mnie boi. Dlaczego?

Wotny coś krótko wybełkotał. Leżał nadal z zamkniętymi oczami, a z jego ust wydobywało się raz po raz ciche westchnienie.

Baśka podeszła do fotela przy pulpicie i wzięła zawieszoną na nim torbę.

— Weź malucha i jedź do domu — zdecydowała, wyjmując z torby kluczyki. — Niech cię lepiej Wotny nie widzi. Zawiadomiłam pogotowie. Powinni zaraz przyjechać. Dzwoniłam też do Szyckiej, ale telefon milczy. Pewno włóczy się gdzieś z tymi z Warszawy.

Znów nie rozumiałem, o czym mówi.

— No, idź już! — ponagliła, wciskając mi do ręki kluczyki. — Jak skończę dyżur, przyjadę do ciebie i zabiorę wóz.

Zszedłem na dół. Noc była ciepła i pogodna. Wsiadłem do stojącego na parkingu malucha Baśki i pojechałem.

Zaparkowałem przed domem, obok latarni. Kilkanaście metrów dalej stała żółta skoda, taka sama, jaką jeździła Szycka. Idąc po schodach, żałowałem, że nie sprawdziłem numeru — może naprawdę był to samochód Steni?

Zza drzwi mego mieszkania dochodziła przytłumiona muzyka. Pomyślałem, że znów musiałem zostawić włączone radio. Wyjąłem klucze otworzyłem. Po ciemku przeszedłem przez przedpokój i pchnąłem Uchylone drzwi. Radio na biurku było rzeczywiście włączone. Sięgnąłem do kontaktu i zapaliłem światło.

W pierwszym momencie przebiegło mi przez głowę, że musiałem się pomylić i wejść do cudzego mieszkania. Na tapczanie leżały dwa nagie ciała splecione uściskiem. Ale to było moje mieszkanie, mój tapczan, meble, książki...

Wobec tego — skąd ci ludzie? Kasztanowate włosy kobiety były mi dziwnie znajome. Całujący ją mężczyzna uniósł głowę, odsłaniając jej twarz. Natychmiast poznałem: to była Stenia! Z kim? Z Wotnym? Zmusił ją. Coś o niej wiedział... Może szantażował?...

Mężczyzna, zaskoczony światłem, jeszcze wyżej uniósł głowę... To co zobaczyłem, było absurdem. To byłem ja. Moja twarz, na której malowało się zaskoczenie i przestrah!

Ale przecież tamten człowiek nie mógł być mną. Ja stałem nadal w drzwiach, nadal moje palce dotykały kontaktu. Sobowtór? Chciałem podejść do tapczana, aby sprawdzić, czy to nie złudzenie, lecz zaledwie po dwóch krokach ostry ból przeszył mi mózg. Ogarnięty panicznym strachem cofnąłem się gwałtownie i sam nie wiem dlaczego, rzuciłem się do ucieczki.

Biegłem, a w głowie czułem coraz większy zamęt. Schody, chodnik przed domem, latarnia ze stojącym pod nią maluchem, gwałtowne szukanie kluczyków, wreszcie ulica w osiedlu i droga widziana w świetle reflektorów — wszystko traciło coraz bardziej realne kształty, przypominając gorączkowy majak senny. Szum silnika przeistoczony w jęk tysiąca syren alarmowych wibrował gdzieś pod czaszką, aby zmienić się wreszcie w uparty dźwięk dzwonka u drzwi.

Otworzyłem oczy z ogromną ulgą. Była noc. Przez nie zasłonięte okno padało światło lampy ulicznej. Leżałem na tapczanie, a dzwonek nadal terkotał.

Wstałem i zapaliwszy światło poszedłem otworzyć. Przed drzwiami stała Stenia z wypchaną zakupami siatką. W czarnych spodniach i czerwonym sweterku wyglądała jeszcze piękniej niż w czasie narady.

— Spał pan?

— Właśnie...

— Ma pan mocny sen. Dzwonię od dziesięciu minut. Już zaczęłam się niepokoić. Czuje się pan dobrze?

— Chyba tak.

— Ma pan wątpliwości? — zapytała, zatrzymując się w drzwiach do kuchni.

— Miałem koszmary sen.

— Niech pan opowie. Symbolika marzeń sennych to klucz do podświadomości. Transformacja marzeń i obaw skrywanych przed samym sobą.

Weszła do kuchni i postawiła siatkę na stoliku.

— Śniło mi się, że Wotny się odnalazł — powiedziałem, stając w progu.

— Rzeczywiście koszmary sen! — skomentowała kpiąco.

— Ależ nie dlatego! Chodzi o to, że Wotny zachowywał się jak obłąkany i nie mogłem sobie z nim poradzić. Bał się mnie, a ja nie wiedziałem dlaczego. W ogóle nic nie mogłem sobie przypomnieć. Tak jakbym stracił pamięć. A najgorsze, że i mnie później ogarnął lęk. Zobaczyłem swego sobowtóra i uciekłem przed nim...

— Ciekawe... — zastanawiała się chwilę. — Czy we śnie występowały też inne osoby?

Zawahałem się, czy powiedzieć całą prawdę. Musiałem mieć niewyraźną minę, gdyż Szycka natychmiast się zorientowała, że próbuję coś ukryć.

— Proszę powiedzieć wszystko szczerze, jak lekarzowi!

— Była tam również Baśka Niewińska i pani, Steniu...

— Konkretnie. W jakich okolicznościach? To bardzo ważne dla rozszyfrowania symboliki.

— Panią widziałem z tym sobowtorem. W sytuacji... — szukałem oględnego określenia — niedwuznacznej. Tylko się uśmiechnęła i powiedziała:

— Rozumiem. A Niewińska?

— Była ze mną. I Wotnym. Szukała pani, dzwoniła po pogotowie... Przyniosła wodę, żeby ocucić Wotnego...

— A jaki był jej stosunek do pana?

— Bardzo serdeczny. Koleżeński, jak zwykle... — odrzekłem, usiłując nie okazać zmieszania.

— Co to znaczy „jak zwykle”? — popatrzyła na mnie przenikliwie. — Nie wydaje mi się, aby jej stosunek do pana, panie Adamie, był czysto koleżeński. Czy ujawniło się to w jakiś sposób również w treści tego snu?

— W pewnym stopniu. Ale nic szczególnego. Po prostu pocałowała mnie.

— A pan?

— Ja również. Ale to był po prostu przyjacielski, nic nie znaczący pocałunek.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Nic nie znaczący? — odparła gniewnie. — W symbolice marzeń sennych wszystko może mieć znaczenie. Już to wykazał Freud. Czy pamięta pan, co poprzedziło ten pocałunek?

Pomyślałem, że jeśli powiem o róży, będzie się domyślała Bóg wie czego.

— Nie pamiętam — skłamałem i chcąc osłabić jej podejrzliwość, dodałem z pełną szczerością: — Bardzo lubię Niewińska, jest dobrym kumplem, ale nic poza tym. Nie jest z pewnością dziewczyną moich marzeń. A jeśli chodzi o pocałunek, to może być on również symbolem

pojednania. Pokłóciłem się z nią dziś rano i czuję się trochę winny. A dziewczynę moich marzeń zna pani dobrze...

Nie podjęła tematu, lecz cel chyba został osiągnięty. Popatrzyła na mnie cieplej, sięgnęła do siatki i wyjęła butelkę wermutu.

— Otwórz, inżynierze! Bądź mężczyzną — podała mi butelkę. — Ja przygotuję kolację. A może masz jakąś słodką wódkę? — przeszła gładko na ty.

— Jest cherry–brandy.

— Świetnie! Chętnie napiję się czegoś mocniejszego. Mamy sporo spraw do omówienia. A gdybym się upiła, odprowadzisz mnie do domu.

Byłem zaskoczony propozycją i w pierwszej chwili nie wiedziałem, jak się zachować. Chociaż swoboda i koleżeńska bezceremonialność, z jaką zaczęła się do mnie odnosić, bardzo mi odpowiadała, znałem Stenię dostatecznie długo, aby podejrzewać, że kryje się za tym jakaś nowa zabawa w kotka i myszkę, a co najmniej zamiar wystawienia mnie na próbę.

Ale jeśli nawet tak było, nie potrafiłem i nie chciałem narzucić innych reguł gry. Stenia była po prostu sobą i taką ją kochałem, razem z jej kocim charakterem i niemożliwymi do przewidzenia zagraniami. Teraz, gdy się już otrząsałem z koszmarnego snu, znów znalazłem się całkowicie pod jej urokiem. Była tak ładna i zgrabna, tyle było w niej dziewczęcego wdzięku, a zarazem kobiecej dojrzałości, że nie mogłem oderwać od niej wzroku, asystując jej również cały czas w kuchni.

Kolacja smakowała mi ogromnie. Pierwszy raz Stenia zaprezentowała przy mnie swe umiejętności kulinarne i byłem nie tylko zachwycony, lecz i zaskoczony jej pomysłowością. Wbrew zapowiedzi wypiła niewiele — zaledwie kieliszek cherry i trochę wermutu z wodą sodową. W tej sytuacji i ja zachowałem dużą wstrzeźliwość i dyskusja, dotycząca mojej jutrzejszej wizyty na Pasteura, przebiegała na trzeźwo. Niestety, poza ogólnym zaleceniem, aby w rozmowach z naukowcami Okazywać sceptycyzm wobec własnych przeżyć transowych i przyjmować bez sprzeciwu proponowane przez nich interpretacje, do żadnych konkretnych wniosków nie doszliśmy i uznaliśmy oboje sprawę za wyczerpaną. Zagadki myślaka w ogóle nie ruszałem, gdyż nie pasowała ona zupełnie do proponowanego przez Stenię mego „modelu osobowości”.

Wróciłem natomiast do sprawy, która w dalszym ciągu nie dawała mi spokoju: symboliki dziwnego snu. Sprawa ta pasjonowała również Szycka, gdyż oświadczyła, że chętnie podejmie się jego wykładni, prosiła tylko, abym jeszcze raz, tym razem możliwie szczegółowo i w porządku chronologicznym, opowiedział jej, co mi się śniło. Gdy skończyłem, miała już najwidoczniej gotową koncepcję, bo natychmiast przystąpiła do „wykładu”.

— Interpretacja tylko na pozór wydaje się łatwa — zastrzegła na wstępie. — Oczywiście, można dopatrywać się w tym, co opowiedziałeś, prymitywnie prostej symboliki czy wręcz naturalistycznych transpozycji konkretnych pragnień i obaw na obrazy widziane we śnie, ale byłoby to wulgaryzacją zagadnienia. Zgadzam się z tobą, że twoja sprzeczka z Niewińska i chęć pogodzenia się z nią mogła odbić się na treści marzenia sennego, lecz to zaledwie pierwszy hipotetyczny punkt zaczepienia dla analizy. Pojednanie we śnie niekoniecznie musi oznaczać dążenie do zgody. Może być wyrazem kapitulacji albo konsensu pozornego. Pocałunek bywa czasem judaszowy. A więc symbolizować dążenie nie do pojednania, lecz odwrotnie: podświadomą przed nim obawę.

Wyraźnie czułem, że próbuje tendencyjnie naciągnąć wykładnię.

— To wykluczone — zaoponowałem. — Ja naprawdę chcę się pogodzić z Niewińską.

— Nie wiem. Może podświadomie tego nie chcesz. O co się pokłóciliście?

— O ciebie. Jest chyba zazdrosna.

— Nietrudno zauważyć. Mnie też zrobiła awanturę. Jakieś dziwaczne zarzuty...

— Wiem. Wspomniała mi o tym. Ale ja ci wierzę, że nie chciałaś mi szkodzić.

— Mam nadzieję. Chciałam jak najlepiej. No, ale w ten sposób mamy klucz do całej sprawy. W treści twojego snu są wyraźne przejawy ambiwalencji. Chciałbyś i nie chciałbyś pojednania z Niewińska. Cenisz sobie wysoko jej koleżeństwo, a może nawet przyjaźń, jesteś szlachetny i nie chcesz robić jej przykrości, uważasz wzajemne gniewy za non — sens, ale jednocześnie podświadomie zaczynasz się jej bać. Czujesz, że opętana zazdrością może być niebezpieczna. Nie mówiąc już o tym, że mężczyźni bardzo nie lubią, gdy niekochane kobiety narzucają się ze swymi uczuciami. Pojednanie może wzbudzić złudne nadzieje, a tego nie chcesz. Czy w tej kłótni chodziło tylko o mnie?

— Nie tylko. Także o Chochołowską, no wiesz, o tę czarownicę.

— No tak... Po tym, co ta Chochołowska naplotła, wcale Niewińskiej się nie dziwię.

— Ależ naprawdę nic mnie z nią nie wiąże!

— Uwierzyłeś w jej magiczne praktyki. Podświadomie czujesz się winny zniknięcia Wotnego. Zastanówmy się, co w tym świetle oznacza jego odnalezienie. Najłatwiej byłoby przyjąć, że próbujesz w ten sposób uwolnić się od poczucia winy. Rozładować tworzący się już kompleks. Ale byłoby to zbyt proste. Myślę, że i tu występuje ambiwalencja. Chcesz i nie chcesz, aby Wotny wrócił do świata. Dlatego we śnie wrócił, ale jako psychicznie chory, wymagający leczenia, izolacji, a więc w istocie nie wrócił.

— A to, że Niewińska próbowała go ocucić?

— Znaczyłoby to, że podejrzewasz Niewińska o sprzyjanie Wotnemu. Albo przynajmniej szukasz motywacji do ochłodzenia z nią stosunków. Podobnie można wyjaśnić epizod z odesłaniem cię do domu. Mamy tu spełnienie twoich marzeń, oczywiście w sposób symboliczny: chcesz, aby wasze drogi się rozeszły, ale z jej, a nie z twojej inicjatywy.

Pierwszy raz w życiu spotkałem się z tego rodzaju wykładnią snu i chwilami wydawała mi się naciągnięta i sztuczna, to znów zastanawiająco logiczna i trafna. Co do jednego byłem całkowicie przekonany: szok, jakim było dla mnie stwierdzenie Baški, że Wotny mówił prawdę — nie zastali mnie w sterowni — mógł wywrzeć istotny wpływ na treść majaczeń sennych. Ale o tym wolałem na razie Steni nie wspominać. Najbardziej jednak intrygowało mnie, jak zinterpretuje ona ostatni epizod snu, zwłaszcza że to, co powie, powinno wyjaśnić, czy mam u niej jakiegokolwiek szansę. Zapytałem, oczywiście w sposób dość ostrożny, co sądzi o spotkaniu we śnie sobowtóra. Po pierwszych jej słowach poczułem się trochę nieswojo.

— Niestety, wygląda mi to na sen neurotyka — powiedziała takim tonem, jakby chciała mnie przygotować na najgorsze. — Musisz się leczyć. Ty i twój sobowtór to upostaciowione dwie różne części twojej osobowości. Jedna z nich znajduje się w sytuacji symbolizującej spełnienie jej życzeń, druga występuje przeciw nim. A więc i ta część snu wyraża walkę między sprzecznymi pragnieniami, czyli konflikt psychiczny. Tym razem jednak to sprawa poważniejsza. Rzecz idzie o zaspokojenie popędu seksualnego. A jeśli wierzyć Freudowi, kiedy ludziom odbiera się możliwość zaspokojenie swego libido, popadają w nerwicę. Twoja ucieczka przed samym sobą może mieć zresztą bardzo złożone podłoże. Zastanówmy się, czy nie chodzi tu o kompleks Edypa. Może podświadomie łączysz matkę z kochanką, a na rywala Wotnego przelewasz zazdrość o ojca?

— Nonsens!

— Ucieczka przed sobowtorem byłaby wówczas symbolicznym odbiciem podświadomych obaw przed kazirodstwem...

Mówiła te okropności spokojnie, z lekarską powagą i troską, jakby nie dostrzegając, że słowa jej — budzą we mnie coraz większą nieufność i bunt. Milczałem, rozpaczliwie szukając

kontrargumentów. I właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że Szycka przypomina trochę moją matkę, kiedy była młoda i poczułem jeszcze większy chaos w głowie.

— Ty chyba sama w to nie wierzysz? — zapytałem wreszcie błagalnym tonem. Na nic więcej nie było mnie stać.

Spojrzała na mnie jakoś dziwnie i nagle wybuchnęła śmiechem, bardzo zresztą naturalnym i pozbawionym wszelkiej złośliwości. Jak kilkunastoletnia pannica po udanym kawale. Czy mógłbym się na nią gniewać?

— Więc to wszystko były żarty?! — ucieszyłem się szczerze. Spoważniała natychmiast.

— To nie były żarty. Śmiałam się, bo miałeś tak przerażoną minę...

— Więc to prawda, co mówiłaś o tych kompleksach? — przerwałem jej chłodno.

— Niepotrzebnie aż tak się przejmujesz — rozpoczęła i urwała. Światło zamigotało i przygasło na dłuższą chwilę. Spojrzałem okno. Refleks ulicznej latarni na fircy też chyba ściemniał, ale za — wszystko wróciło do normy.

— Co to było? — spytała Stenia.

— Spadek napięcia. Więc jak z tymi kompleksami? — ponowiłem pytanie.

— No cóż... Chciałaś wiedzieć, jak można wytłumaczyć twój sen, więc próbowałam dać ci wykładnię psychoanalityczną. To, że niektóre interpretacje cię szokują, wynika oczywiście stąd, że kazirodztwo jest w naszym kręgu kulturowym bardzo ostro potępiane. Ale w tym jeszcze nie ma niczego złego. Problem zaczyna się wówczas, gdy obawa przed popełnieniem kazirodztwa, i to niekoniecznie fizycznego, lecz choćby tylko myślowego, staje się źródłem konfliktu wewnętrznego mogącego powodować nerwicę. W tej fazie zresztą może już w istocie nie chodzić wcale o rodziców. Kazirodcza miłość lub wrogość ulegają nierzadko przeniesieniu na kogoś innego, stającego się jak gdyby obrazem matki lub ojca. Uświadomienie choremu rzeczywistej sytuacji i mechanizmów psychicznych tu działających ułatwia rozładowanie konfliktu i wyleczenie z nerwicy. A to uświadomienie wymaga właśnie sięgnięcia do najbardziej drastycznych wyobrażeń spychanych do podświadomości. Chory broni się rozpaczliwie przed uświadomieniem sobie rzeczywistych przyczyn nerwicy. A tak naprawdę cały ten kompleks Edypa nie jest czymś strasznym. Co więcej, zdaniem Freuda to, co nazywamy sumieniem, powstało genetycznie właśnie z tego kompleksu.

— Ale czy to, co wyczytałaś z mojego snu, może być prawdą? Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Może prawda, a może nieprawda...

— Nie rozumiem.

— Naukowe czy pseudonaukowe teorie, odkrywane prawa, autorytatywne interpretacje i diagnozy tyleż są warte, ile przynoszą praktycznych korzyści... Muszę ci się przyznać, że już dawno przestałam wierzyć wszelkim autorytetom i głoszonym przez nich prawdom. Życie nauczyło mnie, że nie można nikomu ani niczemu ufać. O wszystkim decyduje interes własny, mniej lub bardziej ukryty, a ściślej: subiektywne, czasem zresztą mylne, wyobrażenie oczekiwanych korzyści. Rzecz jasna nie zawsze chodzi o proste korzyści materialne, o pieniądze i wygodne życie, o karierę, o władzę. Bywa i bezinteresowna zawiść, ślepa nienawiść, fanatyczna wiara w swą misję, ale to już patologia.

— Mówisz, że w nic nie wierzysz. A miłość?

— Miłość? — uśmiechnęła się blado. — Kiedyś w nią wierzyłam... I drogo mnie to kosztowało.

— Ja cię kocham. Wiesz przecież.

— Już mi nieraz to mówiono. Chcesz iść ze mną do łóżka?

— Ależ...

— Chcesz, czy nie chcesz? — zapytała poważnym tonem, ale w jej oczach dostrzegłem rozbawienie.

Zdecydowałem się postawić sprawę jasno.

— Chcę, ale nie tylko o to mi chodzi. Miłość to nie jest tylko seks.

— I to również kiedyś mi mówiono... — powiedziała z sarkazmem. — Dokładnie jednaście lat temu! Nie jesteś pierwszy.

— Po co mi to mówisz? Ja cię naprawdę kocham, ciebie jedną. Chyba po raz pierwszy czuję, co to prawdziwa miłość. Jeśli cię kiedyś jakiś łajdak oszukał, czy koniecznie musisz mścić się na mnie? Zasugerowałaś się tym cholernym snem...

— Nigdy nie mów o nim „łajdak”! — przerwała mi z gniewem. — Pamiętaj! Nigdy!

Ten nagły wybuch złości zdziwił mnie, ale i zaniepokoił. —

— Kochasz go jeszcze? — zapytałem ze współczuciem.

— Nie! — ucięła ostro. — Dziś jest z pewnością łysym, brzuchatym, starzejącym się facetem, robiącym pieniądze na klimakterycznych neurasteniczkach. Ale to nie on był łajdakiem, chociaż tak właśnie o nim napisała pewna szmatława gazeta.

— Teraz już nic nie rozumiem. O kim ty mówisz?

— Słyszałeś chyba o wykończeniu Goldego. Twoja Baśka raczyła mi i to wypomnieć... Kiedy powiedziałaś „łajdak”, pomyślałam sobie: albo udajesz, że nie wiesz, o co chodzi, albo próbujesz sprawdzić, jak zareaguję. I zareagowałam. Zadowolony jesteś?

— Ależ ja niczego innego nie miałem na myśli jak tylko to, co powiedziałem. Prawda, że słyszałem o tobie różne plotki, ale nie traktowałem ich poważnie. Niewińska również, przynajmniej do niedawna.

— Ale teraz myśli inaczej.

— Coś jej odbiło...

Spojrzała na mnie trochę łagodniej.

— Mniejsza o to — powiedziała już zupełnie spokojnie. — Możesz mi wierzyć lub nie, lecz to było zupełnie inaczej. Inaczej niż w tych wszystkich pomyjach, które na mnie i na Goldego ciągle, jak widać, próbuje się wylewać. I w tych, w których jestem dziwką i „wykańczarką”, i w tych, robiących ze mnie ofiarę zbrodni. Bo niekiedy i taką wersję możesz usłyszeć.

Potrafiła panować nad sobą i tylko z rzadka pozwalała sobie na słowa goryczy. Widocznie jednak sprawa plotek nie dawała jej spokoju i potrzebowała kogoś, przed kim mogła pozwolić sobie na chwilę szczerości.

— „Wykańczarka”... Kto inny był krawcem i szył bardzo grubo... Jeśli chcesz wiedzieć, to ci powiem, jak to było ze mną i z Goldem. Poznałam go jesienią 1966 roku, gdy byłam na drugim roku medycyny. Miałam dziewiętnaście lat, a on trzydzieści osiem. Był docentem habilitowanym, znanym specjalistą w zakresie psychoterapii. Rzeczywiście zawróciłam mu w głowie, ale bynajmniej nie z wyrachowania. Trudno zresztą byłoby stwierdzić, czy to ja jemu, czy on mnie. Po prostu podobał mi się i jako mężczyzna, i jako naukowiec, zajmujący się wielce wówczas dla mnie tajemniczą psychologią głębi. Był co prawda żonaty, ale wiedziałam, że to zupełne nieporozumienie i są na prostej drodze do rozwodu. Ani ja zresztą, ani on nie myśleliśmy o małżeństwie. Lato następnego roku spędziliśmy razem w górach. Było nam dobrze ze sobą i to mi wystarczyło. Oczywiście w akademii nie mogliśmy ujawniać naszego związku, lecz wszyscy wiedzieli, że interesuję się psychoanalizą i moje odwiedziny u Goldego były traktowane jako zapowiedź przyszłej asystentury. Czasu na miłość nie miałam, rzecz jasna, zbyt wiele i choć Goldę mi pomagał, był to okres bardzo ciężkiej harówki. W tym czasie zmarł profesor Czyński i stanęła sprawa powołania nowego dyrektora Instytutu Ochrony Zdrowia Psychicznego. Najpoważniejszym kandydatem był właśnie Goldę, a ponadto w nadchodzącym roku spodziewał się nominacji na profesora nadzwyczajnego.

Oczywiście nie brakowało zawistnych wrogów, ale miał też paru wpływowych przyjaciół. Następny rok przekreślił jednak wszystko. I jego karierę, i naszą miłość.

Umilkła i nerwowo sięgnęła po kieliszek. Był pusty.

— Nalej mi cherry.

Wykonałem polecenie. Wypita jednym haustem i zapaliła papierosa.

Teraz już było widać, że z trudem panuje nad nerwami.

— Początkowo próbowano go zniszczyć politycznie. Była przecież okazja. Najłatwiej w ten sposób pozbyć się konkurenta. Ale nie bardzo wychodziło. Był zawsze bardzo ostrożny i „po linii”. Chociaż specjalizował się w psychologii głębi, miał na swym koncie parę krytycznych rozpraw o freudyzmie. Usiłowano zrobić z niego dwulicowca, ale też nie wychodziło. Potrafił się zrećźnie bronić. I wtedy wyciągnięto mnie. Napuszczono jego żonę, która wystąpiła o rozwód. Na rozprawie zaczęła pleść okropne, niestworzone brednie. Jednocześnie ukazał się ten drański artykuł, co prawda bez nazwisk, ale wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Na zebraniu ZMS zabrano się do mnie. Chciano, abym potwierdziła to, co wysmażono w tej gazecie. Wygarnęłam im, co o tym myślę, i wydawało mi się nawet, że mam poparcie sali, lecz w tak zwanej dyskusji, poza paru głosami przygotowanymi na zamówienie, rzecz jasna atakującymi Goldego, wszyscy nabrali wody w usta. A potem przyszło najgorsze. Goldego usunięto z partii, a mnie zagrożono relegacją, jeśli nie podpiszę pewnego ohydneho papierka z rzekomymi moimi zeznaniami. W tym czasie, niestety, i między nami coś zaczęło się psuć. Już nie ufaliśmy sobie tak jak dawniej. Pokazano mi protokół z zebrania partyjnego, na którym Goldę broniąc się, przedstawiał mnie jako rozwyzdrzoną flirciarę zmieniającą chłopców jak rękawiczki, a nawet coś w rodzaju nimfomanki. Sformułowania nie pasowały do Goldego, a on sam zapewniał mnie, że mówił zupełnie co innego, ale nie bardzo potrafił odtworzyć swoje słowa i jakiś osad pozostał. Musiał, broniąc się, coś napleść, choć z pewnością nie tak, jak to spreparowano w protokóle. Spotkaliśmy się zresztą potem tylko raz i to na krótko...

Szycka oparta się łokciem o stół i zakryła dłonią oczy. Nie próbowała już ukrywać, jak przykre są dla niej te wspomnienia. Byłem wstrząśnięty jej opowieścią i czułem, że czyniąc mnie swym powiernikiem, daje mi do zrozumienia, że oczekuje ode mnie czegoś więcej niż miłosnych wyznań.

Wstałem z krzesła, podszedłem do niej i delikatnie pogładziłem ją po włosach. Była mi w tej chwili jeszcze bliższa i droższa.

Przyjęła ten wyraz czułości nieznacznym drżeniem ramion i jeszcze niżej opuściła głowę.

— Nie spytałeś, czy podpisałem ten haniebnny donos — odezwała się po chwili zmienionym, pozbawionym dawnej pewności siebie głosem. — Podpisałem. Co prawda nieco oględniej sformułowany, ale, tak czy inaczej, donos. Balicka zaproponowała inną wersję, już nie tak oszczerczą, i przekonała mnie, że muszę podpisać.

— Któż to taki ta Balicka?

— Kardiolog. Była wtedy prorektorem. Zostałam później jej asystentką. Nauczyłam się od niej sporo. Nie tylko jako przyszły lekarz... Ona wie, jak żyć w naszych czasach.

— A jednak z nią nie zostałam. Byłabyś dziś panią docent.

— A po co? — spytała, podnosząc głowę.

— Słyszałem, że wrócono ci szybką karierę. Woliałaś zaszyć się tu, w tej dziurze?

Nie odpowiedziała. Czy zresztą musiała odpowiadać? Rozumiałem ją dobrze.

— Czy Wotny wie o tym?

Potwierdziła skinieniem głowy.

— I szantażuje ciebie?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Skąd ci to przyszło do głowy? Odwrotnie. Pomaga mi zatrzeć ślady.

— W jaki sposób?

— Zna kogoś, kto ma dostęp do starych akt personalnych. Miał odnaleźć ten nieszczęsny donos i przysłać Wotnemu. I rzeczywiście, kilka dni temu dzwonił, że odnalazł i że wysłał listem poleconym.

— I teraz Wotny ma cię w ręku. Może zażądać odpowiedniej zapłaty w naturze.

— Mógłby, ale nie zażądał. Odwrotnie, powiedział, że niczego się nie spodziewa poza dobrym słowem. Myślę, że tak naprawdę, nie jest on wcale takim złym człowiekiem, jak ci się zdaje...

— Powiedzmy... Jak to się stało, że ofiarował ci swą pomoc? Czy dał ci do zrozumienia, że zna sprawę Goldego?

— Ależ nie. Tak się jakoś zgadaliśmy na temat studiów i powiedział, że ma bliskiego przyjaciela w Akademii Medycznej, w kadrach i POP... To ja mu powiedziałam o Goldem i prosiłam, aby się dyskretnie wywiedziało, czy są tam jakieś dokumenty.

Nie posądzałem Wotnego o takie dyplomatyczne talenty.

— I on szlachetnie się zgodził — pozwoliłem sobie na ironiczny ton. — Nie wyczułaś, że to gra? Już półtora roku temu próbował ci psuć opinię, powołując się na poufne informacje tamtego faceta. Musisz być bardzo ostrożna.

— Zdecydowałam się zdobyć i zniszczyć ten donos... — powiedziała, patrząc mi w oczy.

— Za każdą cenę?

— Może nie za każdą, ale...

— Kiedy ten list powinien nadejść? Być może zanim Wotny się odnajdzie, uda mi się go przechwycić.

— Niestety. Już nadszedł. Przedwczoraj po południu. Wieczorem Wotny zadzwonił do mnie do domu i powiedział, że był na poczcie i odebrał list polecony od tego przyjaciela. Dzwonił z elektrowni, chyba z nastawni. Chciałam wsiąść zaraz w wóz i przyjechać, ale nie bardzo mu to odpowiadało, bo miał jakąś pilną robotę. Obiecał, że jak tylko skończy, zaraz do mnie przyjedzie. Zastrzegł, że listu jeszcze nie otwierał, gdyż postanowił, że wręczy mi dokumenty nie czytając.

— Jaki dyskretny...

Puściła moją ironiczną uwagę mimo uszu.

— Powiedziałam, że cenię jego delikatność, a mając do niego pełne zaufanie, chciałabym jednak upewnić się, czy przesyłka zawiera to, o co mi chodziło. Niech więc zaraz otworzy kopertę i przeczyta mi pierwsze zdanie. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że wreszcie to haniebne oświadczenie zostanie mi zwrócone. Usłyszałam, jak Wotny rozdziera kopertę... Niestety, w tym właśnie momencie połączenie telefoniczne zostało przerwane.

— To znaczy: Wotny się wyłączył!

— Ależ nie! Moje cholerne szczęście... Właśnie wówczas nastąpiła ta druga awaria w elektrowni. Jestem tego pewna, gdyż zaraz potem przygasło w osiedlu światło. Rozmowa ze mną była niewątpliwie ostatnia, jaką przeprowadził Wotny przed ucieczką.

A więc to było owo wyznanie Steni z proroczej wizji u prokuratora.

Zastanawiałem się chwilę.

— W tym czasie w nastawni powinien być już ten mężczyzna, którego widział Danecki — zauważyłem niezbyt odkrywczo.

— Wotny zachowywał się tak, jakby był sam.

— Mówiłaś o tym prokuratorowi?

Spojrzała na mnie jak na wariata.

— Po co? Nie mogłam przecież powiedzieć prawdy. Sypnąć Wotnego i jego kumpla? A ukryć

prawdziwą treść rozmowy i sfabrykować coś nic nie znaczącego? Jaka stąd korzyść? Nie posunęłabym naprzód śledztwa, a być może, nie wiadomo po co, znalazłabym się w kręgu podejrzanych lub co najmniej świadków wzywanych na przesłuchanie. Nie ma sensu mącić w głowie prokuratorowi. Wiem, że listu w nastawni nie znaleziono. Wotny musiał zabrać go ze sobą. Jeśli się odnajdzie, z pewnością mi go odda.

— Nie byłbym tego taki bardzo pewny.

— Boję się tylko jednego: że Wotny nie żyje i znajdują list przy zwłokach.

— Czy rzeczywiście nie może być żadnego związku między zniknięciem Wotnego i obecnością tajemniczego mężczyzny w nastawni a twoimi kłopotami sprzed lat?

— Jestem raczej skłonna podejrzewać, że ucieczka Wotnego i to, co widział Danecki, spowodowane zostały gwałtownym wzrostem natężenia pola magnetycznego. Prawdopodobnie u obu wystąpiły halucynacje, z tym że u Wotnego zaburzenie mogło mieć przebieg znacznie ostrzejszy i spowodować paniczną ucieczkę i amnezję. Podobnego zdania jest Malicki.

Nie bardzo mi to pasowało do tego, co widziałem we śnie.

— I wszystko to musiało nastąpić w chwili, gdy Wotny otwierał kopertę?... Dziwne. Nie bardzo mi się chce wierzyć, że był to przypadek.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— No cóż... Może jestem przewrażliwiony... Co się stało z Goldem? — zapytałem, z pozoru zmieniając temat.

— Złożył rezygnację, poprosił o paszport emigracyjny i wyjechał. Zamiast w Izraelu, wylądował w RFN i jest teraz wziętym psychoanalitykiem. Ma pieniądze, niezależność, ożenił się po raz drugi, czy może trzeci... Czasami nawet mu zazdroszczę. Właściwie to tylko liczy się w życiu.

— Chyba nie tylko. Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Jeszcze nie wiem — poprawiła się. — Uczę się dopiero brać z życia to, co mi odpowiada. Ale najchętniej wyniosłabym się do jakiegoś innego, lepszego świata... Gdyby taki istniał.

Wstała z krzesła i uśmiechnęła się do mnie; Znow była sobą. Ale czy na pewno? Która z twarzy ukazanych mi tego wieczoru była prawdziwa?

— Lubię mówić to, co myślę — oświadczyła z naturalną swobodą. — Nie zawsze mogę sobie na to pozwolić, lecz w tej chwili mogę i chcę. Lubię cię. Z tym i twoimi kompleksami i zagubieniem. Nawet więcej niż lubię. A teraz jeszcze te prorocze paramneze... To ocieranie się o zaświaty... Śmieszne, ale zaczyna mnie to pociągać, choć nie bardzo jeszcze ci wierzę. Zagubiony demon... To podniecające. Coś mnie do ciebie ciągnie. Pierwszy raz czuję coś takiego. To nie może być zwykły popęd. Może to te twoje przeznaczenie? — zaśmiała się promiennie.

Nie wiedziałem, jak zareagować na to zaskakujące wyznanie. Obawiałem się, że znow próbuje wystawić mnie na próbę albo po prostu kpi.

— Chcesz iść ze mną do łóżka? — powtórzyła zadane mi przed kilkunastu minutami pytanie, ale już w zupełnie innym tonie.

Patrzyłem w jej oczy i czytałem w nich to, czego oczekiwałem od tak dawna.

— Chcę... Bardzo.

— Zgaś światło.

Podszedłem do kontaktu. Patrzyła na mnie wyczekująco.

— Zgaś — ponagliła, sięgając do guzików bluzki. — Nie myśl, że się ciebie wstydę. To pozostało z tamtych czasów... Ja też mam kompleksy.

Wyłączyłem wszystkie lampy. W mroku, rozjaśnianym tylko refleksem ulicznej latarni,

widziałem, że stoi nadal nieruchomo, jakby na coś czekając.

— Ta wiedźma Chochołowska obiecywała mi lubczyk dla ciebie — powiedziałem, aby jakoś rozładować sytuację.

— Niepotrzebny.

Zrzuciła bluzkę, dzinsy... W parę chwil później stanęła przede mną naga.

— Teraz ty...

Widziałem tuż przed sobą jej jakże zgrabne młode ciało, takie samo, jakie widziałem w moich wizjach i snach. Chwyciłem ją w objęcia i zaniósłem na tapczan. Z radia dochodziła cicha, nocna muzyka. Zaczęliśmy się całować jak wariaci.

— Czy wtedy, na naradzie, w tym twoim widzeniu proroczym... — zapytała w pewnej chwili. Widocznie nie dawało jej to spokoju.

— Tak, tak, to byłeś ty. Nie chciałem, abyś wiedziała i przeszkodziła.

— Głuptasie... — roześmiała się i przywarła ustami do moich warg.

Ogarnął nas miłosny szał. Ale w chwili, gdy pożądanie i rozkosz zdawały się osiągać rajskie szczyty, coś nagle zmieniło się w otoczeniu, ściągając mą świadomość z nieba na ziemię.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co się stało. Dopiero później uświadomiłem sobie, że to przed domem zatrzymał się samochód i ktoś trzasnął drzwiczkami. Zacząłem nasłuchiwać. Na schodach słychać było jakieś męskie kroki. Zatrzymały się one pod moimi drzwiami i ktoś włożył klucz do zamka. Szczęknęła zasuwka, skrzypnęły otwierane drzwi. Przybysz przeszedł przez przedpokój i stanął.

Nagle zrobiło się jasno. Podniosłem głowę i osłupiałem. W drzwiach stał mój sobowtór. Był ubrany w odświętny, ciemnogranatowy garnitur, z kieszonki na piersiach zaś, obok orderu, którym odznaczył mnie minister, wystawał... pisak amulet.

Nasze oczy spotkały się. Sobowtór zrobił krok w moim kierunku i w tym samym momencie coś mnie zamroczyło. Uczułem ostry, krótkotrwały ból w głowie. Gdy ustąpił i odzyskałem wzrok, przybysz nie zbliżał się już, lecz cofał z przerażeniem w oczach.

Wypuściłem Stenię z objęć i zeskoczyłem z tapczana na podłogę. Sobowtór wydał zdławiony okrzyk, odwrócił się gwałtownie i wybiegł na korytarz. Usłyszałem przyspieszony tupot jego nóg na schodach.

— Kto tu był? — zapytała z wściekłością Stenia.

Nie byłem w stanie wydobyć z siebie głosu.

— Co się tu dzieje? Kto zapalił światło?!

Z ulicy dobiegi nas dźwięk zapuszczanego silnika.

Stenia zerwała się z tapczana i podbiegła naga do okna.

— Niewińska! — zawołała z gniewem i nienawiścią.

— To nie ona. To był on. Sobowtór!

— Zwariowałeś? Widziałam jej malucha.

Co mogłem odpowiedzieć? Przecież sam nie mogłem pojąć, co się przed chwilą wydarzyło. Jedno było pewne: to nie halucynacja. Czuję, że muszę zrobić wszystko, aby dowiedzieć się prawdy.

Pospiesznie zacząłem się ubierać.

— Nie wiem, co to było. Widziałem siebie. Wezmę twój wóz i pojedę sprawdzić, co się tam stało. Bo jeśli był to maluch Baški... — urwałem, uświadamiając sobie, że to, co mówię, może wydawać się Steni bredzeniem wariata.

Patrzyła na mnie rzeczywiście z troską. Zastanawiała się chyba, co w tej sytuacji ma ze mną

począć, gdyż przez cały czas, gdy się ubierałem, nie odezwała się ani słowem.

— Czekaj tu na mnie. Zaraz wrócę — powiedziałem już gotowy do wyjścia. — Gdzie masz kluczyki?

Pokręciła przecząco głową.

— Nigdzie nic pojedziesz — oświadczyła kategorycznym tonem. — Porozmawiamy, zastanowimy się, co dalej robić...

— Więc nie dasz wozu?

— Nie dam!

— Trudno. Pójdę piechotą!

— Zostań — wyszeptała błagalnie i wyciągnęła ku mnie rękę, jakby chciała mnie zatrzymać.

Stała przede mną urzekająco piękna w swej zuchwałej nagości i patrzyła w moje oczy z żalem.

Zawahałem się. Na moment ogarnęła mnie obawa, że jeśli teraz odejdę, mogę stracić ją na zawsze. I wtedy usłyszałem cichy brzęk szyby, jakby ktoś z ulicy rzucił w okno grudkę ziemi.

— Zgaś światło! — poleciłem Steni i ostrożnie, kryjąc się za firanką, wyjrzałem na ulicę.

Na chodniku stał myślak i patrzył w moje okno.

Na korytarzu było ciemno. Nie zapalając światła zszedłem na parter i cicho uchyliłem drzwi wejściowe. Mężczyzna stał nadal naprzeciw mego okna i patrzył w górę. Nie ulegało wątpliwości, że jest to ten sam tajemniczy osobnik, którego widziałem pamiętnej nocy na parkingu, a później w pociągu i w mieszkaniu Rawików.

Miałem już dość zabawy w chowanego. Znajdował się nie dalej jak dziesięć metrów od furtki i jeśli był istotą materialną, a nie halucynacją lub duchem, miałem szansę go schwytać i przekonać się wreszcie, kim jest naprawdę.

Otwarłem raptownie drzwi i skoczyłem do furtki. Mężczyzna nie miał jednak zamiaru uciekać. Przeciwnie — gdy tylko mnie dostrzegł, ruszył szybkim krokiem w moją stronę.

Stanąłem. Nieznajomy podszedł do mnie i wyciągając rękę na powitanie, powiedział z przyjaznym uśmiechem:

— Dobry wieczór.

Skwapliwie podałem mu dłoń. Była to materialna, silna, męska ręka.

— Kim pan jest? — spytałem nieco uspokojony.

— Chodźmy. Szkoda czasu. Wytłumaczę. Wszystko! Nieznajomy mówił w taki sposób, jakby czytał poszczególne wyrazy ze słownika. Głos miał przyjemny, naturalny, tylko jakby w mowie jego pojawiały się ślady obcego akcentu i trochę razila nadmierna poprawność fonetyczna.

— Dokąd chce pan iść?

— Do elektrowni. To konieczne.

Z głębi domu po drugiej stronie ulicy dobiegło mnie miauczenie kota. Początkowo ciche i błagalne, potem coraz głośniejsze i jakby zaniepokojone. Dołączyły do niego wrzaskliwe już teraz głosy drugiego, trzeciego, a wkrótce i czwartego kocura z pobliskich domów, a zawtórowało im gwałtowne ujadanie psów. W oknach pojawiły się światła. Spojrzałem w swoje okno. Nie było oświetlone, ale za szybą dostrzegłem twarz Steni. Czy widziała stojącego obok mnie mężczyznę?

— Chodźmy! — ponaglił nieznajomy.

Skinałem głową i poszliśmy, odprowadzani zajadłym szczekaniem psów.

— Pan jest... — ponowiłem pytanie.

— Korektorem.

— Korektorem?

— Korektorem. Biegu wydarzeń. Nie może być sprzeczności.

— Sprzeczności?

— Zaraz wytłumaczę. Jedność Uniwersum. Paralelizm czasoprzestrzenny niemożliwy. Wasz świat to nasz świat.

Czyżby podejrzenia Policza nie były tak absurdalne, jak sam przypuszczał? Dotąd nie wierzyłem w odwiedziny kosmitów, lecz może relacje o takich wizytach nie były bajkami.

— Jest pan... z kosmosu? — powiedziałem bez przekonania.

— Nie. Z innego czasu.

— Z przyszłości? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Można tak określić.

Ujadanie psów powoli cichło za nami. Czuję się jednak nadal nieswojo. Tajemniczy nieznajomy, niepokój, jaki budziła jego obecność nie tylko we mnie, ale również wśród kotów i psów...

Pomyślałem, że może znów mam jakiś osobliwy, cudaczny sen. Pomijając jednak nawet realizm wrażeń odbieranych przez moje zmysły, takiej możliwości zdała się przeczyć ciągłość wydarzeń, których przebieg pamiętałem bardzo dobrze. Niemniej to, co powiedział nieznajomy, uznałem za zbyt fantastyczne, aby odpowiadało prawdzie.

— To znaczy podróżuje pan swobodnie w czasie i przestrzeni? — próbowałem pociągnąć go za język.

— Nie podróżuję. Korzystam z przejścia między różnymi czasami. I nieswobodnie. Są zasadnicze ograniczenia. Nie można tworzyć przejść w przyszłość.

— A w przeszłość można?

— Można.

— A nie odwrotnie? Zawsze myślałem, że przenieść się w przeszłość jest fizycznie niemożliwe. Co innego w przyszłość. Już dziś próbuje się ludzi zamrażać, a jeśli statki kosmiczne będą osiągać prędkości bliskie prędkości światła...

— Rozumiem. Anabioza. Efekt relatywistyczny. Realne, ale nie o tym mówię. Chodzi o bezpośrednie przejścia między różnymi punktami chronokontinuum. Przejście można otworzyć tylko w przeszłość. Przez nie wyjść i wrócić. Do swojego czasu.

— Dlaczego nie tworzycie przejść w przyszłość?

— Nie potrafimy. Nikt nie wraca. Anizotropia.

— A w przeszłości możecie swobodnie działać?

— Są ściśle określone zasady. Nie wolno ich łamać. Nie wolno wkraczać w czas, w którym się już było. Nie wolno wracać i poprawiać własnych błędów. Nie wolno tworzyć artefaktów. Jeśli powstały z winy korektora, należy je unicestwiać. Nie wolno zostawiać materialnych śladów działań korektorskich.

— A więc co pan robi? W jaki sposób zmienia przeszłość?

— Przepraszam. Pan nie rozumie zasady. Zmieniać przeszłości nie wolno!

— Zrozumiałem, że pan ingeruje...

— Tylko koryguję błędy.

— Nasze?

— Nie wasze. Błędy tajmerów.

— Czyje błędy? Nie rozumiem.

— Wytłumaczę. W XXIII wieku zaczęto eksperymentować. Z polem Ti -sigma. Nieudolnie. Bardzo dużo błędów. Bez dobrego przebadania archiwów. Bez sprawdzenia, co się działo w transtajmowanym obszarze pola. Brak precyzji czasowej. Pośpiech. Chęć sukcesu. Za wszelką cenę.

Wyścig kto pierwszy. Konkurencja wśród Bi-erów. Byli też tacy, co myśleli, że można będzie ulepszyć przyszłość poprzez zmianę przeszłości. Nie można. Zasada niesprzeczności.

Jeżeli była to bajeczka specjalnie dla mnie przygotowana, jakież mógł być cel mistyfikacji? Tak czy inaczej, nie powinienem na razie zdradzać się, że nie wierzę słowom nieznajomego.

— Chce pan powiedzieć, że w XXIII wieku zrealizowane zostanie marzenie o podróżach w czasie, tyle że trochę po partacku? I pan usuwa skutki? Na czym pańska praca polega?

— Zapobiegam pętłom i multiplexom oraz likwiduję artefakty. Tajmerzy XXIII wieku zachowywali się jak wasi industrialne w biocenozie. Jak tylko przekonali się, że można przekraczać „wrota”, przeszli od pasywnych obserwacji do aktywnych działań w obszarze „dwuczasu”. I zaraz zaczęły się kłopoty.

Zapytałem nieznajomego, co to są owe „wrota” i „dwuczasy”, ale muszę przyznać, że z jego wyjaśnień zrozumiałem niewiele. Domyśliłem się tylko, że „wrota” to umowna nazwa (prawdopodobnie zapożyczona z literatury SF) miejsca w czasoprzestrzeni, przez które można wejść w inny czas. „Wrota” powstają poprzez „nakładanie się dwóch pól Ti-sigma” i dlatego jest to obszar „dwuczasu”. Na czym jednak zjawisko to fizycznie polega — nie wiem.

Jak można nałożyć na siebie dwa, chociażby bardzo małe, obszary różnych przeciw światów materialnych, pozostało dla mnie całkowitą zagadką. Z obszernych technicznych wyjaśnień tajemniczego przybysza pojąłem zaledwie tyle, że tajmerzy wysyłają w przeszłość nie żadne wehikuły czasu, lecz jakieś specjalne puste pomieszczenia swych laboratoriów, które po nałożeniu się pól Ti-sigma wypełnia materia należąca do innego czasu. Mogą potem swobodnie wchodzić w te „wrota” i zabierać różne przedmioty, a nawet przechodzić do obszaru przeszłego świata. Tej ostatniej możliwości tajmerzy nie mogą jednak praktycznie wykorzystać. Utrzymywanie „wrót” jest możliwe tylko przez kilkadziesiąt sekund i w tym czasie „turysta” musi wrócić do swego świata pod groźbą pozostania w innym czasie. Szansa bowiem, że uda się ponownie otworzyć „wrota” w tym samym dniu czy nawet tygodniu jest minimalna. Tajmerzy są na bakier z chronometrią: nie potrafią z góry określić dokładnej metryki pola, z którym się łączą i popełniają wielodniowe, a nawet paroletnie błędy.

— I z tego powodu ma pan z nimi kłopoty? — zapytałem, wysłuchawszy tych nader dziwnych „wyjaśnień”.

— Nie. To ich zmartwienia. Gdyby przestrzegali zasad chronotechniki, niepotrzebni byłiby korektorzy. Największy błąd to wkraczać w czas, w którym się już było i próbować poprawiać własne błędy. A także — zostawiać substancjonalne trwałe ślady i nie wiedzieć gdzie. Z tym korektorzy mają zawsze najwięcej kłopotów.

— I pan jest takim korektorem z XXIII wieku?

— Z XXVIII — sprostował nieznajomy. — W XXIII działano jeszcze na ślepo i nie myślano o fachowej korekcie. My nie mamy już chronometrycznych problemów.

— I pan poprawia te dwudziestotrzeciwieczne błędy teraz, w naszych czasach.

— Staram się poprawić. Sprawdzamy wszystkie operacje tajmerskie.

Coś tu było nielogiczne.

— Jeśli poruszacie się swobodnie w czasie i przestrzeni, dlaczego nie skorygujecie błędów u źródła, w XXIII wieku?

— Mówiłem: przeszłości zmieniać nie można. Grozi zwarcie i dematerializacja. Czas przestaje płynąć. Nie ma go. A materia bez czasu nie istnieje.

— Co więc właściwie robicie?

— Usuwamy skutki nakładania się dwóch różnych pól ti-sigma. Nic więcej.

— I zawsze wam się udaje?

— Nie zawsze. Każdy jest omylny. Mało czasu. Pośpiech. Korektor nie zna przyszłości.

— Nie rozumiem. Przecież pan twierdzi, że jesteście właśnie z przyszłości.

— Tak, ale nie mamy danych o jednostkowych losach. To niemożliwe wiedzieć wszystko. O każdym człowieku. Co zrobi w określonej chwili. Co się wydarzy.

Znów coś się nie zgadzało.

— Jak to? A moje jasnowidzenia?

— Ty spotkałeś siebie. Indukcja pamięci. Rozumiesz?

Chociaż początkowo nastawiony byłem bardzo sceptycznie i podejrzewałem jakąś mistyfikację, sam nie wiem kiedy zacząłem poważnie traktować jego wyjaśnienia. Ostatnie zaś słowa poruszyły mnie do tego stopnia, że zatrzymałem się i chwytając nieznanego gwałtownie za rękę, powiedziałem błagalnie:

— Niech mi pan powie, co to wszystko znaczy. Co się ze mną od czterech dni dzieje? Te wizje, halucynacje? Czy ja zwariowałem?

Wyszliśmy już z osiedla na szosę i w mroku, rozpraszonym tylko dalekimi światłami naszej elektrowni, widziałem szary zarys twarzy nieznanego i dwoje dziwnie jasnych oczu wpatrzonych we mnie z uwagą.

— Wy tłumaczę. Wszystko — rzekł po chwili. — Ale chodźmy. Czas ucieka. Może uda się dziś wszystko zakończyć.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Mój towarzysz przystąpił też natychmiast do wyjaśnień:

— Jesteś ofiarą tajmerskich eksperymentów. W tym miejscu, gdzie teraz jesteśmy, w XXIII wieku będzie duże miasto. Tam gdzie wasza elektrownia, wznosić się będzie wielki blok mieszkalny w neosecesyjnym stylu. Na jednym z dolnych pięter tego bloku, w tym samym przestrzennie miejscu, gdzie znajduje się obecnie centralna nastawnia, dwaj tajmerzy będą mieli prywatne laboratorium domowe. Według ocen współczesnych dość utalentowani konstruktorzy. Musiałeś się z nimi spotkać.

— W czasie transu hipnotycznego widziałem dwóch mężczyzn w kolorowych smokingach. Mówili jakimś dziwnym językiem...

— To chyba oni. Taka była wówczas moda. To znaczy będzie — poprawił się pośpiesznie. — A ten język to mikslang. Mieszanka slangowa. Zapożyczenia z różnych języków. Otóż ci dwaj tajmerzy utworzą „wrota” w tym miejscu, gdzie stoi twój pulpit sterowniczy. Przypadek.

— Czy moment nałożenia pól był również przypadkowy?

— Niezupełnie. Zmiana w polu energetycznym, związana z uruchamianiem nowego bloku, mogła ułatwić zwarcie przy szukaniu na ślepo sprzyjających warunków polowych.

— I dlatego znalazłem się we „wrotach”? A później?

— Zabrali cię na swoją stronę. Co dalej, brak dokumentacji. Światowe archiwum transtajmingu uległo częściowo zniszczeniu. Głównie zapisy opto i fono. W wieku XXV.

— Dlaczego?

— III wojna surowcowa. Stąd teraz trudności z korektą. Trzeba wszystko sprawdzać. Twój casus też. W ogólnym rejestrze tylko informacja, że transtajmowano człowieka z 1979 roku. I że zgubiono narzędzie z pamięcią czynnościową. Także kto i skąd tajmił. Moje zadanie sprawdzić przebieg, skorygować, co trzeba i odnaleźć zgubę. Korektor musi działać zgodnie z kierunkiem wektora czasu. Zaczynać od czasu zero, a nie szukać błędów, idąc wstecz. Mówiłem ci — to fizycznie niemożliwe. Po przybyciu do was nie wiedziałem prawie nic. Tłum ludzi. Uroczystość. Z pomiarów wynikało, że to będzie gdzieś w centralnej nastawni. Ale kto będzie transtajmowany, nie wiedziałem. Nie znałem też dokładnego czasu. Czekałem na parkingu.

— Dlaczego? Wiedział pan przecież, że to w nastawni.

— Względy bezpieczeństwa. W pomiarach mógł być błąd. Gdybym znalazł się we „wrotach” w chwili odesłania, zapętlilibym siebie.

— Nie rozumiem.

— Nie wolno działać dwa razy w tym samym czasie. Musiałem być poza obszarem „wrót” Czekałem i myślałem — podjął opowieść. — A może w rejestrze był błąd? Zdarza się. Wtedy trzeba szukać w archiwach informacji sygnałnych: lokalnych zaburzeń pola magnetycznego, wylądowań atmosferycznych, jakichś awarii instalacji elektrycznych. I zaczynać od początku. Gdy pojawiły się pierwsze sygnały, odetchnąłem. Skok do tysiąca dwustu erstedów. Tajmerska robota. Wylądowania, pożar. Wyglądało nawet ładnie. Po ośmiu sekundach zanik pola. A(e następnego otwarcia „wrót” nie było. Pomyślałem: niedobrze. Może odesłali i nie trafili? Pół biedy, jeśli w przyszłość. A jeśli w przeszłość? Mogło powstać zapętlenie. Z tym gorsza sprawa. Multiplex. Na szczęście po dwóch minutach kolejne otwarcie. Trzystu erstedów. Po czterech sekundach zamknięcie. To może być moja robota. A zaraz potem jeszcze jedno otwarcie i zamknięcie. Trzy razy słabszy spajk. To już chyba nie moja poprawka. Jakaś nieudana tajmerska próba? Ale wtedy myślałem tylko: najważniejsze to sprawdzić, czy transtajmowany wrócił. Nie było proste. Nie wiedziałem kto. Mogłem długo szukać. Jeśli to ktoś z gości? A jeśli powstał multiplex? Ale znalazłem już w pierwszej godzinie. Przy samochodzie. Pamiętasz?

— Oczywiście. Jak mnie pan rozpoznał?

— Widziałeś mnie. Tylko transtajmowani widzą korektorów. Znaczyło to, że ja trafię albo inny korektor po mnie. Nie ma pewności. Ten trzeci skok... — zamyślił się. — Tak czy inaczej, moje zadanie: skorygować — podjął przerwany wątek. — Do punktu wyjściowego. Kiedy? Nie wiadomo. Prawie nigdy nie wiadomo. Wiadomo jednak, że się uda. Na pewno.

Znów się zgubiłem.

— Nie rozumiem: nie wiadomo kiedy, ale wiadomo, że się na pewno musi udać? Skąd ta pewność?

— To proste. Przecież cię spotkałem. Myślałem: multiplexu nie będzie. Uda się transtajm korygujący. Ale, niestety, jest. Już następnego dnia wiedziałem, że będzie. Po twojej rozmowie z dyrektorem. Gdy mówiłeś, że zatelefonuje prokurator. W twojej pamięci były ślady przyszłych zdarzeń. Znaczyło to: nastąpiła indukcja. Dwóch pól bioinformacyjnych, z dwóch różnych czasów życia tego samego człowieka. Wiedziałem, że spotkasz siebie. To znaczy: będzie multiplex. Wniosek czysto logiczny. Gdzie i kiedy, nie wiedziałem.

Nie pojmowałem, jak to, o czym mówił przybysz z innych czasów, było w ogóle możliwe, niemniej zagadka moich nieszczęsnych jasnowidzeń zdawała się znajdować wreszcie sensowne rozwiązanie.

— A więc w mojej pamięci, gdzieś w podświadomości, już cztery dni temu zostały zapisane czy, jak pan mówi, zaindukowane, informacje, które normalną drogą w ciągu tych trzech dni gromadziły się w mojej korze mózgowej? A ja sobie je po prostu chwilami przypominałem. Tyle że bardzo realistycznie.

— Niezupełnie ściśle. Indukowane zostały dziś, gdy się spotkałeś z sobą. I wraz z twoim multiplexomem będą odesłane z powrotem w przeszłość sprzed czterech dni. Nie wiem dokładnie, kiedy to nastąpi. Dziś, jutro, może za rok? A nawet nie jestem pewny, czy ja to zrobię, czy może inny korektor. Ale jest pewne, że nastąpi. Wrócisz do tamtej chwili.

Już nic nie rozumiałem.

— Ja wrócę? I zacznę od nowa? A co się stanie z moim „ja” w obecnym czasie? Umrę? Zniknę?

— Wybacz. Mój błąd. Niedoskonałość języka. Wrócisz oczywiście nie ty w wymiarze „dziś”, lecz twój alter ego sprzed czterech dni. Twoje życie toczyć się będzie dalej.

Nadal nic nie rozumiałem.

— A co by się stało, jeśli zabiłbym swego sobowtóra albo gdyby jadąc tą drogą, mój „sobowtór” rozbił wóz o drzewo i zginął?

— Nie zabijesz go ani nie zginie. To niemożliwe.

— A więc jednak istnieje przeznaczenie, fatum!

— Ależ nie! Na to można i należy patrzeć zupełnie inaczej.

— Jak? Przecież to sprzeczne z fizyką, logiką, w ogóle ze zdrowym rozsądkiem.

— Z fizyką, taką jaką ja znam, nie jest sprzeczne. Odwrotnie. Właśnie z niej wynika. Z modelu matematycznego. A zdrowy rozsądek? Znany wam już Einsteiński efekt dylatacji czasu, wynikający z przekształcenia Lorentza, też kłóci się z tak zwanym zdrowym rozsądkiem. Czworowymiarowej czasoprzestrzeni nikt wizualnie nie potrafi sobie wyobrazić. A empirycznie jedno i drugie zostało potwierdzone. Te modele można wykorzystać praktycznie. Coś wydaje się cudem, zjawiskiem sprzecznym z fizyką i logiką. A to tylko ubóstwo wiedzy. Zbyt wąski obszar poznania.

— Więc to, że można widzieć siebie w innym czasie, nie kłóci się z waszym zdrowym rozsądkiem?

— Kłóci. Też próbujemy sobie to jakoś wyobrazić. Przez analogię. Uproszczony model: lustro działające z opóźnieniem. Ale to użyteczne tylko, gdy idzie o widzenie przeszłości. A jak z przyszłością? Nic nie przychodzi do głowy. A przecież to rzeczywistość. Można transtajmować. Zdrowy rozsądek, logika nie wystarczą. To inny wymiar.

— No dobrze. Ale czy informacja może powstać z niczego? Skąd znałem adres Rawika i nazwisko łącznika przemytników? Przejąłem tę wiedzę z własnego, trochę starszego mózgu? To niczego nie wyjaśnia. Nic z tego nie rozumiem.

— Ja też. Ludzki rozum nie przystosowany. Wątpisz w fizykę, a gotów jesteś uwierzyć w prorocтва i jasnowidzenia przyszłych zdarzeń. A to również sprzeczne z rozumem.

Przypomniały mi się zjawiska widziane na seansie w Łodzi.

— Może więc te wszystkie cuda parapsychologii, w które jedni wierzą, a inni uważają za mistyfikacje, te różne duchy, zjawy na seansach, telekineza, jasnowidzenia, prorocтва, UFO i trójkąt bermudzki, to następstwa jakichś nieobliczalnych, spartaczonych doświadczeń tych waszych tajmerów i działań korektorskich?

— W pewnej mierze. Nie chodzi tylko o błędy tajmerów. Są też inne oddziaływania polowe w czasie i przestrzeni. Inne techniki. Niektóre i dla nas, w XXVIII wieku, są zagadką. Czasem tylko z bilansu energetycznego widać, że coś się dzieje.

— Tworzenie „wrót” wymaga ogromnych energii. Pole magnetyczne wzrosło u nas do tysiąca dwustu erstedów.

— Bardzo krótkotrwałe wyładowanie. Jak piorun. Suma energii — nieduża. Silny impuls, gdyż przez ułamek sekundy i na stosunkowo małym obszarze. W momencie zetknięcia dwóch pól π -sigma. W okresie utrzymywania „wrót” stan quasi-stabilny. Zachowanie równowagi „dwuczasu” odbywa się wówczas coraz większym kosztem energetycznym. Koszt wzrasta w postępie geometrycznym. Dlatego w praktyce nie opłaca się trzymać „wrót” dłużej niż kilkanaście sekund. Bez dopływu energii bardzo szybki zanik.

— I tę technikę ludzkość opanuje w XXIII wieku?

Doszliśmy już do kępy brzoź otaczających wiejską kapliczkę na niedużym wzniesieniu. Byliśmy w połowie drogi z osiedla do elektrowni. Za wzniesieniem, obok wyszczerbionego przez czas muru

starego cmentarza, łączyła się z szosą droga gruntowa prowadząca do pobliskiej wsi Podrokity. Za trzysta lat mają tu wznosić się strzeliste budowle, których mieszkańcy będą próbowali pokonać czas...

— Trudno powiedzieć „opanuje” — zaproponował korektor. — Zbyt wiele błędów. Krótkowzroczność. Lekceważenie niebezpieczeństwa zakłóceń czasostanu. Nadmiar wydatkowanej energii. Dopiero pod koniec XXV wieku uporządkowano jako tako tę dziedzinę badań w skali światowej. Technika też poszła szybciej naprzód. Zwiększono rygory jakościowe i prawne.

— To znaczy wy, korektorzy z XXVIII wieku, zuzywacie mniej energii na utworzenie „wrót”? I w ten sposób pan rozpoznaje, które ze skoków pola magnetycznego spowodowane zostały przez tajmerów, a które przez pana lub pańskich kolegów?

— Właśnie tak.

— Wobec tego piątego września, gdy zniknął Wotny, też ci z XXIII wieku otworzyli „wrota”. Co oni mogli z nim zrobić?

— Prawdopodobnie odesłali go z powrotem, razem z twoim multipleksem. Był jeszcze jeden skok natężenia, silny, tajmerski. Godzinę temu.

— Zaingerowali po pańskiej korekcie?

— Nie rozumiałeś. To było trzecie otwarcie „wrót”, a nie piąte. Trzecie — patrząc z twojej strony. A także tajmerów. Piąte w kolejności wydarzeń w elektrowni. Pierwsze to twój transtajming do XXIII wieku. Drugi raz tajmerzy otwarli „wrota”, aby cię odesłać. Pomylili się o całą dobę gwiazdową. To najczęstsze błędy chronometryczne. Widocznie zauważyli, że nie trafili, i zaraz się cofnęli. Niejasne, dlaczego zabrali twój kolegę.

Przypomniał mi się dziwny sen, który później Stenia próbowała psychoanalitycznie interpretować. To mógł nie być sen, lecz jeszcze jedno wizyjne przypomnienie rzeczywistych przeżyć.

— Wydaję się, że Wotny sam pobiegł w moim kierunku.

— Mógł nieświadomie przekroczyć granicę. Tuż przed rozłączeniem pól. Być może przestraszył się efektów polowych. To by wyjaśniało również następny krok tajmerów — ucieszył się nieznajomy. — Mieli już dwóch kłopotliwych gości. Większe prawdopodobieństwo pętli. Nie chcieli ryzykować, więc wysadzili was jeszcze parę dni dalej w przyszłość i zrezygnowali z dalszych prób. To względnie rozsądne. Powstaje tylko luka. Nieciągłość w życiorysie. Pojawienie się twego multipleksomu również wskazuje, że otwarto „wrota” po raz trzeci.

— Czy jest pan pewien, że Wotny wrócił?

— Pewności nie ma. Nie wiem, co dzieje się w elektrowni. Cały czas jestem z tobą. Jednak z tego, co opowiadałeś tej pięknej medycze, wynika, że wrócił wraz z tobą.

Zrobiło mi się nieswojo.

— To znaczy, że pan nieustannie mnie pilnuje?

— Staram się. Ale ja też muszę odpoczywać, jeść. Fizjologia. Jestem tylko człowiekiem. Nie zawsze można upilnować. Trzy razy mi zginął.

— Kiedy?

— W Łodzi. Po zebraniu parapsychologów. Nie mogłem wsiąść do samochodu spirytystki. Jednodrzwiowy. Wsiadłem za wcześnie. Odnalazłem cię dopiero następnego dnia. Na dworcu. Drugi raz w Piotrkowie. Gdy zabrano cię do więzienia. Z tym nie było kłopotu. Mogłem sobie nawet pozwolić na parogodzinny odpoczynek, bo wiedziałem, że nie uciekniesz. Trzeci raz w Rokicach. Też przez samochód. Tylne drzwi zamknięte. Odjechałeś beze mnie. Z lekarką. Ale to było proste. Wiedziałem, gdzie jedziecie.

— Przyszedł pan piechotą?

— Chodzi ci o to, czy korzystam z jakichś własnych środków transportu? Są dwie możliwości: przelot avisem i translokacja w podprzestrzeni. Rzadko się korzysta. Avis świeci i zostawia smugi kondensacyjne. A to już artefakt, chociaż nietrwały. Podprzestrzenianka tylko w wyjątkowych sytuacjach. Na bardzo małą odległość. Najchętniej korzystam z lokalnych środków lub chodzę piechotą. Ale wtedy pozostałem jeszcze trochę w waszym zakładzie. Interesowało mnie, co mówią wasi specjaliści. Przywiozła mnie ta twoja lekarka. Fajna babka. Chyba tak u was się mówi.

Zaniepokoiło mnie trochę to jego wyraźne zainteresowanie Stenią.

— Widziała pana?

— Niestety. To niemożliwe. Mówiłem ci. A szkoda. Chętnie bym z nią...

— Co?

— ...porozmawiał.

— Nie wie w ogóle o pana istnieniu — powiedziałem chłodno. — I proszę nie stosować wobec niej żadnych sztuczek.

— Bądź spokojny. Nie zabiorę ci tej dziewczyny.

Nie podobał mi się jego kpiący ton i już chciałem mu to powiedzieć, gdy nagle gdzieś z boku, za nami, spod krzaków rosnących przy murze cmentarnym usłyszałem bełkotliwy, męski głos:

— Hej, tam! Poczekaj no...

Jakiś mężczyzna wstał z klęczek i chwiejąc się na niepewnych nogach, szedł w moim kierunku. Był z pewnością pijany.

— O co chodzi? — zapytałem ostro.

— Wolnego, szefie... Bardzo... przepraszam. Masz pan, szefie, latarkę?

— Nie mam.

— Cholera... To pożycz pan, k..., zapalki!

— Nie wiem, czy mam — powiedziałem i sięgnąłem do kieszeni. — Zgubił pan coś?

Chuchnął na mnie odorem kwaśnego piwa.

— Mietek się spił i posiał, k..., forszę. Tu gdzieś, k..., musi leżeć. Masz pan, szefie, te zapalki?

Miałem. Podałem pudełko mężczyźnie. Pogmerał palcami w kieszeni spodni i wyjął zmiętą paczkę sportów.

Gdy płomień zapalki oświetlił twarz pijanego — poznałem go. To był Łabuda, którego zwolnienie wypomniał mi Palinka. On również mnie rozpoznał.

— Pan inżynier! — ucieszył się szczerze. — A Mietek mówił, że pana przymknęli. Pal pan — wyciągnął rękę z papierosami.

— Chodźmy! Szkoda czasu! — ponaglił stojący obok mnie korektor.

— Muszę już iść — powiedziałem do Łabudy. — Zapalki mogę wam zostawić.

— Pal pan! — powtórzył Łabuda. — Zapalki zaraz oddam, tylko, k..., zobaczę, gdzie on, k..., leży.

— Portfel z dokumentami? — zapytałem, zapalając sporta.

— Jaki, k..., portfel? Mietek.

— Myślałem, że szuka pan zgubionych pieniędzy.

— Pieniądze frajer. Mietek, k..., tu gdzieś leży. Pomóż mi pan go znaleźć.

— Musimy się spieszyć — powiedział korektor już trochę zniecierpliwionym tonem.

— Niestety, będę musiał już iść. Muszę wracać do zakładu — próbowałem usprawiedliwić się przed Łabuda.

— Pieprz pan taki zakład. Musimy znaleźć Mietka. Powinien mieć jeszcze pół litra. A jak nie ma,

to zna tu taką melinę... Ja stawiam!

— Dziękuję. Ale naprawdę nie mam czasu. Innym razem.

— Co znaczy „nie mam czasu”? — oburzył się pijany. — Człowieka na drodze pan zostawi? W nocy? Nie puszcze! — Chwycił mnie za klapy marynarki. Chłop był silny, zwalisty i nie było sensu wdawać się w awanturę.

— Panie Łabuda, ja naprawdę muszę iść. Może pański kolega zostawił pana i poszedł?

— Nigdzie nie poszedł. Tu gdzieś śpi. Nie puszcze, szefie. Znajdziemy Mietka. Ja grzecznie proszę! — szarpnął mnie za marynarkę.

— Trzeba z tym skończyć — usłyszałem tuż nad uchem głos mego niezwykłego towarzysza. Jego palce dotknęły czoła Łabudy.

Pijany drgnął nerwowo, wyszarpnął ręce z mojej marynarki i potoczył się do tyłu, z trudem odzyskując równowagę.

— O rany! — wrzasnął rozpaczliwie. Jego chwiejącą się postać oświetlił z nagła blask bijący zza moich pleców.

Odwrociłem się do korektora. Stał kilka kroków za mną, z prawą ręką wsuniętą za płaszcz na piersiach, a ciało jego otaczała świetlista, żółtawa aureola.

— Biegnij za mną! — rozkazał. Aureola przybrała kształt przezroczystej kuli, która uniosła się wraz z korektorem w górę, jak balon, i poszybowała nad szosą, gwałtownie nabierając prędkości.

Rzuciłem się za nią w pogoń, mijając gramolące się z rowu mężczyznę — z pewnością owego poszukiwanego przez Łabudę Mietka. Nawet mnie nie zauważył, wpatrując się z przestachem w świetlistą kulę, oddalającą się szybko jak przeciwpancerny pocisk raketowy.

Mój bieg skończył się wkrótce. Po kilku sekundach kula zniżyła lot, dotknęła asfaltowej nawierzchni i zgasła. Znowu zapanowała ciemność.

Tak jak było do przewidzenia, korektor czekał na mnie na poboczu. Byłem jeszcze pod wrażeniem niezwykłego zjawiska i od razu zapytałem go, co to było.

— Avis. Mówiłem ci. Indywidualny przenośnik. Środek transportu powietrznego. Dość prosta zasada działania.

— Prosta jak dla kogo. Niech mi pan powie, jak to właściwie jest z tą waszą techniką. Gdzie ma pan te swoje urządzenia do latania, przemieszczania się w przestrzeni i czasie?

— Przy sobie. Miniaturyzacja, superkoncentracja, samoorganizacja. Technika nie stoi w miejscu.

— Ci ludzie widzieli pana... Rozpowiedzą.

— Widzieli mnie? Być może. Krótki moment. Widzieli przede wszystkim efekty świetlne. Wasi ufolodzy zyskają dwóch naocznych świadków.

— A jak pan to robi, że przenika przez ściany. Tak swobodnie, w dowolne miejsce? Czy ma to coś wspólnego z psychotroniką?

— Myślisz o tym, co nazywają eksterioryzacją? A okultyści bilokacją? Nie, to zupełnie co innego. To właśnie translokacja w podprzestrzeni. Pole es-sigma. Można je zakrzywiać i przemieszczać. Ale to kłopotliwa operacja. Trzeba dokładnie zbadać teren. To często w naszej pracy niemożliwe. Nie starczy czasu. Nie wiem, nie widzę, co jest za ścianą. Duże ryzyko. Ale czasem się korzysta. Gdy nie można inaczej. Mówiłem. Na niewielką odległość. Metr, dwa. Aby się tylko dostać do środka. To było u naukowca z brodą. Potem w więzieniu.

— Rozumiem. To znaczy, próbuję sobie wyobrazić.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, każdy zajęty własnymi myślami. Ale czy rzeczywiście tylko własnymi?

— Niech mi pan powie, ale tak uczciwie, szczerze! — postanowiłem postawić sprawę otwarcie.

— Czy ma pan zdolności telepatyczne, może pan czytać cudze myśli? A może i wpływać na ich bieg? W XXVIII wieku to pewno żaden problem.

Jakby się zawahał.

— Telepatia w bardzo ograniczonym zakresie — odrzekł po chwili. — Od czasu konwencji o ochronie swobodnej myśli obowiązkowe szczepienia antytelepatyczne i zakaz produkcji wzmacniaczy. Korektorzy w czasie służby mają co prawda specjalny immunitet, ale mogą z niego korzystać tylko w wyjątkowych okolicznościach. Obawy przed policją psi są nadal bardzo żywe. Są zresztą i naturalne ograniczenia. Wpływać można łatwo tylko na stany emocjonalne. Na uczucia, nastroje, popędy. Wywoływać stany napięcia, niepokoju albo odprężenia, poczucia bezpieczeństwa, zadowolenia. Gra pasjonująca, ale niełatwa. A już przekazywanie konkretnych myśli w ogóle bardzo trudne. Zależy od warunków i właściwości indywidualnych. Przeszkodą także bariera odmiennych epok. Z transtajmowanymi trochę łatwiejszy kontakt, ale też ograniczony.

— To znaczy tam, w pociągu, a teraz tu...

— Nie bój się. Niczego ci nie sugeruję. Teraz zresztą bardzo się bronisz.

— Dlaczego mi pan to mówi?

— Chciałeś szczerości. Nie chcę oszukiwać. Musisz ufać!

— Jak to się dzieje, że raz pana widzę, to znów nie widzę? A inni w ogóle nie widzą. Nie jest to chyba żadna czapka niewidka, bo na negatywie fotograficznym pana sylwetka była.

— Nie jestem fizycznie niewidzialny. To niemożliwe. Jestem tylko niewidoczny. Można patrzeć i nie widzieć. Aby coś dostrzec, aby nastąpił akt świadomej percepcji, trzeba, choćby mimowolnie, na krótką chwilę na ten obiekt skierować uwagę. Wybiórczo nastawić analizator. Na określony zbiór bodźców. Takie skierowanie uwagi poprzedza odruch orientacyjny i pobudzenie ośrodków emocji niezbędne do jego utrzymania. Wystarczy, aby określony zbiór bodźców nie powodował pobudzenia tych ośrodków, a uwaga nie zatrzyma się na nim. Nie będzie on dostrzeżony. Tak działa hipnotyzer, sugerując zahipnotyzowanemu, że w pokoju nie ma określonej osoby, choć w rzeczywistości ona jest.

Poczułem się nieswojo.

— To znaczy, że stosuje pan masową hipnozę?

— W wąskim tego słowa znaczeniu nie. Są pewniejsze, biotechniczne sposoby. Ale zasada podobna.

— A dlaczego ja pana widzę? Czasami — powtórzyłem zasadnicze pytanie.

— Możesz mnie zawsze dostrzec, tak jak każdego innego człowieka. Czasem staram się, abyś mnie nie zauważył. O wynikach decyduje doświadczenie, warunki i twoja spostrzegawczość. Nic więcej. Transtajming powoduje pewne zmiany informacyjne w mózgu. Niegroźne i zanikające z czasem. Między innymi wzmacnia nowo tworzące się sprzężenia między pamięcią korową i emocyjną. Stąd przypomnienia zdarzeń, które nastąpiły po przejściu „wrót”, przybierają u ciebie postać realistycznych wizji. Zwłaszcza wzmocnione indukcyjnie. Jednocześnie jesteś uodporniony na elektromagnetyczną stymulację biopola mózgu. Dlatego emiter wybiórczego odwracania uwagi nie działa skutecznie.

Podobnie zresztą osłabiona jest zdolność łączności telepatycznej. Czy masz jeszcze jakieś pytania? Być może czasu pozostało niewiele.

Pytań mogłem mieć oczywiście setki, począwszy od różnych fizykalnych zagadek transtajmingu, a na historii przyszłych ośmiu wieków skończywszy. Przede wszystkim jednak ważne było to, co zamierza nieznajomy. A jeśli — za jego rzekomą życzliwością i szczerością krył się jakiś podstęp?

— Co się teraz stanie? Co chce pan zrobić ze mną?

— Z tobą nic. Twój multipleksom musi być odesłany do chronu czwartego września, godzina

dwudziesta zero pięć. Chciałbym to zrobić dzisiaj.

— A dlaczego zabrał mnie pan ze sobą? W jakim celu?

— Abyś mógł zająć jak najszybciej jego miejsce. To zapobiegnie różnym kłopotliwym dla ciebie sytuacjom.

— I to wszystko?

Jakby się zawahał, co odpowiedzieć.

— Muszę też wyjaśnić pewną kwestię. Liczę na twoją pomoc.

— Moją pomoc? — spojrzałem na nieznanego nieufnie, ale w mrokach nocy twarz jego była nieczytelna. Widocznie wyczuł, co myślę.

— Wtajemniczam cię w różne sprawy. Dziwi cię to. Mam kłopoty. I chyba tylko ty możesz pomóc. Szukam pewnego przedmiotu. Mówiłem ci.

— Co to za przedmiot?

— Samopis.

— Chodzi panu o ten magiczny ołówek? — domyśliłem się natychmiast.

— Tak. To samopis z pamięcią czynnościową, Zapamiętuje i odtwarza ruchy.

— Dlatego powtarzał mój autograf, a potem podpis prezesa Stasińskiego?

— Zabrałeś go tajmerom. Musi wrócić do swoich czasów. Taka zasada. Mówiłem.

— Jeśli jest tak, jak pan mówi, to powinien go w tej chwili mieć przy sobie mój sobowtór.

— Ma. Niestety, jemu nie mogę odebrać. Należy do ciągu wydarzeń. W ambulatorium, a potem na seansie. Rozumiesz?

— Chyba tak. A nie mógł pan mi go odebrać tej pierwszej nocy na parkingu?

— Mogłem. Gdybym wiedział, że to samopis. Wtedy wiedziałem tylko: narzędzie z pamięcią. Tak zapisano w centralnym rejestrze. Mogą być różne narzędzia z pamięcią. Dopiero w czasie seansu się zorientowałem. Jak mówiono o lewitującym pisaku, zacząłem podejrzewać. Potem, gdy mi się wyslizgnął i odtwarzał ruchy, już byłem pewien. Ale zabrać od razu nie mogłem. Trzeba unikać tworzenia cudów. Myślałem, że odbiorę po zebraniu, lecz cię zgubiłem.

— Szukał go pan w celi?

— Tak. Nie było w depozycie ani u prokuratora. Pomyślałem: przemycił do celi albo zgubił. Chciałem się upewnić. Nie udało się. Musisz mi oddać lub wskazać, gdzie jest.

— A jak nie oddam i nie powiem, gdzie jest? Zabijesz mnie?

— To by nic mi nie pomogło. Powiedz! To bardzo ważne.

— Ja go nie mam.

— Kto ma?

— Nikt.

— Zniszczyłeś? W jaki sposób? Jeśli ci się udało, to dobrze. Wystarczy.

— Nie zniszczyłem. On jest. Cały.

— Gdzie schowałeś. Muszę wiedzieć.

— A jeśli nie powiem? To przecież może być gwarancja mego bezpieczeństwa.

— Nie bój się. Chyba zrozumiałeś, że nie chcę cię skrzywdzić. Postanowiłem zagrać w otwarte karty.

— Tego nie wiem. Ciekawe, co pan zamierza zrobić w tej sytuacji?

— Przekażę w raporcie. Wyślą innego korektora. Zręczniejszego. Pójdzie za tobą krok w krok. I będzie wiedział.

Nic nie odpowiedziałem. Przypomniała mi się tamta nieznaną, elegancka dziewczyna obok betoniarki. Chochołowska jej nie dostrzegła. Postanowiłem ostrożnie sprawdzić swe podejrzenia.

— To znaczy taki drugi korektor musiałby już teraz mnie śledzić?

— Oczywiście. Być może jego „wrota” to ten trzeci skok napięcia pola. Do stu erstedów.

Czwartego września.

— „Wrota”, przez które wszedł jakiś pański kolega lub koleżanka z XXVIII stulecia? Może ktoś znajomy?

— Raczej nie. Ktoś spoza XXVIII wieku. Z dalszej przyszłości.

— Często się spotykacie?

— Nigdy. Korektorom z różnych czasów nie wolno się spotykać.

— Dlaczego?

— Aby zapobiec przepływowi informacji o przyszłości. Wiadomość o tym, co ma nastąpić, rodzi chęć zmiany biegu zdarzeń. A tego robić nie wolno. Trzeba korygować. Bardzo kłopotliwe.

— Czy jednak w ciągu wielu stuleci, których historię znacie, a także w nie znanej wam przyszłości nie znalazł się nikt, kto by próbował wykorzystywać wiedzę o przyszłości, aby zmieniać przeszłość. W imię szlachetnych lub zbrodniczych celów?

— Byli tacy. Ogromne kłopoty. Kilku ingerencji nie udało się jeszcze zlokalizować. Czekają na korektę. Inaczej mówiąc: nie dopuścimy do nich, lecz nie wiadomo, komu to się uda.

— A jeśli jakiś zwykły człowiek, nie korektor, powiedzmy, ja, przeszedłby przez „wrota” w wasze czasy, zapoznał się z historią, a potem powrócił do swego czasu i opowiedział, co się stanie?

— Stałby się prorokiem. Ale nie ludź się — niewiele zapamięta. Luki, paramnezje, domysły. Przejście przez „wrota” osłabia ślady.

— Można odtworzyć z pomocą hipnozy. Ze mną się udało.

— Nie dowiedziałeś się niczego istotnego. Gdyby było inaczej...

— Rozumiem. Więc o przyszłości niczego konkretnego się nie dowiem.

— Niczego, co mogłoby zakłócić bieg wydarzeń.

— Ale przecież i tak pan mi bardzo dużo powiedział. Czyżby to wszystko było kłamstwem?

— Nie. Powiedziałem prawdę. Ale to nie ma znaczenia praktycznego.

— Jak to nie ma? Mogę tę informację zapisać, schować, przekazać innym ludziom, futurologom, politykom. To wywrze wpływ na bieg historii.

— Tak sądzisz?

— A co? Skasujecie mi pamięć? Jak w komputerze?

— Nie. Nie potrzeba kasować. I tak nikt nie uwierzy. Nikt o tak zwanym zdrowym rozsądku. A jeśli nawet uwierzy. Będą to tylko hipotezy paranaukowe.

— Albo majaczenia wariata. To ma pan na myśli?

— Niekoniecznie. Jeśli będziesz rozsądny.

— Chwali się pan swą szczerością, prawdomównością. Niech więc pan powie, ale tak naprawdę, po co to wszystko? Do czego pan zmierza opowiadając mi te bajki—niebajki?

Upłynęły chyba ze dwie minuty, zanim nieznajomy znów się odezwał.

— Czy zawsze trzeba szukać ukrytego celu? Nie wiem, czy mi uwierzysz. Po prostu chcę być uczciwy. Nie chcę, abys uznał siebie za szaleńca. Nie mogłem cię tak zostawić i zniknąć. Jesteś podejrzliwy. Rozumiem. Tak może trzeba. My też jesteśmy. Niestety, ludzie pozostają ciągle tacy sami. Chcą manipulować innymi ludźmi, społeczeństwami, historią. Nie można zakazać. Można tylko kontrolować i zapobiegać katastrofom. I starać się być uczciwym.

— Nie należy pan do entuzjastów swojej epoki — zauważyłem trochę zdziwiony. — Ja zawsze wierzyłem, że przyszły świat będzie doskonalszy nie tylko technicznie, ale również moralnie. Że ludzie będą mądrzejsi, prawdomówniejsi, bardziej odpowiedzialni i dalekowzroczni. Czyżby było

inaczej?

— Ach... — powiedział korektor z westchnieniem, — I ja w to wierzyłem. Od wieków ludziom się to wmawia. Tak jak i to, że sami są winni, że są źli, leniwi, zachłanni...

— Powinien pan porozmawiać z pewnym człowiekiem, którego poznałem w więzieniu. Widział go pan.

— Porozmawiać? To niemożliwe.

— Wiem, ale mógłbym wystąpić w roli przekaźnika.

— Chyba nie będzie czasu. Powiem ci... — rozpoczął i urwał.

Panującą dotąd ciszę zmącił daleki szum silnika.

Obejrzałem się za siebie. Od strony osiedla zbliżał się jakiś samochód. Światła reflektorów stawały się z każdą chwilą bliższe. Korektor, który znajdował się po mojej prawej stronie, bliżej środka szosy, przeszedł przezornie na pobocze.

— Kierowca pana nie widzi? — zapytałem, spodziewając się zresztą potwierdzenia.

— Z dużej odległości może widzieć. Z bliskiej już nie — odrzekł ku mojemu zdziwieniu.

Chciałem zapytać, jak to się dzieje, gdy nadjeżdżający samochód zaczął gwałtownie zwalniać. Chociaż oślepiony światłami jeszcze nie rozpoznałem marki, ale już się domyślałem, kto nas mija. Staaliśmy.

Wóz zatrzymał się kilka metrów przed nami i z otwartego okna wychyliła głowę Stenia.

— Wsiadaj! Podwiozę cię — zawołała do mnie i otworzyła prawe przednie drzwi.

Podeszliśmy do wozu.

— Usiądź na tylnym siedzeniu i zrób mi miejsce — rozkazał korektor.

Sięgnąłem z wahaniem do klamki.

— Siadaj przy mnie. No, na co czekasz? — ponagliła mnie Stenia.

— Wpuść mnie i siadaj z przodu — zmienił decyzję korektor. Wykonałem polecenie. Musiałem mieć jednak bardzo niepewną minę, bo Stenia zapytała:

— Co ci jest? Chyba się nie gniewasz? Nie znoszę obraźliwych. Doszłam zresztą do wniosku, że miałaś rację: trzeba sprawdzić, kto przyjechał maluchem. Jeśli to nie była Niewińska...

— Jedźmy — powiedział korektor za moimi plecami.

— Jedźmy — powtórzyłem. — To nie była Niewińska.

— Mówiłeś, że widziałeś swego sobowtóra — podjęła Stenia ruszając. — Myślę, że to był omam. Nagłe zapalenie światła, silne pobudzenie emocjonalne... Zasugerowałaś się tym koszmarnym snem. Twoja podświadomość nie chce dopuścić myśli, że widziała nas ta dziewczyna.

— Nie! To nie była ona!

— Nie upieraj się. Powiedz jej, że może ma rację, ale trudno ci uwierzyć — podsunął korektor.

— Że jeśli była to halucynacja, to bardzo realistyczna. Lepiej, jak będzie myślała, że to była tamta twoja koleżanka. Po co komplikować sprawę.

Nie bardzo mi to odpowiadało, chociaż czułem, że może mieć słuszość. Na szczęście, zanim zdążyłem coś powiedzieć, Stenia wybawiła mnie z kłopotu.

— Nie przejmuj się. Być może znów coś się dzieje z polem magnetycznym. Pamiętasz te przygaśnięcia światła? Malicki nie wyklucza możliwości oddziaływania na układ nerwowy. Nowa awaria tłumaczyłaby również przyjazd Niewińskiej. Lub może któregoś z techników. Po prostu chcieli, byś przyjechał. Widocznie zapomniałam zamknąć drzwi. Facet wszedł. Myślał, że śpisz, zapalił światło, zobaczył, co się dzieje, i wyniósł się dyskretnie. A omamem się nie martw. Ja również miałam zwid.

— Ty też? — spojrzałem na nią niepewnie.

— Przed chwilą. Wydało mi się z daleka, że nie idziesz sam. Widziałam jakiegoś drugiego mężczyznę. Sylwetka jakby nawet znajoma. Przypominał mi tego faceta ze snu.

— Jakiego snu?

— No, tego wczorajszego. Mówiłam ci. Ten facet, co mi się pchał do łóżka.

Obejrzałem się za siebie. W odbitym od przydrożnych zarośli świetle reflektorów widziałem dobrze twarz korektora. Uśmiechał się głupio.

Ogarnęła mnie wściekłość.

— Byłeś u niej, gdy spała! — syknąłem z nienawiścią.

— Nie. Wiesz przecież. Byłem z tobą w więzieniu. — Odparł spokojnie. — Nie byłem u niej. Nie miałem tej przyjemności... — dorzucił kpiąco.

— A jednak cię widziała. Okłamałeś mnie!

— Co ty mówisz? — zaniepokoiła się Stenia. — Do kogo?

— Za nami siedzi ten facet, a którym mówiłaś — postanowiłem ujawnić, jak się sprawy mają, i dojść prawdy bez względu na skutki. Spojrzała w lusterko wewnętrzne.

— Widzisz kogoś na tylnym siedzeniu? — zapytała raczej z troską niż obawą.

— Widzę. Ten człowiek szedł ze mną całą drogę i wsiadł, gdy się zatrzymałaś. Jeśli go nie widzisz i nie słyszysz, co mówi, to tylko dlatego, że jesteś pod działaniem jakiegoś hipnotyzującego urządzenia. Ja jestem na to uodporniony.

— Po co jej to wszystko mówisz? — wtrącił z wyrzutem korektor. — Myślisz, że ci uwierzy?

— Uwierzy, jeśli mi nie będziesz przeszkadzał.

— Ja ci przeszkadzam? — spytała Stenia łagodnie. — W czym?

— To nie było do ciebie. Ten facet ma do mnie pretensje, że ci powiedziałem o jego istnieniu i twierdzi, że mi nie uwierzysz. Myślę, że to ten sam, którego widziałaś wczoraj w nocy. To niekoniecznie musiał być sen. A raczej — nie w pełni sen.

— Mówisz bzdury — zdenerwował się korektor.

— Jaką mam pewność, że nie próbowałaś dobrać się do niej?

— Nonsens. Nie byłem w tym czasie w Rokitach. Jeśli mnie widziała, to tylko piątego września w ambulatorium. Nieświadome postrzeżenie. Te informacje pozostają w podświadomości i mogą później przenikać do marzeń sennych.

— Jak wygląda ten mężczyzna? — wpadła mu w słowo Stenia. Popatrzyłem na korektora i dokładnie opisałem jego twarz, włosy, oczy, ubranie. Zauważyłem, że moja relacja wywiera na Steni duże wrażenie. Byłem już pewny, że mi uwierzyła. Niestety, myliłem się.

— Oboje widzieliśmy gdzieś tego człowieka — powiedziała stanowczym tonem. — Rysopis się zgadza. Muszę sobie koniecznie przypomnieć, gdzie go spotkałam... Bo sen to tylko reminiscencja.

— Nie wierzysz mi, że go widzę. Siedzi tu, za tobą.

— Wierzę ci, że go widzisz i słyszysz jego głos — odrzekła wymijająco. — Nie chcę cię jednak oszukiwać. Sam mówiłeś, że masz ciągle jakieś zwidy.

— Widziałaś go na drodze.

— Ale to też mógł być omam. Jeśli przyjąć, że istnieje telepatia, możemy sobie wzajemnie przekazywać sugestie. Nie myśl, że traktuję 'twoje relacje jako przejawy choroby psychicznej. Ale jestem lekarzem i boję się o ciebie. Tak mi nakazuje rozsądek. I to, że cię kocham. Co prawda, dzieje się z tobą, a właściwie wokół ciebie coś, czego nie rozumiem. Lecz właśnie dlatego staram się zachować sceptycyzm. Próbuję to jakoś wytłumaczyć i musisz mi w tym pomóc, a nie poddawać się bezkrytycznie zwidom. Czy masz jakieś materialne dowody, że ten człowiek istnieje?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie było już zresztą czasu na dalsze wyjaśnienia. Zjechaliśmy

z szosy na drogę prowadzącą do elektrowni. Stojący przy bramie strażnik opuścił łańcuch, jakby czekał na nasz przyjazd.

— Jak będziemy przejeżdżać przez bramę, nachyl się nisko — rozkazał korektor. — Lepiej będzie, jeśli strażnik cię nie zobaczy.

Niech zobaczy! — pomyślałem przekornie.

Stało się jednak inaczej. Z podjazdu przy głównym wejściu ruszył nagle duży, jasny fiat kombi i pomknął na sygnale w naszym kierunku. Minęliśmy się niemal w bramie. To była karetka pogotowia ratunkowego.

— Znów wypadek... Chyba w czwartym bloku — zauważyła Stenia, dodając gazu. — Muszę się dowiedzieć. Może będę potrzebna... Jest maluch Niewińskiej — stwierdziła chłodno, zatrzymując wóz na podjeździe.

— Nie pozwól, aby poszła do nastawni — powiedział korektor. — Pójdę sprawdzić, co się tam dzieje. Być może już się nie zobaczymy. Gdyby światła zaczęły pulsować, poczekaj, aż się uspokoją. Potem możecie iść na górę. Będzie po wszystkim.

Stenia otworzyła drzwi i wysiadła.

— No, na co czekasz? — spytała mnie z gestem zniecierpliwienia.

— Chwileczkę. Chciałbym, żebyś coś sprawdziła.

— Nie rób głupstw — usłyszałem za sobą głos korektora. — Zajmij ją czymś. Albo sam otwórz drzwi i wypuść mnie. Nie mam czasu na podprzestrzeniankę!

— Steniu! Zamknij wszystkie drzwi na klucz. Chcę, aby ten facet musiał się jakoś przed tobą ujawnić. To ostatnia szansa.

Spojrzała na mnie nieufnie, ale sięgnęła po kluczyki.

— Jak ci tak bardzo na tym zależy, to proszę — powiedział z niesmakiem korektor i otworzył drzwi, zanim Stenia zdążyła podejść. — Ale widowiska z translukacją podprzestrzenną nie będzie.

Wysiadł z wozu i zatrzasnął drzwi. Rozszerzone zdziwieniem oczy Steni świadczyły, że osiągnąłem swój cel.

— Jak to zrobiłeś? — Nie chciała jeszcze skapitulować, ale nie była już tak pewna swych podejrzeń.

— To nie ja. To ten facet wysiadł. Idzie teraz po schodach. O, teraz otwiera drzwi.

Musiała widzieć, jak drzwi otwarły się „same”, i to chyba ją przekonało.

— Boję się — powiedziała szeptem i przytuliła się do mnie.

Przybysz z przyszłości wychylił jeszcze głowę przez uchylone drzwi i zawołał do mnie:

— Pamiętaj, co powiedziałem! Nie idźcie za mną. To może być niebezpieczne. Również dla niej!

Minęło kilka minut, zanim zdołałem jako tako uporządkować kłębiące się chaotycznie w mojej głowie myśli i zmusić się do ukierunkowanego, logicznego rozumowania. Powinienem przecież podjąć decyzję: czy pozostać na podjeździe i czekać — zgodnie z poleceniem korektora — na pojawienie się oznak transtajmingu, czy może, nie ufając jego słowom, pójść na górę i sprawdzić, co dzieje się w nastawni.

Wiele przemawiało za biernym oczekiwaniem na rozwój wydarzeń. Trzymałem Stenię nadal w ramionach, a jej jakże naturalny odruch szukania we mnie ochrony przed budzącymi lęk niewidzialnymi siłami był ogromnie miły, lecz przede wszystkim zobowiązywał do jak największej ostrożności w działaniu. Chodziło zresztą nie tylko o rzeczywiste niebezpieczeństwo fizyczne, lecz również o szok, jaki u Steni mogło wywołać spotkanie z moim sobowtorem.

Jednocześnie jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż oczekując beczynnym na kolejną „awarię”, nie tylko tracę ostatnią chyba szansę przekonania się naocznie, czy tajemniczy przybysz powiedział prawdę o „wrotach” czasu, ale, być może, także daję się wplątać w kolejną szatańską intrygę. Nie chodziło tu zresztą tylko o mnie. W nastawni wraz z moim sobowtorem była prawdopodobnie również Baśka, zupełnie nie orientująca się w sytuacji, a więc tym bardziej narażona na nieznaną niebezpieczeństwa.

Na to jednak, aby cokolwiek przedsięwziąć, należało możliwie ostrożnie wyjaśnić sytuację Steni i jakoś ją uspokoić, jeśli to było w ogóle możliwe po tym, co widziała.

— Myślę, że chyba będzie najlepiej, jak wsiądziemy do samochodu — powiedziałem, głaszcząc ją delikatnie po włosach. — Tam już na pewno go nie ma — dodałem, aby rozproszyć jej obawy. — Poszedł do nastawni.

Wypuściła mnie z objęć i popatrzyła uważnie w oczy. W jej spojrzeniu nie było już lęku.

— Jesteś pewny, że to nie była halucynacja?

— Widziałas przecież. Ty z pewnością nie masz halucynacji.

— Nie wiem... Jest zresztą jeszcze jedna możliwość. Moja ciotka opowiadała mi kiedyś, że była świadkiem podobnych zjawisk. Garnki, krzesła, nawet ciężkie meble się poruszały. Podobno powodowała to nieświadomie dziewięcioletnia dziewczynka. Ty możesz być takim medium. Może masz nie tylko zdolności jasnowidcze.

— Niestety, ten człowiek istnieje naprawdę. Nie jestem medium. Nawet te moje wizje prorocze nie są wcale jasnowidzeniami. Później wszystko ci wytłumaczę. Nie bój się, jestem zupełnie normalny.

Wziąłem Stenię za rękę i otworzyłem drzwi samochodu.

— Podjedziesz do bramy i poczekasz na mnie. Najlepiej w wartowni. Tam ci nic nie grozi. Ja tylko coś sprawdzę i zaraz wrócę — powiedziałem możliwie spokojnym tonem.

— Dokąd chcesz iść? — chwyciła nerwowo moją dłoń.

— Do nastawni.

— Chcesz sprawdzić, czy to była Niewińska?

— Nie tylko. Muszę ją ostrzec przed kolejną awarią, a przede wszystkim dowiedzieć się, kim naprawdę jest ten człowiek.

— Mówiłeś, że wiesz.

— Wiem, co mi powiedział, lecz mu nie ufam i chcę się przekonać naocznie, czy mówił prawdę.

— Co powiedział?

— Trudno w to uwierzyć, ale twierdzi, że przybył z przyszłości.

Nie wydawała się zaskoczona.

— Po co poszedł do nastawni? — spytała, nie spuszczać ze mnie wzroku.

— Ma zlikwidować mego sobowtóra. To znaczy mnie z innego okresu. Trzeba go odesłać we właściwy czas.

— I chcesz zobaczyć, jak on to będzie robił? To rzeczywiście może być ciekawe...

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że traktuje mnie jak chorego psychicznie.

— Myślisz, że zwariowałem — stwierdziłem z wyrzutem. — Ależ ja tylko powtarzam to, co mi powiedział!

Speszyla się trochę.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy tam razem — odparła wymijająco.

— W żadnym wypadku. To może być niebezpieczne.

— Dlaczego?

— Ten człowiek mnie ostrzegał...

— Wierzysz mu?

— Nie wiem sam... Ale nie wolno ryzykować..

— A ty nie ryzykujesz?

— To mój obowiązek.

— Mój również. Jestem lekarką. — I kocham cię...

Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że chyba łatwiej uwierzyłaby w duchy, niż uznała moje wyjaśnienia za coś więcej niż majaczenia mitomana. Mogłem co najwyżej osłabić fatalne skutki mojej nadmiernej szczerości.

— Ja również nie wykluczam, że spotkanie z tym człowiekiem może być jakąś nową formą wizji transowych — powiedziałem, starając się pokazać swój obiektywizm. — Ale też trzeba się liczyć z możliwością, że nie jest to iluzja. Otóż z mojej rozmowy z tym rzeczywistym czy urojonym przybyszem wynika, że w najbliższym czasie, być może już za parę minut, nastąpi ponowna awaria fullera. Powinienem o tym powiedzieć kolegom, aby się przygotowali na taką ewentualność. A nie jest to wcale prosta sprawa...

— Możesz zatelefonować z portierni — podsunęła naiwnie.

— Nie mogę. Co najmniej z dwóch powodów. Jeśli powiem, że prawdopodobnie już wkrótce nastąpi nowe zaburzenie pola magnetycznego, na pewno zapytają, skąd o tym wiem. Prawdy powiedzieć nie mogę, bo nie uwierzą, a jeśli rzeczywiście moja zapowiedź się potwierdzi, ściągnę sobie na głowę nie tylko twojego Malickiego. Mógłbym co prawda zadzwonić wprost do nastawni do Niewińskiej i ostrzec ją tylko, żeby miała się na baczności, a skąd wiem, wyjaśnię jej później, ale jeśli się okaże, że ten sobowtór naprawdę istnieje i jest w sterowni? Wyobrażasz sobie, jaki byłby to dla niej wstrząs. Zwłaszcza że wspomniałem jej o myślaku.

— O kim?

— O tym niewidzialnym. Chochołowska nazwała go myślakiem.

— A więc powiedziałaś im obu... Tylko do mnie nie miałaś zaufania — stwierdziła z żalem, ale jakoś bez gniewu.

— Bałem się, że weźmiesz to za objaw choroby psychicznej. Nie chciałem, abyś patrzyła na mnie jak na jeszcze jeden przypadek chorobowy. Musisz mnie zrozumieć: ja cię Kocham!

Uśmiechnęła się blado.

— Wsiadaj! — rozkazała w nagłym przyływie energii i zajęła miejsce za kierownicą.

— Dokąd jedziemy? — zapytałem z niepokojem.

— Na wartownię. Ja zadzwonię do Niewińskiej.

— Co chcesz jej powiedzieć?

— Zapytam, czy ciebie tam nie ma, a potem powiem, że otrzymałam telefoniczną wiadomość, że należy spodziewać się nowej burzy magnetycznej. Kto dzwonił, nie wiem.

Pomysł był znakomity, a zarazem tak prosty, że aż dziwne, dlaczego sam od razu na niego nie wpadłem.

„Na bramie” był tylko jeden wartownik i pozostał na zewnątrz. Nie mógł więc słyszeć rozmowy.

Podałem Steni numer i natychmiast połączyła się z nastawnią.

— Nastawnia centralna! — ze słuchawki, trzymanej przez Stenię, dobiegł mnie głos Baški.

— Czy jest tam z panią inżynier Szarek? — zapytała Stenia, z trudem opanowując podniecenie.

— A kto mówi?

— Szycka. Chciałam się dowiedzieć...

— Gdzie się pani szwenda — przerwała jej Baška. — Wydzwaniałam naokoło... Była pani potrzebna. Inżynier Wotny wrócił. W bardzo złym stanie.

— Wotny? Zaraz tam będę.

— A po co? Wezwałam pogotowie. Przed chwilą go zabrali.

— Zadzwonię do lekarza, dyżurnego...

— To pani sprawa.

— Czy inżynier Szarek jest w nastawni? Chciałbym mu przekazać ważną wiadomość.

— Jeśli to sprawa służbowa, proszę przekazać mnie.

— Niezupełnie. Wolałabym... — Stenia zawahała się. — Inżynier Szarek jest w nastawni? — zapytała raz jeszcze.

— Niech mu pani wreszcie przestanie zawracać głowę!

Trzask w słuchawce oznajmił, że połączenie zostało przerwane.

— Masz swoją całą Baškę! Co ona sobie wyobraża! — zdenerwowała się Stenia. — No i nic dalej nie wiadomo. Chociaż...

— Nie zaprzeczyła.

— Ale też nie potwierdziła. Co innego miałam na myśli. Wygląda na to, że to nie ona przyjechała po ciebie maluchem. Może rzeczywiście był to ten twój sobowtór? Zaczynam wierzyć w te twoje zwidy. Dziwne, ale to wszystko zdaje się układać w logiczną całość... Powiedziałeś, że podniosłeś z podłogi kopertę. Białą kopertę... Pamiętasz?! — zapytała z jakimś nerwowym pośpiechem.

— Jaką kopertę? — nie rozumiałem, o co jej chodzi.

— W twoim śnie. Leżała na podłodze, tam gdzie upadł Wotny. Mówiłeś również Stasińskiemu w hipnozie, że podnosisz z podłogi białą kopertę... Czy to była ta sama koperta?

— Chyba tak.

— Był to list polecony do Wotnego. Czy zabrałeś tę kopertę? Może włożyłeś do kieszeni?

— Nie wiem. Nie pamiętam.

— Idę tam! — powiedziała z nagłą determinacją.

— Dokąd?

— Do nastawni. Tam on jest.

Nie mogłem do tego dopuścić.

— Ja tam pójdę. Poczekasz tu na mnie.

— A list?

— Powiem — temu niewidzialnemu, żeby sprawdził, czy sobowtór ma go przy sobie i przekazał mi. Tak będzie najbezpieczniej.

Nic nie odpowiedziała. W jej oczach był lęk i jednocześnie nadzieja. Byłem pewny, że uznała moją decyzję za słuszną.

Pocałowałem ją i wyszedłem. W korytarzu obejrzałem się jeszcze. Przez uchylone drzwi dostrzegłem, że stoi nadal przy telefonie.

Dwieście metrów dzielące wartownię od „czwórki” przebyłem biegiem. Postanowiłem, że wejść od tyłu. O tej godzinie nie powinienem tam nikogo spotkać, od strony zaś galeriowego przejścia mogłem niepostrzeżenie zajrzeć do nastawni przez oszkloną ścianę. Dopiero po upewnieniu się, że nie ma tam mego „duplikatu”, wolno mi było podejść do Baśki.

Niestety był. Moje alter ego siedziało na obrotowym krześle przy pulpicie, a nad nim stała Baśka i coś do niego mówiła, czego przez oszkloną ścianę nie mogłem słyszeć. Drugi identyczny fotel, przeniesiony z innego czasu, stał w głębi sali.

Mój sobowtór wyglądał nieszczególnie. Patrzył mętnym wzrokiem na Baškę i raz po raz kręcił przecząco głową, to znów sięgał ręką do czoła, jakby bezskutecznie próbował sobie coś przypomnieć. Jego ruchy były chwiejne i zwolnione, a otępienie malujące się na jego twarzy tylko z rzadka ustępowało miejsca przeblyskom zainteresowania pomieszanego z dziecięcym zdziwieniem.

Byłem tak przejęty widokiem mego sobowtóra, że dopiero po dłuższej chwili dostrzegłem korektora. Stał pod oknem i wyraźnie na coś czekał, lustrując niespokojnie wzrokiem salę. Baśka, chociaż znajdował się w zasięgu jej wzroku, z pewnością go nie widziała, a sobowtór był do niego zwrócony plecami. Moją twarz korektor zobaczył chyba zaraz, jak tylko pojawiła się za szybą, gdyż teraz spojrzał na mnie bez zdziwienia i spostrzegłszy, że patrzę na niego, dał mi znak ręką, abym nie wchodził do sterowni.

Potwierdziłem skinieniem głowy, że zrozumiałem, i w tym samym momencie usłyszałem krzyk. Sobowtór patrzył na mnie szeroko rozwartymi oczami.

Baśka odwróciła się gwałtownie. Nie wiem, czy mnie dostrzegła. Błyskawicznie przykucnąłem, kryjąc się za parapetem, ale zdawałem sobie sprawę, że jeśli podejdziesz do oszklonej ściany, na pewno mnie zobaczy. Mogłem, co prawda, uciec tą samą drogą, jaką przyszedłem, lecz czy zmieniłoby to w czymkolwiek sytuację, jeśli zostałem rozpoznany?

Wszystko to okazało się jednak już w następnych sekundach nieważne. Nagle zrobiło się zupełnie jasno. Oślepiające światło wypełniło nastawnię i natychmiast zgasło. Jednocześnie przytłumiony grzmot wstrząsnął szybami nade mną i zaraz potem usłyszałem dziwny dźwięk przypominający mlaśnięcie jakiegoś ogromnego potwora.

W pierwszej chwili myślałem, że zapanowała ciemność. Była to jednak tylko reakcja po oślepiającym błysku. W nastawni i na korytarzach paliły się nadal lampy, ale nierówno, pulsujące, raz po raz przygasając i rozjarzając się migotliwie.

Sobowtór siedział nadal na krześle. Oczy miał zamknięte i wyglądał tak, jakby na chwilę zasnął. Baśka stała kilka kroków od niego, zwrócona twarzą w moją stronę. Jej oczy, choć otwarte, wydawały się martwe, podobnie jak cała postać zastygła w posagowym bezruchu.

Prawdopodobnie oboje w tym momencie znajdowali się już we „wrotach”. Wskazywały na to niezwykle zjawiska fizyczne, koncentrujące się wokół nich, jakby żywcem przeniesione z wielkiego laboratorium wysokich napięć i częstotliwości.

W centrum, sali powstał świetlisty krąg. Włosy Baśki i mojego sobowtóra stanęły dęba, a wokół ich ciał, a także pulpitu i obrotowego fotela jarzyła się niebieskawa aureola wyładowań snopiących. Był to widok tak fantastyczny i przejmujący w swym pięknie, że nie byłem w stanie oderwać od niego wzroku.

Tymczasem wydarzenia biegly w zawrotnym tempie. Przy Baśce pojawiła się nagle wysoka postać korektora. Chwycił ją za ramiona i wypchnął tak gwałtownie ze świetlistego kręgu, że zatoczyła się i upadła na podłogę.

Korektor przyskoczył teraz do sobowtóra. Ujął poręcz fotela i pociągnął go w moim kierunku. Nie dotarli jednak do oszklonej ściany. Gdzieś w połowie drogi, w „miejscu, gdzie kończył się świetlisty krąg, ich postacie wraz z fotelem jakby rozplynęły się w powietrzu i znikły.

I oto właśnie w tej samej chwili, gdy znaleźli się poza „wrotami” dwóch czasów, stało się coś, czego nie zapowiedziały najkoszmarniejsze z moich proroczych wizji. W miejscu, gdzie przed sekundą widziałem jeszcze mego sobowtóra, ujrzałem Stenię. Przez moment wydawało mi się, że dostrzegła moją twarz za szybą i biegnie do mnie. Niestety, to było tylko złudzenie. Ona widziała nie mnie, lecz tamtego Adama Szarka. Ją całą, jej miedziane włosy, jakby uniesione wiatrem, jej wyciągnięte ku niemu ramiona otoczyły miliony migocących niebieskich ogników.

Skoczyłem jak oszalały do drzwi. Nim jednak zdążyłem je otworzyć, czarna jak smoła ciemność spowiła na parę sekund wszystko wokół, a przez ściany korytarza przebiegło głucho westchnienie.

Gdy znalazłem się w nastawni, wszystkie światła jarzyły się już spokojnym, normalnym blaskiem, a fuller wracał do życia.

Baśka siedziała na podłodze, rozcierając stłuczone kolano. Poza nią w nastawni nie było nikogo.

Podszedłem do Baśki i pomogłem jej wstać. Była przytomna, ale zachowywała się tak, jak gdyby obudzono ją z głębokiego snu.

— Parszywa anomalia — powiedziała, kuśtykając do pulpitu. — Już dziś drugi raz. Zresztą wiesz. Rzuciło mnie o ziemię i chyba sobie coś zrobiłam w nogę. Cholernie boli. A tobie nic się nie stało?

Cóż mogłem powiedzieć? W tej chwili myślałem tylko o jednym.

— Widziałaś Szycką?

— Gdzie?

— No, tu. Przed chwilą.

— Ciągle ci ta Szycka w głowie — odburknęła z tłumioną złością.

— Była tu, czy nie była?! — zapytałem takim tonem, że spojrzała na mnie z przestachem.

— Nie była. Coś ci się musiało pokręcić. Dzwoniła tylko. Byłeś wtedy taki dziwny... Chyba nie bardzo wiedziałeś, co się wokół ciebie dzieje.

A więc pojawienie się Steni mogło być halucynacją. Zaczęła we mnie wstępować nadzieja. Może tak, jak jej poleciłem, czeka na mnie w portierni?

Podszedłem do fullera i sięgnąłem po słuchawkę. Monitor alarmów sygnalizował już tylko jakieś niegroźne i szybko znikające spadki mocy na „czwórce” i „dwójce”.

— Chyba tym razem zakłócenia były znacznie słabsze — zauważyła stojąca obok mnie Baśka. Potem spojrzała na moje ubranie i zapytała ze zdziwieniem: — Kiedy się przebrałeś?

Nic nie wyjaśniałem. Sięgnąłem do tarczy i wybrałem numer bramy. Nikt przez dłuższy czas nie podnosił słuchawki.

— Wartownia! — usłyszałem wreszcie schrypnięty głos strażnika.

— Tu Szarek. Niech pan odda słuchawkę doktor Szyckiej!

— Pani doktor tu nie ma.

Uczułem lodowaty chłód.

— Może jest w samochodzie? — zapytałem z ostatnią iskierką nadziei.

— Pani doktor odjechała.

— Gdzie.

— No, chyba na parking. Myślałem, że razem z panem, panie inżynierze.

Położyłem słuchawkę. Baśka coś mówiła, ale jej słowa nie docierały do mojej świadomości.

Na pulpicie, obok telefonu, leżał kwiat. Czerwona różyczka. Świeża i wonna, jakby niedawno zerwana z krzaka. Ta sama różyczka, którą cztery dni temu ofiarowała mi Baśka.

* * *

Od zniknięcia Steni Szyckiej minęło już ponad siedem miesięcy. Pracuję nadal w Rokitach, chociaż roboty montażowe i poprawki zostały już w zasadzie zakończone. Odbyło się jeszcze jedno, może trochę mniej uroczyste, bo bez udziału ministra; „osiągnięcie pełnej, zaplanowanej mocy”. Wszystkie cztery bloki pracują sprawnie, bez żadnych poważniejszych awarii.

„Cekop” zaproponował mi wyjazd do Iraku, gdzie mamy budować jakieś duże zakłady energetyczne, ale odmówiłem. Chcę pozostać w Rokitach, nawet jeśli miałbym pracować w którejkolwiek nastawni jako zwykły dyspozytor.

Ciągle jeszcze wierzę, że Stenia pojawi się tutaj, chociaż rozsądek nakazuje w to wątpić. Jeśli korektorzy z XXVIII wieku chcieliby ją zwrócić naszym czasom, na pewno dokonaliby tego tej samej szalonej nocy, w której zamknęły się za nią „wrota” czasu.

Coraz częściej prześladowuje mnie myśl, że ona nie chce wrócić. Mówiła przecież, że chętnie przeniosłaby się do innego, lepszego świata... Ale czy rzeczywiście będzie on lepszy? Łudzę się, że miłość skłoni ją do powrotu. Czy jednak tak naprawdę mnie kochała?

Jestem nadal wierny Steni, chociaż coraz więcej czasu spędzam z Baśką. Jest mi bardzo potrzebna. Muszę mieć kogoś bliskiego, z kim mógłbym rozmawiać szczerze o tym wszystkim, co przeżyłem. Jeszcze tamtej nocy, oczekując do rana na powrót Steni, powiedziałem Baśce prawdę. I o nocy ze Stenią, przerwanej przez sobowtóra, i o spotkaniu z korektorem. Okazało się, że po ucieczce ze swego domu nie tylko wróciłem do elektrowni, lecz szukając w Baśce bratniej duszy (nie uświadamiałem sobie jeszcze wtedy, że jest o mnie zazdrosna) wyznałem jej, co mi się przytrafiło. Opowiadałem jednak tak chaotycznie, a i stan mego umysłu był tak fatalny, że uznała sobowtóra za przywidzenie, związane prawdopodobnie z przypadkowym przyłapaniem Szyckiej in flagranti z jakimś podobnym do mnie mężczyzną.

Baśka twierdzi, że wierzy w moją opowieść, ale chyba mnie okłamuje. Żaden normalny, zdrowy na umyśle człowiek nie może potraktować tego inaczej niż — jako wytwór chorej wyobraźni. Przecież jak się dobrze zastanowić, wszystko, co usłyszałem od korektora, nie tylko nie da się pogodzić ze zdrowym rozsądkiem, ale prowadzi nieuniknienie do nierozwiązalnych pętli logicznych, godzących w zasadę niesprzeczności.

Odbyło się związkowe zebranie wyborcze. Nikt mnie nie atakował w sprawie „bezprawnego” przydziału mieszkania, a i ja siedziałem cicho, gdy była mowa o potrzebie lepszej organizacji pracy i poprawy warunków bezpieczeństwa. Niech się teraz wygłupiają inni. Baśka próbowała rozrabiać, ale jej wytłumaczyłem, że to nie ma sensu. A w ogóle Palinka może być zadowolony zarówno z

dyskusji, jak i wyników wyborów. Na parę lat ma spokój.

Wotny czuje się lepiej i wkrótce wyjdzie ze szpitala, ale podobno nie chce wracać do Rokit. Słyszałem od Lucyny, że na początku kuracji na każdą wzmiankę o sterowni i fullerze dostawał drgawek. Palinka, który odwiedził go w szpitalu, twierdzi, że zachowuje się zupełnie normalnie, nie uważa mnie już za diabła ani nawet za agenta obcego mocarstwa.

Ciekawe, że reakcje na transtajming — moja i jego — są tak różne. Na mnie nie pozostawił żadnego śladu. Jestem zupełnie normalny. Tak mi się przynajmniej zdaje. Wotnego przierzucali tajmerzy XXIII stulecia, a i ja po ich fatalnych transtajmingach czułem się jak pijany. Dopiero po ostatnim, korektorskim, wróciłem do względnej normy. Mam nadzieję, że i Stenia przeszła tę operację szczęśliwie. Chyba zresztą XXVIII wiek zna jakieś sposoby zapobiegania poważniejszym zaburzeniom.

Czy odnalazła ten nieszczęsny list, czy też ukradli go tajmerzy lub może zaginął gdzieś na bezdrożach czas... Chyba nigdy tego się nie dowiem.

Łabudę przyjęto z powrotem do pracy. Nie bez mojej pomocy. Obiecał, że nie będzie pić. Przynajmniej na bloku. Tak jak przewidział korektor, interesują się nim nasi ufolodzy. Jest przekonany, podobnie jak jego kolega, że widzieli UFO. Twierdzi też, że widział, jak inżynier Szarek został porwany przez kosmitów.

Oczywiście do spotkania na szosie nie mogę się przyznać. Moja obecność owej nocy na drodze byłaby trudna do wytłumaczenia i, co gorsza, pozostaje w sprzeczności z przekazaną prokuratorowi moją wersją wydarzeń, związanych ze zniknięciem Steni Szyckiej. Na szczęście rewelacje Łabudy o UFO i spotkaniu ze mną traktowane są przez niemal wszystkich jako pijackie przywidzenia. Był co prawda moment, że poczułem się nieswojo. Łabuda pokazał mi guzik oderwany od mojej marynarki w czasie szarpaniny. Dobrze, że przyszedł z tym najpierw do mnie i prosił o sprawdzenie, czy mi nie brakuje guzika. Zdażyłem przyszyć podobny i pokazałem Łabudzie na dowód, że się myli. Był bardzo zawiedziony. Żal mi go, ale nie ma rady.

Milicja nadal poszukuje Steni. Byłem już wielokrotnie przesłuchiwany. Nikt jej przecież nie widział od chwili, gdy odjechała sprzed portierni, rzekomo razem ze mną, jak twierdzi strażnik. Ja temu zaprzeczam. Zgodnie z prawdą zeznałem, że przeszedłem od bramy do „czwórki” piechotą i nie widziałem, jak Stenia odjeżdżała. Wątpię jednak, aby prokurator wierzył w moją szczerość. Oczywiście nie ma żadnych dowodów, że to ja uprowadziłem Szycką, zamordowałem ją i spaliłem zwłoki, ale obawiam się, że takie podejrzenia nie są mu obce.

Trzymam się ściśle uzgodnionej z Bašką następującej wersji wydarzeń: po odnalezieniu Wotnego pojechałem maluchem Niewińskiej szukać lekarki, lecz jej nie znalazłem. Wróciłem dopiero po wyjeździe pogotowia i spotkałem Szycką na podjeździe. Próbowaliśmy z wartowni zatelefonować do profesora Malickiego do Warszawy. Nie doczekawszy się połączenia, wróciłem do nastawni, doktor Szycka zaś została w wartowni, aby podjąć dalsze próby dodzwonienia się do profesora. W czasie kolejnego zakłócenia w działaniu systemu automatyki byłem z Niewińską w centralnej nastawni. Kto zostawił samochód Szyckiej na podjeździe, nie wiem.

Staram się, rzecz jasna, nie okazywać w najmniejszym stopniu, że wiem, czy choćby tylko domyślam się, gdzie ona może być. Baška też zachowuje w tej sprawie milczenie. Przynajmniej wobec prokuratora i milicji. Boję się jednak, czy nie prowadzi ze mną podwójnej gry. Oczywiście „dla mojego dobra”... Nasz nowy lekarz zakładowy jakoś dziwnie ze mną rozmawiał...

Bardzo chciałbym spotkać się z Policzem. Niestety, na razie to niemożliwe. Dostał dwa lata. Napisałem do niego do więzienia, aby dał mi znać, jak będzie wychodził. Ale co będzie ze mną za dwa lata?...

* Wszystkie teksty *I Ching* wg. wydania amerykańskiego *I Ching — A New Interpretation For Modern Times*, Bantam Books, 1979 — w przekładzie polskim M. K. (Stowarzyszenie Buddyjskie Zen CZOGIE w Polsce).